Tom 1 bestsellerowej trylogii

Oddana Bez Reszty

Uwięziona w Bluszczu

Numer 1 Amazonu 2013
wśród powieści erotycznych

Skromna dziewczyna
wkracza w wymarzony świat
akademii teatralnej
i zakazanej miłości z wykładowcą
– hollywoodzkim gwiazdorem

J. Lerman

Uwięziona w Bluszczu

J. Lerman

Przekład
BARBARA KWIATKOWSKA

AMBER

Korekta
Barbara Cywińska
Magdalena Stachowicz

Zdjęcie na okładce
© Refat/Shutterstock

Tytuł oryginału
The Ivy Lessons

Copyright © by S. Quinn
All rights reserved

For the Polish edition
Copyright © 2014 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-5026-7

Warszawa 2014. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. Opcja
juras@evbox.pl

Rozdział 1

Bluszcz: odporna roślina pnąca o zimozielonych liściach i małych okrągłych owocach, która może działać na budynki destrukcyjnie, ale także i chronić je przed szkodliwym wpływem pogody.

Została Pani przyjęta…

Wpatruję się w list i nie wierzę własnym oczom. Słowa „Akademia pod Bluszczem" połyskują złoto na górze strony.

…na kierunek Aktorstwo Kreatywne w Akademii pod Bluszczem w Londynie.

Kubek z herbatą drży w mojej ręce; czuję na twarzy szeroki, głupawy uśmiech.

Nie mogę w to uwierzyć. Po prostu nie mogę. Tysiące młodych aktorów było tam w tym roku na przesłuchaniach. Ani przez chwilę nie przypuszczałam, że się dostanę.

Znowu patrzę na list, nie do końca przekonana, że jest realny, i wracam myślami do dnia przesłuchań.

Był to wyjątkowo gorący poranek, a w londyńskim metrze roiło się od spoconych ludzi z butelkami wody i puszkami gazowanych napojów.

Przedtem byłam w Londynie tylko raz, żeby pomóc mojej najlepszej przyjaciółce, Jen, znaleźć buty na ślub, ale wtedy nie zapuściłyśmy się poza Oxford Street.

Nigdy wcześniej nie doświadczyłam paniki, agresji i gorączki letnich godzin szczytu i teraz czułam się jak szmaciana lalka, ciskana na wszystkie strony.

Zgubiłam się, szukając akademii, a większość przechodniów, których prosiłam o pomoc, była zbyt zajęta, żeby się zatrzymać.

W końcu jakiś mężczyzna z białą brodą, połykający zgłoski, zaoferował, że pokaże mi drogę. Zeszliśmy z głównej ulicy, mijając kilka ładnych miejskich domów, i dotarliśmy do kilku akrów zieleni, otoczonych przez świerki i czarne ogrodzenie.

W głębi dostrzegłam zabudowania z czerwonej cegły, naprawdę obrośnięte przez bluszcz, srebrzysty i zielony. Wokół budynków nie było już nic poza trawą i lasami.

– Uwielbiam bluszcz – powiedziałam do mężczyzny. – To jedna z moich ulubionych roślin.

– Ciesz się nim, póki czas – odparł. – Akademia należy do jednego aktora z Hollywood. Zrówna go z ziemią i zamieni wszystko na szkło i beton. To tylko kwestia czasu.

– Mówi pan o Marcu Blackwellu? – spytałam.

Mężczyzna kiwnął głową.

– Nic dobrego o nim nie słyszałem. Zdaje się, że jest wyjątkowo arogancki. To zimny

człowiek.

– Też tak słyszałam – mruknęłam. – Ale chyba ma powody, żeby być arogancki. Jest niewiele starszy ode mnie, a tak wiele już osiągnął. Zdobył dwa Oscary, założył tę szkołę.

Mężczyzna spojrzał na mnie, zastanawiając się pewnie, jaki interes w tej uczelni może mieć osoba w spłowiałym podkoszulku i dżinsach.

– Staram się o przyjęcie – wyjaśniłam. – Nie dostanę się. Nawet za milion lat. Przyjechałam tylko dlatego, że mój nauczyciel uniwersytecki powiedział, że przesłuchanie będzie ważnym doświadczeniem. Poza tym miło zobaczyć to miejsce. Jest piękne. Tyle tu drzew. Można się wśród nich zgubić.

Ceglane, pokryte bluszczem budynki przycupnęły blisko siebie, jakby chciały się ogrzać jeden od drugiego. Wyglądały jak dzieci, które zgubiły się w lesie.

– Cóż, życzę powodzenia. – Mężczyzna odszedł, a ja patrzyłam w zachwycie na zabudowania. Wszystkie miały wieżyczki, balkoniki i łukowate okna, jak jakiś baśniowy zamek. Pałac księżniczki. Ale drzewa podobały mi się bardziej niż budynki. Odrobina dzikiej natury w sercu Londynu.

Gapiłam się na nie dłuższą chwilę, a potem pchnęłam bramę z kutego żelaza i ruszyłam przed siebie. Czułam się taka mała i zwyczajna w tym wspaniałym otoczeniu, ale nie byłam zdenerwowana. Nie miałam nic do stracenia, a mogłam zyskać doświadczenie. Nie miałam pojęcia, że na przesłuchaniu spotkam Marca Blackwella we własnej osobie.

Rozdział 2

Udało mi się jakoś odnaleźć salę przesłuchań w labiryncie krętych korytarzy i ceglanych łuków.

Kiedy weszłam do sali, zobaczyłam dwie osoby siedzące za długim stołem.

Rozpoznałam kobietę po lewej stronie; była to Denise Crompton, aktorka sławna ze swoich ról w musicalach. Uśmiechnęła się do mnie i wokół jej oczu pojawiły się zmarszczki.

A kiedy zobaczyłam, kto siedzi obok niej, omal się nie przewróciłam. Miałam przed sobą samego Marca Blackwella. Oczywiście widziałam go w wielu filmach. Ale po raz pierwszy widziałam kogoś tak sławnego w rzeczywistości.

Miał jasnobrązowe włosy, które wydawały się bardziej miękkie niż na filmach, ale jego niebieskie oczy patrzyły spod gęstych, ciemnych brwi równie przenikliwie jak z ekranu. Był ubrany w czarny podkoszulek i pamiętam, jak szczupło wyglądał. Czytałam gdzieś, że w ostatnim filmie grał narkomana, więc pewnie musiał stracić na wadze do tej roli.

Policzki, i tak dość szczupłe, były trochę zapadnięte, pod oczami miał szare cienie. Jego skóra wydawała się bardzo biała, jak zwykle. Był przystojny w ten chłodny, surowy sposób, dzięki któremu tak świetnie pasował do tych wszystkich ambitnych filmów, za które dostawał nagrody. Ta szczupłość sprawiała, że wyglądał jakoś bardziej elegancko, a

także trochę niebezpiecznie.

Miał na sobie czarną koszulę, która – mimo upału – była świeża i świetnie leżała na jego smukłej sylwetce.

Stałam tam jak idiotka i bez końca się na niego gapiłam. Na żywo był hipnotyzujący. Po prostu hipnotyzujący. Uświadomiłam sobie nagle, że patrzę na jego usta, bardzo czerwone i jakby lekko uśmiechnięte.

Mimo że był taki przystojny, jego niebieskie oczy wydawały się twarde i zdawały się mówić, że nie ma czasu na bzdury, a ja na razie nie zrobiłam na nim wrażenia.

Denise znowu się do mnie uśmiechnęła, ale twarz Marca pozostała poważna. Nie tracił czasu na uprzejmości.

– To jest Denise Crompton – powiedział, wskazując kobietę po swojej lewej stronie. Miał głęboki głos, każde słowo brzmiało bardzo wyraźnie i czysto. Mówił z lekkim angielskim akcentem, co mnie zaskoczyło, bo czytałam, że dorastał w Los Angeles. – Uczy śpiewu, muzyki i tańca. – Złączył szczupłe palce. – A kim ja jestem, oczywiście wiesz. Jestem właścicielem tej akademii i trzy razy w tygodniu tu wykładam. A ty jesteś…?

– Sopfia Rose – przedstawiłam się, czując, jak ściska mnie w gardle. Choćbym nie wiem jak się starała, nie byłam w stanie oderwać wzroku od jego oczu. Były jak świeca migocząca w ciemnym pokoju. Na nic innego nie mogłam patrzeć. Odpowiedział mi spojrzeniem, pochylając się do przodu i opierając na łokciach.

– Cóż, panno Rose – zaczął z lekkim uśmiechem. – Miło, że ubrała się pani dla nas tak elegancko.

Spojrzałam w dół, na swój biały podkoszulek i dżinsy.

– Mój wykładowca z uniwersytetu twierdzi, że na przesłuchania lepiej chodzić na luzie – odparłam. – W przeciwnym razie można sprawiać wrażenie, że za bardzo się staramy.

Marc uniósł jedną brew.

– Tak powiedział?

– Powiedziała.

Uśmiech sięgnął już jego oczu.

– Pani mnie poprawia, panno Rose?

– Ja…

– Zobaczmy, co pani potrafi. Kogo pani zagra?

– Lady Makbet.

– Och. – Marc odchylił się na oparcie krzesła i postukał granatowym długopisem o notatnik. – Zła kobieta z Szekspira.

– Nie. – Poczułam, że się prostuję. – Ona nie jest zła.

– Znowu mnie pani poprawia?

– Ale ona naprawdę nie jest zła – powtórzyłam z uporem. – Nie wierzę, że ktokolwiek może być całkiem zły. Nawet złe postacie mają w sobie światło. Tylko trzeba tego poszukać. Jeśli nie widzę w postaci dobra, nie mogę jej zagrać.

Spojrzenie Marca było tak intensywne, że naprawdę miałam wrażenie, że zaraz się pod

nim przewrócę. Patrzyliśmy na siebie przez długą chwilę. Potem Marc rozparł się na krześle i obrócił w szczupłych palcach długopis.

– Cóż, panno Rose. Jak już mówiłem, zobaczymy, co pani potrafi. Gotowa?

– Tak. – Głupio kiwnęłam głową, strzepnęłam palce i wzięłam głęboki oddech.

Zagrałam scenę, w której Lady Makbet ma krew na rękach. Czytałam ze skryptu, który sama zmieniłam, i włożyłam w tę scenę całą swoją pasję i namiętność. Czułam mrok i światło tej kobiety, jej żądzę władzy, ale też jej wyrzuty sumienia i obłęd.

Nie patrzyłam na Marca, ale chwilami kątem oka dostrzegałam jego uniesione brwi albo dołeczek w jego policzku.

Kiedy skończyłam, Denise spontanicznie zaczęła klaskać. Marc patrzył na mnie z kamienną twarzą, a ja pomyślałam, że najwyraźniej musiałabym zaprezentować znacznie więcej, by zrobić wrażenie na zdobywcy dwóch Oscarów.

Potknęłam się w drodze do drzwi.

– Dziękuję, że poświęcili mi państwo swój czas.

– Panno Rose – warknął Marc.

Moja dłoń zadrżała na klamce.

– Światło i mrok, w to pani wierzy, tak? Dobro w każdym człowieku?

– Tak.

Ścisnął długopis z taką siłą, że aż zbielały mu kostki. Zauważyłam, że zacisnął też zęby, i zaczęłam się zastanawiać, czy go zdenerwowałam. Potem położył długopis na notatniku.

– Dziękuję za odegranie tej sceny. Bardzo mi się podobało.

Rozdział 3

Myślę o tym słowach, wpatrując się w list informujący mnie o przyjęciu do akademii. Bardzo mu się podobało. Chyba naprawdę tak myślał.

Biorę komórkę i dzwonię do Jen. W ogrodzie taty świeci słońce; zasłaniam ekranik ręką i wciskam ostatni klawisz. Jen to moja najlepsza przyjaciółka – zawsze jest pierwsza wśród najczęściej wybieranych numerów.

– Jen. Tu Soph.

– Co się stało? Wszystko w porządku? Masz dziwny głos – gdzie jesteś?

Śmieję się. Jen tak dobrze mnie zna.

– Wszystko w porządku. Nic złego się nie dzieje. Przynajmniej na razie. Tylko jestem u taty i zrobiłam sobie właśnie przerwę w sprzątaniu.

– Każdy weekend spędzasz na sprzątaniu ich domu…

– Wiem, Jen, ale oni potrzebują mojej pomocy. – Odkąd nowa dziewczyna taty, Genoveva, urodziła mu dziecko, w ich domu ciągle panuje chaos. Mieszkałam tam, zanim zaczęłam studia, ale teraz bywam u nich tylko w weekendy.

Biorę głęboki oddech.

– Ale… przyjęli mnie na studia podyplomowe. Dobre. W akademii w Londynie.

– Przyjęli cię? Do akademii? Myślałam, że skończyłaś już studia i tak dalej.

– To studia podyplomowe. W naprawdę bardzo dobrej akademii.

– W której?

– W Akademii pod Bluszczem. W Londynie.

– O. Mój. Boże. Nabijasz się ze mnie! – wrzeszczy Jen do telefonu. – Do akademii Marca Blackwella? Musisz się ze mnie nabijać. Mówiłaś, że były tysiące kandydatów. Tysiące! Mówiłaś, że nigdy się tam nie dostaniesz. Mówiłaś, że Marcowi nie spodobało się twoje przesłuchanie.

– Wiem. Ale chyba jednak mu się spodobało.

– Nie mogę w to uwierzyć, Soph. Mówiłam, że jesteś dobra. No, nie mówiłam?

– Dzięki, Jen.

– Marc Blackwell – piszczy Jen. – On cię będzie uczył! Będziesz mieszkała w jego akademii!

Zasłaniam usta ręką, żeby stłumić nerwowy śmiech.

– Obłęd, no nie? Rozumiesz, sama nie mogę w to uwierzyć.

– Zaczekaj.

Słyszę szelest papieru.

– Mam tu magazyn „Heat” – mówi Jen. – W tym numerze jest o nim artykuł… o, mam. Coś, że daje pieniądze, żeby ocalić jakiś stary, rozlatujący się kościół w Londynie. Jest też jego zdjęcie. Prawdziwe ciacho. Chociaż to raczej nie typ wykładowcy akademickiego. No, bo ile on ma lat – dwadzieścia siedem?

– Marc Blackwell grał od dziecka – mówię. – Ma na koncie więcej filmów niż większość czterdziestolatków.

– O Boże, Soph, on jest taki seksowny. Te oczy… to ciało… jest w nim coś dzikiego. Może to przez te wszystkie mocne filmy o sztukach walki, w których gra. I on będzie cię uczył! Rozmawiał z tobą!

– Jeśli przyjmę to miejsce – mówię. – Już go spotkałam, pamiętasz? Jest taki zimny. Niezbyt miły i wspierający. Może to nie są studia dla mnie.

– Mówiłaś już tacie?

Przygryzam paznokieć.

– Nie. No cóż, na razie nie ma o czym mówić, prawda? Nie zdecydowałam jeszcze, czy przyjmę to miejsce, czy nie.

– Żartujesz sobie ze mnie? Dość tego. – Połączenie zostaje przerwane. Wiem, co to znaczy. Jen już do mnie jedzie swoim nowym mini.

Jen i ja przyjaźnimy się od szkoły podstawowej, ale pochodzimy z zupełnie różnych światów. Jej tata pracuje w kancelarii prawnej, a mama zajmuje się domem, pierze, prasuje i w ogóle dba o to, żeby Jen i jej tata dobrze się prezentowali.

Mój świat jest bardziej chaotyczny. Kiedy miałam siedem lat, umarła moja mama i wychowywał mnie tata. Jest fantastyczny, ale pracuje w różnych godzinach, bo jest kierowcą taksówki, więc czasami całymi dniami go nie widuję. Starałam się dbać o dom najlepiej, jak umiałam, kiedy mieszkaliśmy razem, ale tata należy do osób, które samym

spojrzeniem potrafią zrobić bałagan, więc zawsze było to trudne. W szkole często pojawiałam się w zmiętej spódniczce albo bluzce z przykrótkimi rękawami.

Kilka lat temu tata poznał Genovevę – kobietę, którą Jen nazywa moją złą macochą. Ja nie widzę jej w ten sposób. Ona nie jest zła, po prostu nie chce się dzielić moim ojcem z nikim i nie chce, żeby cokolwiek przypominało jej, że miał inne życie, zanim ją poznał.

Kiedy się spotkali, Genoveva wprowadziła się do naszego domku. Przez jakiś czas było w porządku, ale potem Genoveva zaszła w ciążę, a ja zaproponowałam, że przeniosę się do przybudówki, żeby mieli więcej miejsca. Dostałam się na uniwersytet w Szkocji, ale było oczywiste, że potrzebują mojej pomocy, więc wybrałam uczelnię w mieście obok.

W przybudówce warunki są dość spartańskie, ale jestem pod ręką i zawsze mogę im pomóc, a na czas studiów tata pozwolił mi mieszkać tam za darmo.

Patrzę na jego domek. Wiem, co powie tata, kiedy opowiem mu o Akademii pod Bluszczem: Podążaj za swoim sercem, za swoimi marzeniami. Ale wiem też, że jemu i Genovevie będzie ciężko bez mojej pomocy.

Słyszę pisk hamulców na zewnątrz i chrzęst żwiru, więc wiem, że mini Jen właśnie wjechał na podjazd. Chwytam list z akademii i wybiegam przed dom, machając do niej ręką.

Rozdział 4

Soph! – Jen też do mnie macha. Wygląda wspaniale, jak zwykle. Długie, jasne włosy, proste jak linijka, opadają jej na plecy. Dżinsy od znanego projektanta. Zielone oczy podkreślone ciemną kredką i okrągłe jak u dziecka policzki. Jen jest niewysoka, ma kobiecą figurę i wielki biust – w przeciwieństwie do mnie: ja mam szczupłe ręce i nogi i zaledwie miseczkę B.

– Przyjmiesz to miejsce! – woła Jen, idąc w moją stronę przez podjazd.

– Ciii. – Macham rękami. Mój tata, Genoveva i mój mały braciszek, Samuel, są teraz w domu. Widzę tatę i Genovevę przez okno w salonie i wydaje mi się, że się kłócą, bo Genoveva wymachuje gwałtownie rękami.

Jen bierze mnie pod ramię i ciągnie w stronę przybudówki, która stoi zaledwie kilka metrów od domu. Jest to parterowe studio. Kuchnia, sypialnia i salon to jedno pomieszczenie, ale nie przeszkadza mi to. Jest tu wszystko, czego potrzebuję, i jeśli tylko utrzymuję porządek, nie doskwiera mi brak miejsca.

Wchodzimy do środka i Jen zatrzaskuje za nami drzwi.

– Jak możesz tu wytrzymać? – Podchodzi do czajnika. – Ta kobieta ukradła ci dom.

– Dzięki niej tata jest szczęśliwy – mówię, ścierając pajęczynę z oprawionego w ramkę zdjęcia mojej mamy, które stoi na parapecie. Na zdjęciu mama się uśmiecha. Zdjęcie zostało zrobione w ogrodzie i jej ciemne włosy lśnią w słońcu. – Tak czy inaczej, lubię tę przybudówkę. Należy tylko do mnie.

– Czy to jest ten list? – pyta Jen i wyciąga kartkę papieru z mojej ręki.

– Tak. Ciągle jeszcze nie przeczytałam go dokładnie. Jetem w szoku. Sama nie wiem, Jen. Nie wiem, jak tata i Genoveva poradzą sobie beze mnie. Londyn jest tak daleko.

Jen zbywa mnie machnięciem ręki i przebiega wzrokiem list.

– Do Londynu jest stąd pół godziny autobusem i godzina pociągiem. Będziesz mogła przyjeżdżać w każdy weekend, jeśli okaże się, że to konieczne. Słuchaj, jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Nie pozwolę ci zaprzepaścić takiej szansy. Mowy nie ma.

– Tylko dlatego, że te studia prowadzi jakiś arogancki hollywoodzki gwiazdor?

– On nie jest pierwszym lepszym hollywoodzkim gwiazdorem – mówi Jen. – Sama mówiłaś, że to niezwykle dobry aktor.

– O reputacji niezwykle zimnego człowieka – dodaję.

– W porządku, może istotnie wydaje się trochę arogancki – mówi Jen. – Zdaje się, że w ogóle nie czyta scenariuszy, jeśli rola jest proponowana jeszcze komuś poza nim. Uważa za obrazę, kiedy inny aktor jest choćby brany pod uwagę.

Przełykam ślinę.

– I taki człowiek ma mnie uczyć? Naprawdę myślisz, że to dobry pomysł? Wiesz, że czasami łatwo mnie zranić.

Jen wzrusza ramionami.

– Czas, żebyś trochę stwardniała. Może właśnie tego ci potrzeba. Zresztą może to tylko plotki. Każdy, kto odniósł taki sukces jak Marc, będzie nękany przez prasę. Oni z tego żyją. A ty nie możesz zaprzepaścić takiej szansy, Sophio, jesteś świetną aktorką.

Wzdycham.

– Jen, nie jesteś obiektywna.

– Hej! – Jen macha listem. – Najwyraźniej Marc Blackwell i wszyscy inni w tej akademii się ze mną zgadzają.

– Widzieli tylko jedno przesłuchanie – mówię. – Przesłuchanie, na którym nawet się nie zdenerwowałam, bo ani przez moment nie wierzyłam, że zostanę przyjęta. Oni mnie tak naprawdę nie znają. A kiedy poznają, może stwierdzą, że popełnili błąd. Tak czy inaczej, są jeszcze problemy natury praktycznej. Czy mnie na to stać? Tata nie ma w tej chwili pieniędzy. Ma na utrzymaniu Genovevę i Samuela. Już i tak pozwolił mi mieszkać za darmo w przybudówce. Nie mogę go prosić o więcej.

Jen milczy i ciągle wpatruje się w list. Potem opuszcza go powoli.

– O co chodzi? – pytam.

– Mówiłaś coś o pieniądzach? – pyta Jen.

– Nie proponuj mi pożyczki. Wiesz, że jej nie przyjmę.

– Nie miałam takiego zamiaru.

– To dobrze.

– Nie miałam takiego zamiaru, bo wszystko jest opłacone. Patrz. Tu jest tak napisane. Oni płacą za wszystko.

– Co? – Biorę list do ręki. – Ale… jak to? Nie ubiegałam się o stypendium ani nic w tym rodzaju.

– Nie musisz tego robić – mówi Jen. – Zobacz. – Wskazuje jeden z paragrafów. – Twoje studia są ufundowane przez akademię, co oznacza, że masz opłacone mieszkanie i

wyżywienie, dostajesz od nich kieszonkowe i jeszcze pewną kwotę na początek.

– Nie wierzę. – W kółko czytam ten fragment listu i wydaje mi się, że zaraz zemdleję. – Ufundowane przez akademię?

– Teraz podaj mi jeden dobry powód, dla którego miałabyś nie przyjąć tego miejsca. – Jen znowu bierze list i czyta dalej. Odwraca stronę i czyta do końca, szybko poruszając oczami. – Soph, gdzie jest koperta?

Wzruszam ramionami.

– Chyba w ogrodzie. Bo co?

– Lepiej po nią chodźmy. – Jen wybiega na zewnątrz a ja idę za nią wzdłuż spękanej ściany domu, na trawnik i do ogrodu, pełnego kwiatów i drzew taty. Mówię „taty", ale prawdę mówiąc, to był ogród mamy, a teraz jest mój, bo tylko ja o niego dbam. Nie, żeby był to przykry obowiązek – uwielbiam zajmować się roślinami. Robiłabym to całymi dniami, gdybym tylko mogła.

Jen podnosi z ogrodowego stolika brązową kopertę.

– Nie uwierzysz w to. Przestań się ciągnąć za włosy. Nie ma się czym denerwować.

Opuszczam rękę. Moje włosy są proste u góry, ale na dole zaczynają się skręcać, więc zawsze naciągam końce, żeby je wyprostować – zwłaszcza kiedy jestem zdenerwowana. Włosy sprawiają, że wyglądam absurdalnie młodo, jak dziewczynka z lokami, ale Jen zawsze mówi, że zazdrości mi fal à la Kate Moss. Ja w każdej chwili zamieniłabym się na jej proste jasne włosy.

– O co chodzi? – pytam.

– Miejsce ufundowane przez akademię oznacza, że masz opłacone zakwaterowanie, wyżywienie i wydatki na życie – mówi Jen. – Dostajesz od nich też podręczniki. Ale to nie wszystko. Otrzymujesz też jednorazową wypłatę. Na ubrania i przybory. – Jen podnosi kopertę i wkłada do środka palce, a potem tryumfalnie wyciąga z niej czek.

– O mój Boże. – Biorę czek i spoglądam na sumę. To więcej pieniędzy, niż miałam w całym swoim życiu. Zasłaniam usta dłonią.

– Wiesz, co to znaczy? – pyta Jen.

– Co? – pytam.

– To znaczy, że idziemy na zakupy.

Rozdział 5

Zwykle, wybierając się z Jen na zakupy, mam mieszane uczucia. Jen jest fantastyczna, zawsze zmusza mnie do mierzenia rzeczy, których sama nigdy nie miałabym odwagi założyć, i ma niekończącą się cierpliwość. Ale ma też niekończącą się kartę kredytową, podczas gdy ja muszę przeżyć na minimalnych przychodach z moich różnych dorywczych zajęć.

Na ogół stać mnie głównie na praktyczne stroje, jak dżinsy i swetry, i to tylko na jedną

rzecz w miesiącu, jeśli mam szczęście. Ale dzisiaj mogę kupić wszystko, na co mam ochotę. Nie muszę patrzeć na cenę na metce. Nie muszę wybierać najtańszych sklepów. To cudowne, ale też bardzo dziwne uczucie.

Zatrzymujemy się na parkingu przed centrum handlowym. Jen wkłada bilet parkingowy za wycieraczkę i bierze mnie pod ramię.

– Będzie super – mówi. – Widziałam mnóstwo rzeczy idealnych dla ciebie na jesień.

Jedziemy windą na pierwsze piętro – zwykle go unikam, bo tam właśnie są wszystkie sklepy z rzeczami, na które mnie nie stać.

– Patrz, tu jest wyprzedaż – mówię. Mam oko do wyprzedaży.

– Dzisiaj zapomnij o wyprzedażach – odpowiada Jen. – Teraz wyprzedają letnie kolekcje, a ty potrzebujesz nowych rzeczy na jesień. Strojów, w których będziesz wyglądała tak fantastycznie, że Marc Blackwell natychmiast się w tobie zakocha.

Śmieję się.

– Jakoś tego nie widzę.

– Chodź – mówi Jen. – Wiem dokładnie, dokąd powinnyśmy pójść.

Zabiera mnie do Brickworks, pięknego butiku, który pachnie olejkami. Wielka, biała przestrzeń zastawiona jest długimi wieszakami.

Widzę czterdziestoparoletnią kobietę z krótko ostrzyżonymi platynowymi włosami, w czarnych okularach przeciwsłonecznych, która oprowadza po sklepie piękną, wysoką dziewczynę – zakładam, że to jej córka. Obie mają pełne ręce ubrań, a ja zastanawiam się, jak to jest, być tak bogatym, że można sobie kupić w takim sklepie całą nową garderobę. Chyba zaraz się tego dowiem.

Jen już wpycha mi w ramiona swetry i sukienki.

– Ten jest oversize, z opadającym ramieniem. Spójrz tylko na tę zieleń. Będzie idealnie pasowała do twoich oczu. Strasznie chciałabym mieć brązowe oczy. To jest twoja pora roku, wiesz? Jesień.

Uśmiecham się do niej.

– Ty i te twoje pory roku.

Jen ma obsesję na punkcie kolorów i dopasowywania ich do ludzi. Ja najwyraźniej jestem jesienią, co oznacza, że mogę nosić odcienie pomarańczu, zieleni i żółci. Jen nosi chłodne kolory, na przykład srebrny i bardzo blady róż.

Patrzę na swoje oczy w lustrze i nagle zaczynam myśleć o mamie. Moje oczy mi ją przypominają. Czasami boję się, że całkiem ją zapomnę. Wspomnienia bledną z każdym rokiem i jej postać coraz bardziej się oddala. Dlatego wszędzie mam porozstawiane jej zdjęcia, a pod łóżkiem trzymam pudło z jej rzeczami.

– A te dżinsy… Rany! Będziesz w nich wyglądała niesamowicie seksownie. – Jen rzuca mi na ramię parę wąskich dżinsów, gustownie poszarpanych, w pięknym szarym kolorze. – I biżuteria! Mają tu cudowną biżuterię. Ten naszyjnik będzie doskonale pasował. – Zakłada mi na szyję złote koła z powyginanego, młotkowanego metalu.

Potem ciągnie mnie w stronę przymierzalni, gdzie sprzedawczyni otwiera przed nami drzwi i wiesza ubrania na haczykach z artystycznie giętego metalu.

– Mogę zaproponować do tych dżinsów drapowany podkoszulek – mówi. – Nosi pani rozmiar trzydzieści cztery, prawda?

– Zgadza się – potwierdza Jen. – Szczęściara. I ciągle uważa, że jest za gruba.

Sprzedawczyni przynosi wieszak z bluzką z miękkiej tkaniny w kolorze jasnego karmelu.

– Po prostu idealne do twojej karnacji – oznajmia Jen.

– A co z tym zielonym swetrem? – zastanawiam się. – On też mi się podoba.

– Soph, kochana, chyba zapomniałaś. Dzisiaj nie musisz wybierać. Możesz kupić obie rzeczy.

– Racja – mówię i uśmiecham się, bo dociera do mnie, że to prawda. Dziwne.

– Widziała pani już naszą jesienną kolekcję obuwia? – pyta sprzedawczyni.

– Nie, ja…

– Przymierzy wszystkie buty, które pasują do tych dżinsów – mówi Jen. – I jeszcze jakieś na wysokich obcasach, do tej sukienki.

– Ale ja nigdy nie chodzę na obcasach…

– Soph, nie musisz być dzisiaj praktyczna. Możesz kupić coś, co jest trochę głupie. Coś, co może włożysz tylko raz, i to nie wiadomo kiedy.

– Ale gdzie miałabym iść na obcasach?

– Jak mówi moja mama – kup strój, a okazja się znajdzie.

– Dobrze, niech będzie – poddaję się.

Mierzę wszystko i okazuje się, że Jen ma dobre oko, jak zwykle. Miękka, niebieska sukienka, którą wybrała, mieni się w świetle sklepowych lamp i opina mnie w talii w sposób elegancki i seksowny jednocześnie. W butach na wysokich obcasach moje nogi wyglądają wspaniale. Czuję się tak, jakbym była kimś zupełnie innym – kimś, kto nie będzie się czuł nie na miejscu w Akademii pod Bluszczem.

– To wszystko wygląda wspaniale – stwierdzam na przydechu, wieszając ubrania ostrożnie na wieszakach. Patrzę na ceny. – Jezuniu, Jen, sama nie wiem…

– Och, tak – mówi Jen. – Bierzesz wszystko. Nowa garderoba, nowe życie. Jeśli ty nie kupisz tych rzeczy, ja ci je kupię.

– Dobrze już, dobrze. – Jen zawsze grozi, że kupi mi ubrania. Wie, że nigdy bym jej na to nie pozwoliła, ale i tak próbuje. – Doskonale, wezmę je.

– Wszystkie? – upewnia się Jen. – Biżuterię też?

Sprzedawczyni nachyla się do mnie zachęcająco.

Uśmiecham się.

– Tak. Wszystko. Paski, buty i biżuterię.

Jen i sprzedawczyni obie klaszczą w ręce.

– Wspaniale! – wołają unisono.

Rozdział 6

Siedem sklepów później uginam się pod ciężarem papierowych toreb. Widziałam

niezliczone piękne ubrania, składane i owijane z czułością w delikatną bibułkę. W jednym sklepie bibułkę spryskano nawet olejkiem lawendowym i zaproponowano dostarczenie zakupów do samochodu. Jestem przyzwyczajona do kupowania rzeczy oznaczonych czerwonymi metkami z wyprzedaży, wciśniętych potem do tandetnych foliowych reklamówek.

– Jest jeszcze coś, czego potrzebujesz, zanim zabiorę cię na kawę – oznajmia Jen.

– To ja zabiorę cię na kawę – mówię. – Przynajmniej tyle mogę zrobić. Nic sobie dzisiaj nie kupiłaś. Wszystko kręciło się wokół mnie.

– Soph, zawsze to ty tylko patrzysz, kiedy ja przymierzam różne rzeczy, a sama wracasz do domu z pustymi rękami. Dla mnie to przyjemność widzieć, jak kupujesz sobie nowe rzeczy. Zasługujesz na to bardziej niż ktokolwiek inny. Tak ciężko pracujesz.

– Jesteś taką dobrą przyjaciółką – zaczynam, biorąc ją pod ramię. – Nie wiem, co zrobię bez ciebie w Londynie. Będzie mi ciebie strasznie brakowało.

– Będę cię odwiedzała – mówi Jen. – A ty zawsze będziesz mogła do mnie zadzwonić. Zresztą pewnie zaraz będziesz tam miała mnóstwo nowych przyjaciół. Jesteś taka dobra i życzliwa, ludzie zawsze do ciebie lgną. Zaraz o mnie zapomnisz.

– Nigdy – mówię.

Jen ciągnie mnie w stronę tej części centrum handlowego, gdzie są sklepy z męskimi rzeczami.

– Gdzie my idziemy?

– Zobaczysz.

Jen prowadzi mnie do jasno oświetlonego sklepu Apple. Białe wnętrze jest pełne lśniących tabletów, laptopów i komputerów.

– Myślę, że to cię uszczęśliwi – mówi Jen i ściska moje ramię.

Zawsze miałam informatycznego hopla; uwielbiam komputery, gry i gadżety. Nie, żeby kiedykolwiek było mnie stać na wiele, zawsze jednak z przyjemnością pomagałam Jen wybierać nowy telefon komórkowy albo komputer.

W sklepie podchodzę do rzędu białych laptopów, cienkich jak papierowy zeszyt.

Zbliża się do nas sprzedawca w podkoszulku z logo Apple.

– Witam – mówi. – Interesuje panią laptop?

– Delikatnie powiedziane. – Przesuwam dłonią po idealnie gładkim, olśniewająco białym wierzchu laptopa.

– Jaki ma pani budżet?

– Hm… cóż… w zasadzie… nie mam budżetu.

– Och. Cóż, mamy kredyty…

– Nie, chciałam powiedzieć… – Czuję, że zaczynam się czerwienić. – Cena nie gra roli. – Jestem zażenowana, jakbym się popisywała. – Przynajmniej nie dzisiaj.

Sprzedawca patrzy na mnie z ciekawością; pewnie zastanawia się, jak to możliwe, że dziewczyna w starych trampkach i zmechaconej bluzie może stwierdzić, że cena nie gra roli.

– No dobrze, a czy jest jakiś model, który szczególnie się pani spodobał?

Podchodzę do najnowszego modelu Maca. Jest lekki jak książka w miękkiej okładce i ma baterię, która wytrzymuje cały dzień. Dziwnie się czuję, podchodząc do najdroższej

rzeczy w sklepie, zamiast do najtańszej. Zwykle patrzę na ceny, żeby znaleźć najniższą, bez względu na to, gdzie jestem – w restauracji, kawiarni czy supermarkecie. Zostałam tak zaprogramowana. Trudno to zmienić.

– Weźmie ten – decyduje Jen, podążając wzrokiem za moimi oczami. – Ten jest najlepszy, prawda?

– Tak bym powiedział – mówi sprzedawca. – Jest w sprzedaży zaledwie od ubiegłego tygodnia. Była lista oczekujących, ale dostaliśmy nowe i dwa nam zostały.

Idzie na zaplecze i wraca z gładkim, płaskim białym pudełkiem.

– Proszę.

– Jeśli moja koleżanka kupuje za pełną cenę, co może jej pan dorzucić gratis? – pyta Jen, spoglądając na niego ostro.

Mężczyzna przełyka ślinę.

– Cóż… może… torbę na laptopa?

– I co jeszcze? – ciągnie Jen, stukając butem o podłogę.

– Oprogramowanie antywirusowe.

– I jedną z tych… jak one się nazywają? Myszek? Tak się chyba na to mówi?

– Chce pani myszkę? – pyta sprzedawca.

– Tak. Proszę dołożyć myszkę i dobijemy targu.

Mężczyzna wydaje się podenerwowany, ale chyba zdaje sobie sprawę, że byłoby nierozsądnie spierać się z Jen w nastroju handlowym.

– Umowa stoi – mówi.

– Doskonale! – Jen prowadzi mnie do kasy.

Wychodzimy ze sklepu; ja przyciskam do piersi laptop jak nowo narodzone dziecko. Uwielbiam go, uwielbiam go, uwielbiam go.

Jen widzi uśmiech na mojej twarzy i obejmuje mnie ramieniem.

– To był mój najlepszy dzień.

Rozdział 7

Kiedy Jen wysadza mnie przed domem, widzę tatę, który macha do nas, stojąc w drzwiach. Podchodzi do samochodu.

– Chryste Panie! Znowu byłaś na zakupach, Jen? Ile tym razem kosztowały twojego tatę?

Jen spogląda na mnie i rozumiemy się bez słów: żadna z nas nie powie mu, że te zakupy są moje. Tata jest ostatnio naprawdę nerwowy, jeśli chodzi o pieniądze. Gdybym mu powiedziała, że dostałam czek na ogromną sumę na ubrania i studencki ekwipunek, chciałby, żebym włożyła te pieniądze do banku i kupiła sobie ubrania w sklepie z odzieżą używaną. Co byłoby bardzo rozsądne i kiedy indziej tak bym pewnie właśnie postąpiła. Ale cieszę się, że Jen zmusiła mnie, żebym trochę zaszalała.

– Napijecie się herbaty, dziewczynki?

Patrzę w stronę domu, próbując się zorientować, czy Genoveva jest w domu. Nie brzmi to dobrze, ale czasami nie wchodzę tam, bo ona zawsze rozstawia mnie po kątach. Gdy jest tylko tata i Samuel, jest bardzo fajnie. Nigdy jednak nie przyznałabym się tacie, że tak czuję. Świadomość, że nie jesteśmy z Genovevą najlepszymi kumpelkami, złamałaby mu serce.

– Czy Genoveva jest w domu? – pyta Jen, bezpośrednia jak zawsze.

Tata z roztargnieniem drapie się po głowie. Teraz jego włosy są szpakowate, a z tyłu głowy jest zupełnie łysy. Genoveva kupiła mu jakiś preparat na porost włosów, którego tata czasami używa, a jego czaszka robi się od niego czarna. Tata wyłysiał, kiedy miał dwadzieścia kilka lat. Mamie nigdy to nie przeszkadzało. Wiem, że inni taksówkarze nabijają się czasem z niego, ale tata nic sobie z tego nie robi.

– Zabrała Samuela do fotografa, ze swoją przyjaciółką – wyjaśnia tata.

– Nie wiedziałam, że ona ma jakieś przyjaciółki – szepcze Jen.

– Chętnie napiję się herbaty – mówię tacie. – Ale nie martw się. Wydajesz się zmęczony. Ja zaparzę. – Tata jest osobą, która zawsze i wszędzie robi bałagan. Nie chce tego, ale wiem, że jeśli on weźmie się do herbaty, cały kuchenny blat będzie mokry i lepki od cukru, i to ja będę musiała to posprzątać, żeby Genoveva na niego nie krzyczała.

– Dzięki, ale muszę wracać do domu – mówi Jen, odwracając się do mnie. – Chciałabym jeszcze, żebyś powiedziała mi, co myślisz o jednej sprawie. – Mruga do mnie, więc wiem, że chce porozmawiać ze mną na osobności.

Kiedy tata wchodzi do środka, pyta:

– Myślisz, że będzie niezadowolony?

– Nie wiem. – Naciągam włosy i czuję, jak znowu podskakują do góry. – Wiesz, rozmawialiśmy o tym, że w tym roku się wyprowadzę, ale chyba nie przypuszczał, że będę chciała wyjechać tak daleko. Chyba zaczął bardzo na mnie liczyć, jeśli chodzi o opiekę nad małym i tak dalej.

– Poradzi sobie – mówi Jen. – Oboje sobie poradzą.

– Może – powątpiewam. – A kiedy wyprowadzę się z przybudówki, będą ją mogli wynająć i zarabiać na tym trochę. Im wcześniej, tym lepiej, prawdę mówiąc.

– Właśnie – zgadza się Jen. – Powiesz mu dzisiaj, prawda? Nie chcę, żebyś to odkładała, a potem zmieniła zdanie co do wyjazdu.

– Powiem. – Biorę głęboki oddech. – Będzie ciężko, ale zrobię to.

– Dobrze. Twój tata jest wrażliwy, ale myślę, że dobrze przyjmie taką wiadomość. Zobaczysz.

Włącza silnik i odjeżdża.

Wchodzę do domu i słyszę już, że woda się gotuje.

– Tato?

– Masz ochotę na swój napar z rumianku? – pyta tata.

– Usiądź. Ja to zrobię – mówię, podchodzę do kredensu i wyciągam kubki. Nie pytam taty, czego chce się napić – zawsze pije herbatę przygotowaną w ten sam sposób. Z dużą

ilością mleka i dwiema łyżeczkami cukru.

– Zawsze robisz to lepiej niż ja. – Tata się uśmiecha i siada przy stole. Dom jest stary, ale tata zlikwidował większość ścian, kiedy go kupił, więc jest to jedna otwarta przestrzeń. Kuchnia i jadalnia są połączone z salonem; sufit podpierają czarne drewniane belki. Jest tu trzy razy więcej miejsca niż w mojej przybudówce, a dom jest zawsze ciepły i przytulny.

Nigdy nie mówiłam o tym tacie, ale w przybudówce robi się lodowato nocą, a pościel zawsze wydaje się wilgotna. Czasami pudło z rzeczami mamy pod moim łóżkiem pokrywa się pleśnią i muszę wycierać je ściereczką.

– Soph… mam nadzieję, że mogę cię o to zapytać: czy coś cię zaprząta?

– Dlaczego tak ci się wydaje? – pytam i moja ręka z łyżeczką cukru zawisa nieruchomo nad kubkiem z jego herbatą.

– Po prostu… wydajesz się trochę nieobecna.

– Tak. Może tak jest. – Wrzucam cukier do herbaty i zaczynam ją mieszać. – Jak ci się układa z Genovevą?

Tata się śmieje.

– Och, no wiesz. Ona lubi się czasem pokłócić. Ale nie robimy tego częściej niż każda inna para.

Mama i tata nigdy się nie kłócili. Oboje byli tacy zgodni, że nie mieli się o co spierać.

– Ale wszystko jest w porządku? Na ogół? – dopytuję. Nie chcę rzucać swojej bomby, jeśli tata miał kiepski dzień.

– Och, tak – potakuje tata, patrząc w okno. – Na ogół wszystko jest w porządku. Żałuję, że nie mogę pozwolić ci mieszkać w przybudówce tak długo, jak zechcesz.

– Tato, daj spokój. Nie mówmy już o tym. Nie ma sprawy. Masz teraz Genovevę i dziecko, o które musisz dbać. Potrzebujesz dodatkowego dochodu. Jestem dorosła. Poradzę sobie.

– Nie zasługuję na taką dobrą córkę – mówi tata, biorąc swój kubek z herbatą. – W puszce są ciasteczka z kremem.

– Dziękuję. – Bardzo lubię te ciastka, ale w tej chwili nie mam ochoty na jedzenie. – No dobrze. – Biorę głęboki oddech i wypuszczam powoli powietrze. – Muszę ci coś powiedzieć.

Tata stawia kubek na stole.

– Wszystko w porządku, Soph? Potrzebujesz mojej pomocy?

– Nie. – Kręcę szybko głową. – Ani trochę. Ale mam wiadomość.

– Tak? – Tata próbuje się uśmiechnąć.

– Tak – mówię. – To wspaniała wiadomość… z jednej strony.

– Cóż, powiedz mi, o co chodzi.

– Dostałam ufundowane przez uczelnię miejsce na studiach podyplomowych.

– To fantastyczna wiadomość, Soph – mówi tata. – Naprawdę fantastyczna. – Oddycha z ulgą. – Och, ciężar spadł mi z serca. Nie mogłem spać, myśląc o tym, jak zdobędziesz pracę w tej małej wiosce. Bez samochodu i tak dalej. Chciałbym ci kupić samochód, ale… Soph, czy w taki razie będziesz chciała zostać w przybudówce dłużej?

– Nie.

– Więc gdzie będziesz mieszkała? Twój uniwersytet nie ma akademika dla studentów po dyplomie, prawda?

– Te studia nie są na moim uniwersytecie – mówię. – To akademia w Londynie. – Patrzę w swoją herbatę, na szarą torebkę pływającą w brązowym płynie. – Złożyłam tam papiery pod wpływem kaprysu, naprawdę. To był pomysł mojego promotora. W ogóle nie brałam tego poważnie. Ani przez chwilę nie sądziłam, że zostanę przyjęta.

Tata kiwa głową ze smutkiem.

– Londyn jest trochę za daleko, żebyś mogła przyjeżdżać na weekendy, prawda?

Kręcę głową.

– To tylko kilka godzin stąd. Mogę cię często odwiedzać.

– Zdaje się, że już przyjęłaś to miejsce – stwierdza tata z łagodnym uśmiechem.

– Tak. To wspaniała okazja. Tysiące ludzi starały się o przyjęcie. No i Jen na pewno by mnie zabiła, gdybym go nie przyjęła. – Uśmiecham się.

– To prawdziwa przyjaciółka, ta Jen. – Tata upija łyk herbaty. – O mnie się nie martw, Soph. Nie chcę, żebyś się mną martwiła. Jedź i dobrze się baw. Opowiedz mi o tej akademii.

– Nazywa się Akademia pod Bluszczem – mówię. – Należy do pewnego sławnego aktora. Marca Blackwella. On tam też wykłada.

– Słyszałem o nim. – Tata pstryka palcami. – Ten film… jak on się nazywał… ten z wózkiem. On grał tam tego koszykarza na wózku.

– *Meandry umysłu* – podpowiadam. – Dostał za tę rolę Oscara.

– Więc on jeździ na wózku, tak?

Uśmiecham się.

– Nie, tato, to aktor. Po prostu zagrał tę rolę. Jest zupełnie sprawny. Prawdę mówiąc, jest tak sprawny, że dostał propozycję zagrania Jamesa Bonda kilka lat temu, ale odmówił.

– James Bond! – woła tata z błyskiem w oku. – Będzie cię uczył James Bond?

– Nie przyjął tej roli.

– Dlaczego, na litość boską?

Wzruszam ramionami.

– Pewnie uznał, że to nie jest rola dla niego. On niewiele gra w takich wielkich produkcjach.

Tata stawia kubek na stole i obejmuje mnie ramieniem.

– Jestem z ciebie taki dumny, kwiatuszku. Naprawdę. Jesteś najlepszą córką, jaką mógłby sobie wymarzyć ojciec. Jedź i pokaż im tam, co potrafisz.

Rozdział 8

Jest wieczór przed moim wyjazdem do Londynu i Jen zaprosiła mnie do siebie na coś, co

nazwała „ostatnią wieczerzą”. Ma dla mnie jakieś wiadomości. Dobre wiadomości. A także gorącą czekoladę, brandy, marshmallows i popcorn. Mam nadzieję, że popcorn poda osobno, bo z Jen nigdy nic nie wiadomo.

Trzy razy naciskam dzwonek – to nasz sekretny sygnał – a Jen wpuszcza mnie do apartamentowca. Nazywam jej mieszkanie domem Big Brothera, bo wszędzie są kamery. Jen mieszka w jednym z tych nowych domów ze szkła i metalu, które buduje się jak fortece.

Po skończeniu szkoły Jen nie zawracała sobie głowy studiami. Zamiast tego dostała dobrze płatną pracę w dziale PR i wprowadziła się tutaj. Jej tata był wściekły, ale Jen zawsze robiła to, na co miała ochotę. Zaplanowała sobie, że kiedyś będzie miała własną agencję PR.

Próbowałam wyhodować jakieś rośliny na szklanym balkonie Jen, żeby miała własny ogródek, ale wszystkie pousychały. Jen ma wiele talentów, ale brak jej ręki do kwiatków.

Kiedy docieram do jasnych, drewnianych drzwi Jen, jest mi trochę smutno. Myśl o niej sprawia, że już zaczynam tęsknić za domem. Znamy się od tak dawna, że jesteśmy niemal jak siostry i wszystko przeżywałyśmy razem. Pierwszy łyk wina w parku, pierwsze zauroczenia, pierwsze pocałunki, pierwsi chłopcy… Wszystko.

Jen otwiera drzwi, jeszcze zanim zdążyłam zapukać.

– Soph! Mam dla ciebie wiadomość! – Wciąga mnie do środka. – Och, kupiłaś wino. Super. Potraktujemy je jako zakąskę?

Obie zaczynamy chichotać.

Mieszkanie Jen jest wielkie. Długi blat oddziela kuchnię od salonu. Duże okna wychodzą na miejscowy park, a Jen mówi, że to lepsze niż własny ogródek. Park nie należy do niej, więc nie może go zabić.

Jen otwiera wino z głośnym dźwiękiem i ruchem głowy pokazuje stolik do kawy, na którym leży sterta DVD.

– Domyślasz się, jaką mam dla ciebie wiadomość?

– Coś na temat Marca Blackwella – mówię powoli.

Podnoszę jedną z płyt. *Obcymi oczami*, ambitny film, który nigdy nie osiągnął wielkiego sukcesu kasowego, ale wzbudził zachwyt krytyków. Obracam płytę i widzę na drugiej stronie twarz młodego Marca Blackwella.

– Wygląda tu tak młodo – mówię. – To musiał być pierwszy film, w jakim zagrał.

– Nie, to nie był jego pierwszy film – zaprzecza Jen i nalewa wino do lśniących kryształowych kieliszków. – Grał w filmach od dziecka. A także w reklamach. Miał bardzo ambitnego tatę, który wcześnie zdecydował, że Marc zostanie gwiazdą.

– Więc był gwiazdą już jako dziecko? – pytam.

Jen kiwa głową.

– Zaczekaj, aż ci powiem, czego jeszcze się o nim dowiedziałam.

– Czego?

– Postarałam się, żeby moja firma trochę poszperała – mówi Jen. – I zdaje się, że on bardzo chroni ludzi, na których mu zależy, tych nielicznych.

– Och? – Unoszę jedną brew. – A kim oni są?

– Z ojcem mu się nie układa, a matka nie żyje. Ale ma siostrę, jest też bardzo

zaprzyjaźniony z Denise Crompton.

– Jego matka nie żyje? – mruczę, przypominając sobie, jak zimny wydał mi się podczas przesłuchania. – Może dlatego nie umie być ciepły.

– Bzdura. – Jen kręci głową. – Ty straciłaś mamę, a jesteś jedną z najcieplejszych osób, jakie znam.

– Mnie to w jakiś sposób otworzyło – stwierdzam. – To, że ją straciłam. Ale chyba może być też inaczej. Coś takiego może człowieka zamknąć. – Przełykam ślinę. – Denise Crompton była na moim przesłuchaniu. Ona też pracuje w akademii. – Siadam na kanapie. – Mówisz, że on stara się ją chronić?

– Bardzo. – Jen kiwa głową. – Parę razy starł się z paparazzi, którzy ją niepokoili. I jego siostrę. Siostra ma problem z narkotykami i małego synka. Marc daje jej pieniądze, ale wszystko idzie na heroinę. Krążą plotki, że raz przyłożył jej chłopakowi, ale potem mu zapłacił, żeby nie poszedł z tym do prasy.

– Dziwnie pomyśleć, że będę z nim w jednej sali. – Zapadam się w kanapę. – On jest taki…

– Seksowny – kończy za mnie Jen. – Jak wyglądał na żywo?

– Inaczej niż na ekranie – mówię. – To znaczy, na ekranie jest fantastyczny. To, jak się porusza, jak wchodzi w role. Wszystkie emocje wychodzą z jego wnętrza. Ale na żywo jest… po prostu hipnotyzujący. Nie tylko dlatego, że jest taki przystojny. Chociaż jest. Jest przystojny w taki dziwny sposób. Ta biała skóra i cienie. Ale w oczach miał coś takiego… jakąś siłę. Jakby nic nie mogło go zranić.

– Ale oczy ma piękne, tak?

Myślę o Marcu w tej świeżej czarnej koszuli, o tym, jak patrzył mi prosto w oczy.

– Chyba można tak powiedzieć.

– Jak ty w ogóle zdołasz się tam czegokolwiek nauczyć? Cały czas będziesz się na niego gapiła.

Śmieję się.

– To wspaniały aktor. Po prostu fantastyczny. Dosłownie staje się postacią, którą gra.

– To dlatego, że jest pokręcony – mówi Jen. – Najlepsi aktorzy zawsze są tacy. – Unosi jedną brew i patrzy na mnie. – Może w ogóle wszyscy aktorzy.

Obie się śmiejemy.

– Może jednak nie jest aż tak pokręcony – mówię, czując dreszcz na ramionach. – Skoro stara się chronić swoją siostrę… I Denise… To brzmi dobrze.

– Ty zawsze próbujesz dostrzec w każdym coś dobrego. – Jen się uśmiecha. – Ale zaczekaj, aż powiem ci, co jeszcze odkryłam.

– To znaczy?

– Oficjalnie nigdy nie był w żadnym związku dłużej niż kilka tygodni. I żadna dziewczyna, z jaką był, nigdy nie poszła do prasy, co jest dziwne. A pokazywał się z mnóstwem dziewczyn. Naprawdę z mnóstwem. Ale żadna długo nie przetrwała.

– Może dobrze je traktuje, więc nie mają powodu, żeby sprzedawać o nim jakieś historie. – Biorę do ręki kolejny film. – Uwielbiam ten. *Wietnamska narzeczona*.

– Więc obejrzyjmy go. – Jen podaje mi kieliszek wina.

Kiedy oglądamy razem filmy, rzadko je naprawdę oglądamy. Gadamy przez cały czas.

Ale tym razem obie siedzimy w milczeniu, kiedy na ekranie pojawiała się twarz Marca Blackwella, opalona, spocona i brudna.

W tym filmie miał najwyżej szesnaście lat i jego niebieskie oczy są równie intensywne, ale… inne. Jest w nich otwartość i miękkość, których nie widziałam na przesłuchaniu.

– Wygląda tak słodko, no nie? – mówi Jen.

Patrzę, jak Marc próbuje naładować broń, a z jego młodych rąk wypada amunicja. Policzki ma bardziej zaokrąglone. Nie tak kanciaste.

– Nigdy nie był w związku dłużej niż kilka tygodni – powtarzam, patrząc na przystojną twarz Marca i jego zmarszczone brwi, podczas gdy daje popis genialnej gry aktorskiej. Jest pełen ciepła i życia, a ja spoglądam na płyty z filmami, w których grał już jako dorosły mężczyzna, i zdaję sobie sprawę, że były to już tylko role zimnych, twardych ludzi. Bohaterowie akcji. Mężczyźni ze straszną przeszłością.

– Ciekawa jestem, co mu się przydarzyło – zaczynam, patrząc na młodego Marca – że stał się taki zimny.

– Jak już wspominałam – mówi Jen – miał ciężkie dzieciństwo. Jego ojciec był chyba potworem.

– Chyba tak.

– Trudno oderwać od niego wzrok – zauważa Jen, nalewając wino. – Tylko pomyśl, już jutro naprawdę będziesz patrzyła w te oczy.

– Wątpię. – Upijam łyk wina. – Jutro jest dzień zakwaterowania. Dostaniemy pokoje i będziemy musieli się rozpakować. Zajęcia zaczynają się pojutrze. – Obejmuję głowę rękami. – Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. To naprawdę duży stres, wiesz? To znaczy… spójrz tylko na niego. – Wskazuję ekran. – To taki świetny aktor. A jeśli okaże się, że nie jestem dość dobra?

– Nie bądź śmieszna. Widział cię na przesłuchaniu. Wie, że umiesz grać.

– Widział mnie na przesłuchaniu – powtarzam, słysząc te słowa wyraźniej niż kiedykolwiek. – Marc Blackwell widział mnie na przesłuchaniu. To takie… niesamowite.

– I podobało mu się to, co zobaczył.

Ręce mi drżą, kiedy stawiam kieliszek na stole.

– Boże, to naprawdę mocne.

– Jesteś już spakowana?

– Tak.

– Więc wszystko ustalone. Odwiozę cię tam jutro po południu i pomogę ci się rozpakować. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę tą akademię. Wszystko to brzmi tak fantastycznie.

Rozdział 9

Po półgodzinie krążenia po jednokierunkowych ulicach Londynu znajdujemy wreszcie

kierunkowskazy do Akademii pod Bluszczem i jedziemy za nimi aż do stojących w zieleni zabudowań.

Na widok czerwonej cegły, krągłych wieżyczek i wielkich trawników Jen wydaje cichy okrzyk.

– Spójrz tylko na to miejsce! Jest ogromne. Kto by pomyślał, że można znaleźć coś takiego w centrum Londynu? Można by pomyśleć, że taka przestrzeń już dawno zostałaby zabudowana sklepami i domami.

Jen przejeżdża przez otwartą bramę i żwirową drogą wśród wypielęgnowanych trawników zbliżamy się do budynku.

– Nie mogę w to uwierzyć, Soph. To wygląda zupełnie jak pałac.

– Raczej czarodziejski zamek – mówię, wskazując wieżyczki. – Z tajemniczym lasem, a może nawet potworem.

– Dobrze, że nie masz wielu toreb – cieszy się Jen. – Bo wygląda na to, że jest tu dużo schodów.

Jedziemy w stronę, którą wskazuje znak z napisem „Akademik”; jakiś młody, szczupły i wysoki chłopak o bardzo jasnych włosach wyciąga właśnie walizki z zielonego jaguara.

Jen zatrzymuje samochód i wysiadamy.

– Gdzieś tu jest mój pokój – mówię, wyjmując plecak z bagażnika i zarzucając go na plecy. Wyciągam jeszcze pudło z rzeczami mamy i stawiam na nim kilka doniczek ze świeżo wyhodowanymi z odciętych pędów ziołami.

– Nie mogę uwierzyć, że to wszystko, co masz – dziwi się Jen, biorąc ode mnie pudło i zioła. – Żadnej suszarki do włosów. Żelazka. Dobrze, że jesteś dość ładna, żeby móc sobie pozwolić na zmięty wygląd.

Uśmiecham się do niej, ale ściska mnie w żołądku. Budynek jest piękny. Ma łukowate okna, jak w jakimś zamku, i cały jest ze szlachetnej czerwonej cegły.

Szczupły chłopak mija nas, ale nie patrzy na mnie ani się z nami nie wita. Po prostu wyciąga kolejną walizkę z samochodu i wraca do budynku.

– To chyba też student – mówię.

– Miło, że taki uprzejmy – mruczy Jen.

– Pewnie jest zdenerwowany – szepczę do niej. – Tak jak ja.

Wchodzimy do budynku. Za blatem recepcji stoi niska, pulchna kobieta. Ma siwe włosy i braki w uzębieniu, ale bardzo przyjazny uśmiech.

– W czym mogę paniom pomóc? – pyta ciepło.

– Jestem nową studentką – przedstawiam się. – Sophia. Naprawdę miło mi panią poznać.

– Wendy. – Kobieta potrząsa moją ręką. – Tak, mam cię na liście. Pokój na ostatnim piętrze. W wieżyczce. Chyba najładniejszy, jaki mamy. A na pewno największy. – Wręcza mi wielki, srebrny klucz z czarnym brelokiem, a potem spogląda na Jen. – Przykro mi, ale twoja przyjaciółka nie może zostać. To jedna z naszych zasad. Uważamy, że to pomaga wszystkim szybciej się poznać.

Odwracam się do Jen, która stawia pudło na ziemi, i długo się ściskamy.

– Uważaj na siebie, Soph. I zadzwoń do mnie zaraz, jak się rozpakujesz.

– Dobrze. Zadzwoń, jak dojedziesz do domu.

Patrzę, jak odjeżdża, a potem podnoszę pudło.

– Możesz skorzystać z windy, jeśli chcesz – informuje mnie Wendy, wskazując w głąb długiego korytarza, który pachnie nowym dywanem. Jest jasno oświetlony i ciepły.

– Dziękuję – mówię – ale nie mam dużo bagażu. Zostawię windę dla studentów, którzy mają więcej. Zresztą długo siedziałam w samochodzie. Przyda mi się trochę ruchu.

Idę w stronę kamiennego łuku, a potem w górę spiralnych schodów na pierwsze piętro. Widzę znowu wysokiego blondyna, który wychodzi ze swojego pokoju i idzie w stronę windy.

– Cześć. – Macham do niego ręką. Pochyla głowę i wciska guzik. Podchodzę bliżej. – Jestem Sophia.

– Ryan – mówi. Z bliska widzę nerwowe zmarszczki wokół jego oczu. Nie jest w stanie spojrzeć mi w oczy, ale i tak szeroko się do niego uśmiecham. Rozumiem, że może się czuć niepewnie. Może przyjechał tu pierwszy.

– Miło cię poznać, Ryan.

– Ciebie też – mówi i chyłkiem wchodzi do windy.

Wracam na schody i idę na czwarte piętro. Na górze jestem już mocno zdyszana. Koniec z pączkami, Soph.

Dębowe drzwi są osadzone w kamiennym łuku i nabijane żelaznymi gwoździami. Przytrzymuję pudło pod pachą, wsuwam klucz do dziurki i otwieram swój nowy pokój.

Nie wierzę własnym oczom.

Pokój jest wspaniały. Wielki, piękny, zdumiewający. Musiało zajść jakieś nieporozumienie. To hotelowy apartament.

Pokój jest okrągły; pod jedną ze ścian stoi wielkie podwójne łóżko, a jedną z krągłości zabudowano, tworząc łazienkę. Jest balkon z oszklonymi drzwiami i kominek, który wygląda tak, jakby był sprawny.

Widok z balkonu zapiera dech w piersiach. Patrzę na morze zieleni i dachy zabytkowych budowli Londynu w oddali.

Rany.

Wkładam plecak do dużej szafy, w której zupełnie się gubi. Pudło mamy wsuwam pod łóżko, jak zwykle, ale najpierw wyciągam z niego jej zdjęcia i stawiam je na parapecie, frontem do szyby, żeby mogła widzieć ogród za oknem.

Jest tu też mały, schludny aneks kuchenny z czajnikiem i lodówką, ale bez kuchenki. Chyba będę jadała posiłki na stołówce i inni będą dla mnie gotowali. Dziwnie o tym myśleć.

Wielki bukiet białych i czerwonych róż stoi na stoliku przy oknie, a obok niego leży mała karteczka. Obraz na niej przedstawia teatr Old Vic, a kiedy ją odwracam, zaczynam mrugać ze zdumienia.

Kartka jest od Marca Blackwella.

Czytam:

„Droga Sophio, jesteś niezwykle utalentowaną aktorką i cieszę się, że będziemy razem pracowali”.

Odkładam kartkę. Wydawał się taki zimny na przesłuchaniu, a tu taki miły gest. Taki… uważny.

Przypomina mi się, że będzie mnie uczył, i ogarnia mnie podniecenie. Nie miałam na razie okazji przemyśleć tego wcześniej, ale Jen ma rację – będę siedziała naprzeciw jednego z najlepszych, najbardziej twórczych aktorów, jakich kiedykolwiek widziałam na ekranie.

Na parking poniżej wjeżdża więcej samochodów, postanawiam więc, że zejdę i zapoznam się z innymi studentami.

Kiedy zbiegam po schodach, znowu wpadam na Ryana, wnoszącego kolejną walizę.

– Czy Marc zostawił dla ciebie prezent w pokoju? – pyta mnie.

– Tak – potwierdzam. – Kwiaty. I karteczkę. To naprawdę bardzo miłe. Na przesłuchaniu wydawał się taki arogancki, ale może odniosłam mylne wrażenie.

– Ja dostałem wodę po goleniu – mówi Ryan.

– Nie bolą cię plecy od wnoszenia tych wszystkich walizek? – pytam żartem. Ale Ryan się nie śmieje.

– A co było na twojej karteczce? – pyta, marszcząc brwi.

– Eee… coś miłego o mojej grze aktorskiej. Napisał, że jestem utalentowana i że cieszy się, że będzie ze mną pracował.

– Co? – Ryan upuszcza z hukiem walizkę na schody. – Dlaczego miałby napisać coś takiego komuś takiemu jak ty?

– Komuś takiemu jak ja?

– Zapomnij o tym. Nieważne.

Patrzę na niego przeciągle, wyzywająco, bo czekam, aż rozwinie swoją myśl, ale jego twarz się chmurzy i widzę, że nic z tego nie będzie.

– Tak, zapomnijmy o tym – stwierdzam, ruszając szybko w dół schodów. Mam nadzieję, że reszta studentów nie jest tak nieprzyjemna.

U dołu schodów widzę dziewczynę o wspaniałych, długich, rudych włosach, z okularami w czarnych kwadratowych oprawkach na białym nosie. Ma na sobie czarny blezer i dżinsy i z uśmiechem rozgląda się po holu, stojąc obok chłopaka na wózku, w kapeluszu à la Robin Hood, ozdobionym żółtymi piórami. Chłopak jest trochę przy kości i jego różowa koszula opina się lekko na brzuchu. Z tyłu wózka ma nalepkę z napisem: „Przynajmniej zawsze mam miejsce siedzące”.

Oboje rozmawiają w recepcji z Wendy.

– Dam wam klucze – oznajmia Wendy.

– Och. Dziękuję. – rudowłosa dziewczyna się uśmiecha. – Jestem Tanya Holmes. – Mówi z akcentem z Yorkshire, a kiedy się uśmiecha, w jej bladych policzkach pojawiają się dołeczki. – Cudownie tu jest, prawda? Nie miałam pojęcia, że w Londynie jest coś takiego. Prawdę mówiąc, nigdy takiego miejsca nie widziałam.

Wendy podaje jej klucz i odwraca się do chłopaka na wózku.

– A pan to…?

– Tom Davenport. – Tom całuje ją w rękę. – Bardzo mi miło panią poznać. – Mówi z doskonałym akcentem, dokładnie takim, jakiego spodziewałabym się u studenta Akademii pod Bluszczem. Krótko mówiąc, zupełnie innym niż mój.

Tom bierze klucz i odwraca się do mnie.

– Witaj. Ty też jesteś nową studentką?

– Tak – potwierdzam. – Jestem Sophia. Mów mi Soph.

– Ciebie także miło poznać, Soph – mówi Tom, wyraźnie walcząc ze sobą przy tym zdrobnieniu. – Ależ ty jesteś piękna. – Mnie też całuje w rękę. – Wyglądasz, jakbyś miała w sobie trochę włoskiej krwi. Zgadza się?

Kiwam głową z uśmiechem.

– Tak na wszelki wypadek… – zaczyna Tom. – Gdybyś szukała tu jakichś seksualnych doświadczeń, moje drzwi są dla ciebie zawsze otwarte. – Puszcza do mnie oko. – Wystosowałem już podobne zaproszenie do Tanyi, więc będziesz w dobrym towarzystwie.

Tanya wybucha śmiechem, a potem uśmiecha się do mnie.

– Jestem Tanya. Miło cię poznać, Soph. Długo już tu jesteś?

– Dopiero przyjechałam – mówię. – Na razie poznałam tylko jednego studenta.

– Och?

– Nazywa się Ryan.

– To chodźmy po niego – proponuje Tanya – a potem do studenckiego baru. Już po piątej. To pora na piwo, czyż nie?

Tom marszczy brwi.

– Nie powinniśmy się najpierw rozpakować, moje drogie?

– Będzie na to mnóstwo czasu później. – Tanya lekceważąco macha ręką. – Zostaw walizki w bagażniku i chodź z nami na piwko.

– Nie chciałbym rozwiać wrażenia, że jestem samcem alfa – mówi Tom – ale wolę raczej dżin z tonikiem.

– Podwójny?

– Nie inaczej.

– W takim razie w porządku.

Tanya biegnie schodami na górę po Ryana, ale wraca samotnie.

– Powiedział, że chce najpierw skończyć sprzątać w pokoju – oznajmia, obejmując nas ramionami. – Trudno. Dołączy do nas później.

Rozdział 10

Idziemy żwirową ścieżką wśród wypielęgnowanych trawników aż do dębowych drzwi naprzeciwko akademika. Za nimi znajduje się przytulny pub, z barem podającym prawdziwe piwo, whisky i brandy. Wszystkie stołki są zrobione z beczek, a do baru na całej długości przyczepiona jest gruba lina. Czuję się jak na statku.

– Skąd wiedziałaś, że tu jest bar? – pytam Tanyę.

Stuka się palcem w nos.

– Powiedzmy, że mam inne talenty poza aktorskim. – Oblewa się rumieńcem. – Cholera, nie zabrzmiało to dobrze. Nie chciałam się wydać zarozumiała czy coś. Nie

chciałam… Nie mówię, że jestem dobrą aktorką, ale…

– No, już, już, moja droga. – Tom obejmuje ją ramieniem. – Nie ma powodu do tej śmiesznej skromności. Wszyscy dostaliśmy się do jednego z najbardziej prestiżowych college'ów w kraju. To oczywiste, że mamy talent aktorski. Co nie znaczy, że nie musimy się jeszcze wiele nauczyć. No dobrze. To co mogę wam zaproponować?

– Ja proszę old peculiar – mówi Tanya.

– A ty, skarbie? – Tom odwraca się do mnie.

– Eee… Białe wino?

– Jasne. – Tom naciska dzwonek i ku naszemu zdumieniu za barem w tajemniczy sposób pojawia się Wendy.

– Rany, kobieta o wielu talentach – mówi Tom. – Recepcjonistka i barmanka w jednym. Cudownie.

Wendy obdarza go szerokim uśmiechem.

– Wszystkim się tutaj zajmuję. Niedługo sami się przekonacie. I cóż? Co mogę wam podać?

Tom składa zamówienie i wszyscy siadamy na stołkach.

– Denerwuję się przed spotkaniem z nim, a wy? – pyta Tanya, obejmując dłońmi swoje piwo.

– Spotkaniem z kim? – pyta Tom.

– A jak myślisz? Z Markiem Blackwellem, oczywiście. Na przesłuchaniu był dla mnie bardzo oschły. Powiedział, że muszę bardziej popracować nad akcentem. Po wszystkim uznałam, że to straszny cham i tak dalej.

– Mnie się spodobał – stwierdza Tom. – Miał ciężkie życie i nie można oczekiwać, że będzie miał serce na dłoni. Ale wydał mi się uczciwy i inteligentny. Szanuję go; nie każdy ma taką siłę przekonywania i odwagę, żeby mówić, jak jest. Dał mi świetne wskazówki, jak mogę wykorzystywać swoje ciało. Nie lukrował, tylko powiedział po prostu: Tom, garbisz się. Usiądź inaczej, będziesz czuł więcej. Niewielu ludzi potrafiłoby powiedzieć coś takiego facetowi na wózku.

Z okna widzimy, jak przyjeżdżają kolejni studenci. Dziewczyna o platynowych włosach i dobrze zbudowany chłopak, który wygląda na sportowca.

– Oczywiście – ciągnie Tom – na mnie nie działa on tak bardzo jak na was, dziewczyny. Ale… to z pewnością jeden z najlepszych żyjących aktorów. I zrobił na mnie duże wrażenie w *Meandrach umysłu*. Z pewnością odrobił pracę domową. Więc naprawdę się cieszę, że będzie mnie uczył.

– Jest taki gwałtowny, ale muszę przyznać, że ma też… charyzmę – przyznaje Tanya. – Na przesłuchaniu omal nie zemdlałam, kiedy go zobaczyłam. To te jego oczy. Widać w nich cały świat. Założę się, że nie ma tu wielu dziewczyn, którym się nie podoba. A na ciebie działa, Soph?

Czuję, że się czerwienię. Głupie. W końcu kto się nie podkochuje w aktorach?

– Może trochę. – Kiedy przypominam sobie jego oczy, z trudem trafiam kieliszkiem do ust. – Ale wydaje się trochę zimny.

– Rocznie daje na działalność charytatywną milion dolarów – wtrąca się Tom. – Może nie pokazuje swojej milszej twarzy na zewnątrz.

– Może masz rację – mówię i upijam łyk wina. – Wszyscy dostaliśmy od niego prezenty na powitanie. Są w pokojach. Widzieliście już swoje?

– Nie – odpowiada Tanya. – Ja jeszcze nie widziałam swojego pokoju. O, patrzcie… znowu ktoś przyjechał. – Wskazuje trzy osoby, które wchodzą do baru. To ta dwójka, którą widzieliśmy wcześniej, i Ryan.

Z bliska platynowa blondynka ma bardzo ostre rysy i choć jest ładna, nie ma zbyt przyjaznego wyrazu twarzy. Jest bardzo wysoka i wchodzi do baru razem z tym dobrze zbudowanym chłopakiem i Ryanem.

– Miło was wszystkich poznać – wita ich Tanya, rzucając im swój olśniewający uśmiech. – Soph mówiła właśnie, że wszyscy dostaliśmy prezenty na powitanie od Marca Blackwella. Czy to nie cudowne?

Blondynka krótko kiwa głową.

– Do nas też napisał liściki. W moim wraził nadzieję, że będzie mi się podobało w akademii.

Ryan nachyla się do niej.

– Cecile, tej tutaj się wydaje, że jej napisał, jaką jest utalentowaną aktorką. Możesz w to uwierzyć?

Cecile wybucha piskliwym śmiechem.

– Żartujesz? – Przerzuca włosy z jednego ramienia na drugie. – Dlaczego miałby ci napisać coś takiego? Kim ty właściwie jesteś? Skąd on miałby to wiedzieć?

– Widział mnie na przesłuchaniu. – Słyszę swój własny głos.

– Nie, nie, skarbie – mówi Cecile. – On był tam tylko jako właściciel college'u. To Denise nas wybierała. Mój brat pracuje z mężem Denise Crompton i zna sprawy od kulis. Więc nikt z nas nie jest kimś szczególnym dla drogiego Marca. Choć mam nadzieję, że do końca roku ja stanę się dla niego kimś wyjątkowym.

– W każdym razie to miły gest – stwierdzam, przypominając sobie znowu tę karteczkę. Zaczynam się zastanawiać, czy na pewno dobrze ją odczytałam.

Cecile kręci głową.

– Pewnie to jego sekretarka to zrobiła. Liczę, że na koniec semestru dostanę od niego bardziej osobisty liścik.

– Marc Blackwell widział Sophie na przesłuchaniu – popiera mnie Tanya, poruszając szklanką, aż piwa chlapie na stół. – I skoro napisał, że jest świetną aktorką, to na pewno to właśnie chciał napisać.

Cecile mierzy mnie wzrokiem.

– A czemuż miałby to robić? – mówi zupełnie poważnie. – Nigdy cię nie widziałam ani o tobie nie słyszałam, a znam wszystkich, którzy coś sobą reprezentują. Ty nawet nie wyglądasz, jakbyś była z Londynu, bez urazy.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – pyta Tanya.

– Dzieci, dzieci… – Tom wjeżdża między dziewczyny na swoim wózku. – Powinniśmy wszyscy celebrować fakt, że jesteśmy tacy świetni. Zostaliśmy przyjęci do tej wspaniałej akademii. Co oznacza, że wszyscy jesteśmy fantastyczni. No to teraz napijmy się za wszystkich fantastycznych ludzi.

Podnosi szklankę.

– Za fantastycznych ludzi – mówię razem z Tanyą.

– I wszyscy jesteśmy podekscytowani tym, że jutro znowu się z nim spotkamy? – pyta Tom.

– Jutro? – dziwi się Tanya.

– W rzeczy samej – potwierdza Tom. – Poprowadzi nasze pierwsze seminarium.

– Serio? – dopytuje Tanya. – O której?

– Jest to napisane w tych dokumentach, które dostaliśmy na początku – mówi Tom. – O dziewiątej, w sali wykładowej.

Pamiętam plik papierów, które dostałam wraz z informacją, że jestem przyjęta, ale nawet do nich nie zajrzałam. Miałam tyle do zrobienia przed wyjazdem – zakupy dla taty i Genovevy, jedzenie, pieluchy i ostatnie sprzątanie, które będzie musiało im wystarczyć do czasu, kiedy wrócę.

– Podniecające, co? – pyta Tom. – Jutro z samego rana zobaczymy sławnego Marca Blackwella.

Rozdział 11

Kiedy wstaję następnego ranka, zadaję sobie pytanie, czy aby nie wymyśliłam sobie tej akademii, kwiatów i liściku od Marca. Ale jestem tu, kwiaty też tu są – piękne róże na wypolerowanym na wysoki połysk stoliku pod oknem, które wychodzi na najzieleńszy z terenów zielonych.

Jestem wypoczęta i podekscytowana. Posłuchałam poprzedniego wieczoru głosu rozsądku i położyłam się wcześnie, choć świetnie się bawiłam z Tomem i Tanyą.

Zanim poszłam do łóżka, jeszcze raz przeczytałam liścik i oczywiście brzmiał dokładnie tak, jak go zapamiętałam. *Bardzo utalentowana aktorka*. Napisane odręcznie i podpisane przez Marca Blackwella.

Pana Blackwella, przypominam sobie. Nie znasz go. Fakt, że widziałaś go w filmach, nie znaczy, że to twój kolega.

Wstaję i odczytuję to jeszcze raz, a kiedy zbliżam karteczkę do twarzy, czuję jakiś przyjemny zapach. Jakby lasu. Drzew po deszczu. Podnoszę ją do nosa i wdycham. Widzę swoje odbicie w drzwiach balkonowych i kładę liścik z powrotem na kwiatach.

Co ty właściwie wyprawiasz, Sophio? Poprawiam włosy i wyglądam przez okno. Nie zachowuj się jak głupiutka uczennica, która durzy się w nauczycielu. Wszyscy dostali od niego liściki i prezenty.

Biorę szybki prysznic, wcieram we włosy odrobinę serum, żeby dodać im blasku, i zostawiam je, żeby same wyschły. Wkładam nowe, wąskie dżinsy, wysokie skórzane buty i obszerny zielony sweter, w którym zdaniem Jen wyglądam pięknie. Nic zbyt wyszukanego na ten pierwszy dzień. Kocham grać, ale poza sceną nie lubię za bardzo przyciągać uwagi.

Jestem zbyt zdenerwowana, żeby zjeść śniadanie, więc zamiast tego wybieram się na spacer po parku. Lubię przebywać wśród zieleni – to mnie uspokaja i dodaje mi sił. Jeśli przynajmniej raz w tygodniu nie mogę pójść na długi spacer, czuję się pusta.

Park jest spokojny, na trawnikach lśni rosa. Ciągle świeci słońce, ale czuć już jesienny chłód, więc jestem zadowolona, że włożyłam sweter.

Wchodzę między drzewa, zachwycona spokojem i śpiewem ptaków. Ziemia jest świeża i czysta i zastanawiam się, czy nie mogłabym tu uprawiać warzyw. Między drzewami jest mnóstwo miejsca, a to, co wyhoduję, mogłabym oddawać do kuchni. Nie jestem do końca sobą, jeśli czegoś nie uprawiam.

Mijając kępę świerków, odkrywam coś, co zapiera mi dech w piersi – małe, nieruchome jeziorko, obrośnięte wokół trzciną. Jeziorko na pewno jest sztuczne, bo w pobliżu nie ma żadnej rzeki ani strumienia, a woda w nim wydaje się bardzo czysta.

Wciągam chłodne, świeże powietrze i żałuję, że nie mam czasu, żeby trochę popływać. Nie dla sportu – mogłabym przemierzyć jeziorko kilkoma ruchami – ale dla przyjemności pływania w naturalnej wodzie, wśród wysokich drzew.

Siadam obok kępy traw, zdejmuję buty i skarpetki, a potem wkładam stopy do lodowatej wody. Czuję, że wilgotnieją mi dżinsy, ale nie dbam o to – podoba mi się, że jestem teraz częścią tego lasu.

Nagły pisk płoszy wiewiórkę, która umyka w górę pnia świerku. Szybko wyciągam nogi z wody.

Co to było?

Robię kilka kroków przez las, czując pod bosymi stopami miękką ziemię, i orientuję się, że jestem bardzo blisko parkingu.

Wyglądając spomiędzy drzew, widzę czarnego forda mustanga, który właśnie zatrzymuje się pod akademią. Odsuwam gałąź i patrzę, jak samochód z otwieranym dachem zajmuje miejsce zarezerwowane dla pracowników uczelni. Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że wstrzymuję oddech. Sylwetka w samochodzie jest wysoka i szeroka. Słyszę dźwięk otwieranych drzwiczek i zaciskam palce na butach.

Z samochodu wysiada Marc Blackwell. Opiera łokcie na dachu auta i patrzy na zabudowania. Ma na sobie świetnie skrojony garnitur i koszulę; wyciąga papierosa z kieszeni marynarki i zapala go bez trudu.

Patrzę na niego, zafascynowana. Sposób, w jaki się porusza, jest taki elegancki. Wyrafinowany. Nawet to, jak zaciąga się dymem i wydmuchuje go nad brezentowym dachem, przypomina taniec.

Podchodzi do jednego z budynków i przygląda się cegłom; podnosi głowę, patrząc z uwagą na wysoką, czerwoną ścianę i pęknięcie, które biegnie po niej aż po sam dach. Potem wraca do samochodu, paląc i marszcząc brwi.

Wpatruję się w niego, niemal nie oddychając, jak zaciąga się papierosem i marszczy czoło. Nagle papieros się kończy, a on gasi go gdzieś w samochodzie i zatrzaskuje drzwiczki.

Robi dwa kroki w stronę akademii, a potem – ku memu przerażeniu – odwraca się i spogląda w las, dokładnie tam, gdzie stoję.

Zamieram i czuję, jak serce podchodzi mi do gardła. Czuję, jak rumieniec wypływa mi

na policzki, i uświadamiam sobie, jak głupio muszę wyglądać, stercząc tam z bosymi, mokrymi stopami.

Czy on mnie widzi? O Boże. Tak.

Rusza w moją stronę, a na jego niebezpiecznych wargach igra lekki uśmiech.

Mam ochotę uciec i schować się gdzieś, ale on paraliżuje mnie wzrokiem; nie mogę się ruszyć.

Wygląda jeszcze lepiej, niż go zapamiętałam. Wysoki – wyższy niż wydawał mi się na przesłuchaniu, a jego długie kończyny poruszają się płynnie. Jasnobrązowe włosy są dość długie na czubku głowy i opadają mu trochę na czoło i lewe oko.

– Panna Rose.

Otwieram usta, ale zaraz znowu je zamykam. On mnie pamięta. Nagle wydaje mi się, że mam za duże zęby.

– Dzień dobry, panie Blackwell – mruczę, nie patrząc mu w oczy.

– Co, jeśli wolno spytać, robi tu pani bez butów? Zdaje sobie pani sprawę, że mamy jesień? Przeziębi się pani.

Patrzę na swoje bose stopy, które teraz zaczynają już sinieć z zimna. Co on sobie o mnie pomyśli? Skradam się po lesie, podglądam go…

– Eee… Brodziłam w jeziorku.

– W jeziorku? – Marc zaciska zęby. – Woda jest bardzo zimna.

– Lubię wodę – bronię się słabo.

Marc marszczy brwi.

– Muszę dbać o swoich studentów, to mój obowiązek. Proszę więcej nie brodzić w jeziorku. – Przeczesuje włosy palcami. – Tak czy inaczej… Cieszę się, że kogoś zainteresował ten lasek. Lubię, kiedy ludzie cieszą się moimi drzewami.

– To nie są pańskie drzewa. – Nie chciałam powiedzieć tego na głos i teraz czuję, jak rumieniec wypływa mi na szyję.

– Słucham?

– To… po prostu drzewa. Żyjące byty. Nie należą do pana ani do mnie. – Teraz rumieniec sięga już moich policzków.

Marc wpatruje się we mnie przez chwilę. Potem pociera ucho palcami.

– Znowu mnie pani poprawia, panno Rose?

– Ja… nie. Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało…

– Jak na przesłuchaniu. – Marc przekrzywia głowę. – Ciągle intryguje mnie to, co wtedy pani powiedziała. Światło i ciemność. Dostrzeganie dobra w każdej postaci. Tak się zastanawiam, Sophio… Czy we mnie też widzisz jedno i drugie? Światło i ciemność?

Podnoszę na niego wzrok. To nie w porządku. On nie spuszcza ze mnie oczu i znowu czuję się tak, jakbym była sparaliżowana. Nie mogę myśleć. Nie mogę się poruszyć. Już mam mu odpowiedzieć – powiedzieć, że tak, że widzę jedno i drugie. Ale on nagle się odwraca i odchodzi.

Zaskoczona patrzę na jego szerokie plecy, kiedy idzie przez parking.

Po chwili wkładam buty i wracam do akademii.

Moje pierwsze seminarium z Markiem Blackwellem. Sama myśl o tym jest niepokojąca, a po naszym małym spotkaniu w lesie świadomość, że zaraz znowu go zobaczę, przeraża mnie bardziej niż kiedykolwiek.

Stoję z innymi studentami przed salą, przyciskając książki do piersi, i czuję, jak mocno bije mi serce.

Myślę o tym, co się przed chwilą wydarzyło. To takie nierealne. Może tylko mi się przyśniło? Tak się zastanawiam, Sophio… Czy we mnie też widzisz jedno i drugie? Fizyczna bliskość Marca Blackwella ciągle na mnie działa, choć tamta chwila już minęła. Ziemia umyka mi spod stóp, jakbym właśnie zeszła z karuzeli. Denerwuję się na myśl, że zaraz zobaczę go idącego korytarzem. Staram się nie myśleć o jego oczach ani dłoniach, ani ustach.

Patrzę na zegarek. Jest za pięć dziewiąta, ale ja czekam pod salą wykładową już od ponad dziesięciu minut. Po drodze wzięłam z pokoju książki i zaczynam już czuć, jakie są ciężkie.

Nie widzę nigdzie Toma ani Tanyi – chyba jeszcze leczą kaca i pojawią się w ostatniej chwili. Ale widzę Cecile i Ryana. Uśmiecham się i macham do nich. Żadne z nich zdaje się mnie nie zauważać. Chyba za bardzo pochłania ich plotkowanie o Marcu: o rolach, w których go widzieli, i artykułach prasowych, które o nim czytali.

A potem słyszę równe, mocne kroki.

Rozdział 12

Ktoś szepcze:

– Ciii!

Zaciskam ręce na książkach i odwracam się, żeby spojrzeć na mężczyznę, którego widziałam wcześniej w lesie – wysokiego, mrocznego aktora o niebieskich oczach, który sprawia, że tysiącom kobiet zaczynają drżeć kolana.

Te oczy. Są tak intensywnie niebieskie jak ocean na Karaibach i nagle przypominają mi się słowa Tanyi: „Można w nich zobaczyć cały świat”.

Miałam zamiar odwrócić wzrok. Udawać, że nie rozmawialiśmy już tego ranka. Ale nie muszę tego robić. Marc mija nas swoim zwinnym, pełnym wdzięku krokiem, z podniesioną głową.

Domyślam się, że jest przyzwyczajony do tego, że przeprowadza swoją wolę, a ludzie kłaniają mu się w pas. Idzie jak człowiek, który ma swoją misję, a jego buty stukają o posadzkę, co brzmi jak strzały z rewolweru.

Kiedy mnie mija, czuję zapach drzew po deszczu i przypominam sobie liścik. Nagle zdaję sobie sprawę, że głęboko wciągam powietrze.

W tym momencie on zatrzymuje się i odwraca, więc szybko wypuszczam powietrze z płuc. Staram się utrzymać równowagę, ale czuję, że książki wyślizgują mi się z rąk.

On patrzy na mnie.

– Podobał się pani spacer po parku dziś rano?

Przełykam ślinę.

– Tak, bardzo. Dziękuję.

– Cieszę się, że włożyła pani buty. – Unosi jedną brew i uśmiecha się kącikiem ust, a mnie coś ściska za serce.

Gardło też mam zaciśnięte. Książki z hukiem spadają na ziemię.

Ty idiotko, myślę.

Przykucam, a Marc kuca obok mnie.

– Nerwy pierwszego dnia?

Jego twarz jest kilkanaście centymetrów od mojej. Linie jego nosa i podbródka są doskonałe, podobnie jak lekko zapadniętych policzków. Podnosi książki i oddaje mi je. Jego palce muskają moje; czuję gęsią skórkę na całych ramionach.

– Proszę się nie denerwować – mówi, a potem odwraca się i wchodzi do sali.

Wszyscy ruszają za nim, ale ja jestem zbyt oszołomiona. Czuję, jak inni szturchają mnie po drodze. A kiedy wreszcie jestem w stanie pozbierać się na tyle, żeby wejść do środka, wolne miejsca są już tylko w pierwszym rzędzie.

O, słodki Jezu.

Czuję, że inni studenci patrzą na mnie, ale ja widzę tylko Marca, który przechadza się tam i z powrotem, czekając, aż wszyscy zajmą miejsca. Czy też raczej, aż ja zajmę miejsce – bo to ja weszłam do sali ostatnia.

Siadam więc z przodu i widzę, że Cecile także usiadła w pierwszym rzędzie, kilka krzeseł dalej. Wygładza teraz jasne włosy, a w notatniku zdążyła już napisać: „I wykład Marca Blackwella”, i podkreślić te słowa.

Marc zamyka drzwi sali wykładowej, a potem podchodzi do ekranu rzutnika, po którym krąży napis „Akademia pod Bluszczem”.

Jest zaledwie kilka kroków ode mnie, ja zaś czuję się… sama nie wiem… obnażona. Nie patrzy wprost na mnie, ale czuję, że zauważył, gdzie usiadłam. Żałuję, że nie mam lusterka, i nie mogę sprawdzić, jak wyglądają moje włosy i czy nie mam czegoś na twarzy. Mógłby zauważyć wszystkie moje niedoskonałości, gdyby chciał: małe piersi, mały garbek na nosie, pieprzyk na podbródku.

– Dobrze, studenci – zaczyna Marc, wsuwając kciuki w kieszenie spodni. – Domyślam się, że przeczytaliście już wszystko na mój temat w gazetach. Marc Blackwell, hollywoodzki aktor. Arogancki. Niegrzeczny. Nie lubi, żeby zawracać mu głowę bzdurami. Lubi postawić na swoim. Dlatego postawię sprawę jasno: jestem gorszy, niż piszą gazety. Możecie w to uwierzyć? – Uśmiecha się lekko. – Jestem twardy. Na swoich zajęciach oczekuję, że będziecie robili wszystko na sto procent. A jeśli uznam, że nie staracie się wystarczająco, dowiecie się o tym.

Drzwi sali otwierają się z cichym skrzypnięciem i do środka wjeżdża Tom, a za nim sunie Tanya. Wyglądają na odpowiednio skruszonych. Tanya wciska się na jedyne wolne miejsce, które akurat znajduje się obok mnie.

Tom zatrzymuje się obok niej i zdejmuje plecak z oparcia wózka. W ciszy, która panuje teraz w sali, dźwięk rozpinanego zamka mógłby obudzić umarłego.

– Wy dwoje. – Marc stuka palcem w swój rolex. – Nie toleruję spóźnień. Pod żadnym pozorem. Spóźnicie się jeszcze raz i wylatujecie z kursu.

Tanya szeroko otwiera oczy.

– Ale musieliśmy umyć wózek Toma – mówi. – Na zewnątrz jest dużo błota i koła się ubrudziły.

– Wymówek także nie toleruję – rzuca sucho Marc. – Tom, na przesłuchaniu mówiłeś, że zawsze jeździłeś na wózku.

– Istotnie, sir – potwierdza Tom. – I nigdy nie przeszkodziło mi to w robieniu tego, co robią inni. – Zauważam, że jego kapelusz jest dziś ozdobiony piórem pawia.

– W takim razie powinieneś wiedzieć, że potrzebujesz więcej czasu, żeby dotrzeć na czas.

Tom zamyka usta, a Tanya szepcze do mnie:

– No, naprawdę jest zasadniczy.

– Powiem wam, czego jeszcze nie toleruję – ciągnie Marc. – Braku subordynacji. Macie robić to, co wam każę, na swoich zajęciach albo kiedy będę was reżyserował na scenie. Jeśli chcę, żebyście coś zrobili, robię to w waszym interesie. Wiem, co jest dla was dobre. Jeśli nie będziecie wykonywali moich poleceń, natychmiast zostaniecie usunięci z kursu.

Tanya podnosi rękę.

– Opuść rękę – warczy Marc.

Tanya wykonuje polecenie.

– Dalej – mówi Marc. – Wiem, że wielu wykładowców jest ze studentami po imieniu, ale ja nazywam się pan Blackwell. Nie Marc. Jestem waszym nauczycielem, nie kumplem. Dla was jestem panem Blackwellem. Jakieś pytania?

Cecile siedząca kilka miejsce ode mnie podnosi rękę. Jest zarumieniona i błyszczą jej oczy.

Kolejna głupia uczennica zadurzona w nauczycielu.

– Tak, panno Jefferson?

– Proszę mi mówić Cecile. – Uśmiecha się do Marca, ale on w odpowiedzi tylko marszczy brwi.

– Masz pytanie? – pyta ją.

– Słyszałam, że nasze stopnie z pierwszego semestru nie będą się liczyły. Wystarczy, że go zaliczymy, a potem tylko oceny z drugiego i trzeciego semestru będą brane pod uwagę przy końcowym wyniku. Czy to prawda?

Marc zaciska usta, jego policzki wydają się przy tym bardziej zapadnięte.

– Nie w mojej akademii. Moi studenci cały czas podlegają ocenie. Liczy się każda praca i każde przedstawienie, a ci, którzy ich nie zaliczą, nie zostaną tu długo.

– Więc będzie pan oceniał naszą grę od pierwszego semestru? – pyta Cecile.

– O tak. – Marc uśmiecha się lekko. – Nie sądźcie, że unikniecie oceniania, bo jesteście nowi. Od pierwszej chwili oczekuję od was wszystkiego, na co was stać.

– I dostanie to pan, panie Blackwell – mówi Cecile.

Marc odwraca się do ekranu projektora.

– Kilka słów o waszych zajęciach w tym roku. Przygotujecie trzy spektakle; wszystkie

zostaną ocenione. Ja będę wam przydzielał role na podstawie tego, na czym, w moim przekonaniu, powinniście najwięcej pracować jako aktorzy. Zrobiłem notatki na waszych przesłuchaniach i już wiem, jak zostaniecie obsadzeni w pierwszym przedstawieniu, którym zajmiemy się już w tym tygodniu. Jeśli na koniec uznam, że sobie nie poradziliście… – Przesuwa dłonią po ekranie. – Nie przejdziecie na kolejny semestr. W mojej akademii jest tak samo jak w realnym świecie. Jeśli sobie nie radzisz, pakuj manatki.

– Dlatego dyplom z tej akademii otwiera tak wiele drzwi – wyrywa się Cecile. – Dlatego tu jestem, panie Blackwell, żeby zdobyć najlepsze w kraju kwalifikacje do gry aktorskiej.

– Nie wydaje mi się, żebym prosił panią o komentarze, panno Jefferson – upomina ją Marc. – A jeśli o nie nie proszę, nie chcę ich słuchać. Jeśli ma pani pytanie, proszę podnieść rękę, a ja zdecyduję, czy warto na nie odpowiedzieć, czy nie.

Cecile jest wyraźnie wściekła, że została skarcona, ale ma dość rozumu, żeby nie odpowiadać.

– Tak więc – Marc podnosi wskaźnik i uderza nim w ekran – to wasza gra powie mi, czy warto zostawić was na kursie. Będziecie grali przede mną, jeden na jeden. Zaczynamy w tym tygodniu.

Rozdział 13

Marc podnosi z podium pilota od rzutnika i wyłącza logo akademii. Jego miejsce zajmuje teraz lista nazwisk i tytułów sztuk. Patrzę, jak jego palce zaciskają się na wskaźniku. Znowu uderza nim w ekran.

– Przydzieliłem każdemu rolę i fragment tekstu.

Patrzę na listę i dociera do mnie, że to są nasze nazwiska, a przy każdym z nich widnieje imię postaci, sztuka i numery stron. Szukam na liście swojego nazwiska. Tanya wyciąga z torby okulary w grubych oprawkach i wkłada je na nos.

– Zapiszcie swoje role i zaczynajcie ćwiczyć – mówi Marc. – Skrypty są w składziku na papiery. – Celuje wskaźnikiem w drzwi za ekranem rzutnika. – Po zajęciach możecie je zabrać. – Mrużę oczy, wpatrując się w ekran, i w końcu widzę swoje nazwisko, na samym dole. Moja sztuka to *Zew nocy*, a postać to główna bohaterka, Jennifer Jones. Mrugam, oszołomiona. O, Boże. Jennifer Jones to baletnica, która uwodzi dyrektora teatru. Grały ją różne świetne aktorki. Nicole Kidman. Meryl Streep. Nie trzeba się rozbierać, ale rola jest z rodzaju *femme fatale*.

Tanya wydaje cichy jęk.

– Co dostałaś? – pytam.

– Biancę, z *Poskromienia złośnicy* – odpowiada. – Zupełnie inna rola od tych, jakie zwykle dostaję.

– Proszę o ciszę – mówi Marc i szum głosów milknie. – Celem tego ćwiczenia jest wyjście poza wasze dotychczasowe ograniczenia. Wkroczenie na nieznane wam dotąd obszary. Teraz chcę, żebyście poszli i zaczęli ćwiczyć. Potem każdy z was przyjdzie tu do mnie do sali i odegra swoją rolę. Jeśli zadanie zostanie zaliczone, zostaniecie na kursie i zaczniecie pracę z nową rolą. Po prostu. Wszystko jasne?

Widzę, jak wszyscy wokół mnie nerwowo kiwają głowami. Czuję, że ja też to robię.

– Ci, którzy mają sceny wymagające obecności drugiego aktora, będą grali ze mną. Reszta ma monologi. – Marc podchodzi do pierwszego rzędu, a ja wstrzymuję oddech. – Jakieś uwagi do moich metod nauczania?

Cisza.

Marc zatrzymuje się na wprost mnie.

– Dobrze. Bo chcę, żebyście wiedzieli jedno – jeśli nie podoba wam się mój styl pracy, macie tylko jedno wyjście. Odejść.

Biorę do ręki długopis i zaczynam obracać go w palcach. Chyba nie dam rady. Nie sądzę, żebym mogła zagrać Jennifer Jones przed kimkolwiek, nie wspominając o Marcu Blackwellu. To zbyt… sama nie wiem. Jennifer Jones powinna być naprawdę atrakcyjna i seksowna, a ja nie widzę się w taki sposób.

Marc otwiera drzwi sali za ekranem i gestem ręki zaprasza nas do środka.

– Tu są wszystkie skrypty. Możecie je wziąć. I pamiętajcie, że dobry aktor potrafi przyjąć każdą rolę i tchnąć w nią życie. Mam nadzieję, że zrobicie na mnie wrażenie.

Wstajemy i wszyscy ruszają tłumnie w stronę schowka. Ja zostaję z tyłu. Kiedy ostatni studenci wychodzą, znajduję *Zew nocy* obok sztuk Oscara Wilde'a.

Kiedy wracamy na swoje miejsca, Marc stoi już na podium za mównicą.

– Idźcie pracować nad swoimi rolami – mówi. – Dzisiaj po południu i jutro rano będę oglądał waszą grę. Za godzinę wywieszę na tablicy ogłoszeń dokładny harmonogram.

– Dzisiaj i jutro? – pyta Cecile. – Jak mamy się tak szybko nauczyć tekstu?

Marc patrzy na nią zimno.

– To tylko kilka stron. Wystarczy, żeby poczuć postać. Nie oczekuję, że powtórzycie tekst słowo w słowo. Dobry aktor rozumie postać i potrafi improwizować, kiedy jest to konieczne.

– Ale mamy tak mało czasu – żali się Cecile.

Marc marszczy brwi.

– Może się okazać, że prawdziwy świat filmu i teatru nie jest tak precyzyjnie zorganizowany, jak byście chcieli. Przesłuchania pojawiają się ni stąd, ni zowąd. Potraktujcie to jako przygotowanie do tego, jak to jest. Chcecie mieć kontrolę? Zostańcie nauczycielami. – Spogląda na zegarek. – Z niektórymi z was spotkam się jeszcze dzisiaj, w teatrze Queen's. – Po tych słowach wychodzi z sali, zostawiając nerwowo dyskutujących studentów.

Opuszczamy salę. Cecile czeka na mnie przy drzwiach.

– Sprytne posunięcie – mówi. – To upuszczenie książek.

– Nie zrobiłam tego celowo – wyjaśniam.

– Akurat – prycha i odchodzi.

Rozdział 14

Tanya pojawia się obok, uśmiechnięta.

– Masz ochotę napić się kawy, kiedy będziemy czekać na harmonogram? Poćwiczyć rolę? – Zniża głos do szeptu. – Mamy nowe wiadomości o naszym nauczycielu. – Macha do Toma, który wyjeżdża właśnie z sali. – Kawy?

– O Boże, dokładnie tego mi trzeba. – Tom przykłada dłoń do głowy. – Mam gigantycznego kaca.

– Wiadomości? – pytam. – O Marcu?

– No, to właściwie skandal. To co? Idziemy na kawę? Czy wolisz poćwiczyć sama?

– Nie, nie – mówię. – Chętnie pójdę z wami na kawę.

– Jest dość zasadniczy, prawda? – szepcze Tanya, oglądając się przez ramię, jakby Marc mógł nagle w jakiś tajemniczy sposób pojawić się za nami. – Wiesz, dzisiaj to było… uch! Wystarczy trochę naruszyć granicę i wylatujemy ze szkoły.

– Jest… intrygujący – przyznaję. – Wydaje się taki zimny, a jednocześnie mam wrażenie, że naprawdę mu na nas zależy.

– Na pewno jest głęboki – stwierdza Tanya i uśmiecha się szeroko. – Jak wszyscy najlepsi aktorzy, prawda?

Idziemy do studenckiej stołówki, gdzie stoją jeszcze tace z jajkami i bekonem, pozostawione po śniadaniu.

– Umieram z głodu – mówię do Tanyi i wybieram talerz. – Rano byłam zbyt zdenerwowana, żeby cokolwiek zjeść.

– A my z Tomem mieliśmy za dużego kaca – mówi Tanya.

– Nie macie ochoty na śniadanie? – pytam, podnosząc tacę.

– Ja nie, moja droga – mruczy Tom. – Dzisiaj mam bardzo delikatny żołądek.

– Dla mnie tylko kawa – dodaje Tanya.

Ładuję na talerz jajka, bekon, pomidora, placki ziemniaczane i tost. Wszyscy bierzemy kawę i siadamy przy stoliku koło okna. Za oknem rośnie świerk, a wśród jego gałęzi podskakują sroki.

– A więc – zaczynam, bo nie umiem już powstrzymać ciekawości. – Jakie to wiadomości?

Tom wyciąga „Daily Mail” ze swojego plecaka w kolorze khaki.

– Zobacz stronę czwartą.

Przerzucam kartki i w końcu widzę nagłówek: „Siostra Blackwella handluje narkotykami”.

Zdjęcia są czarno-białe i ziarniste, ale widać na nich zarys dwóch sylwetek na ciemnej ulicy – jedna jest drobna, kobieca i zdaje się podawać coś większej.

Czytam pobieżnie artykuł i dowiaduję się, że siostra Marca, Annabel, została przyłapana na sprzedawaniu heroiny i grozi jej więzienie. Marc wynajął jednego z najlepszych prawników w kraju, żeby ją przed tym uchronić, i zobowiązał się w sądzie do opieki nad nią podczas kuracji odwykowej.

– Biedny Marc – mruczę. – To musi być straszne, kiedy ktoś bliski w taki sposób

rujnuje sobie życie.

– Szczęściara, że ma takiego brata – mówi Tanya, zaglądając mi przez ramię. – Większość sławnych ludzi nie chciałaby się przyznać, że ma w rodzinie narkomana. I to odważnie z jego strony, że osobiście poszedł do sądu. Musiał wiedzieć, że to się dostanie do gazet.

– Więc jednak nie jest taki zimny, co, moje panie? – pyta Tom, uśmiechając się lekko. – Mówię wam, w tym człowieku jest więcej, niż widać na pierwszy rzut oka. Znam się na ludziach.

Na końcu artykułu czytam:

„Nowy skandal dotyczący Blackwella pojawił się wkrótce po niedawnych spekulacjach na temat jego życia seksualnego”.

– Jakich spekulacjach? – pytam Tanyę.

– Och, to – wzdycha Tanya. – Krążyły plotki, że nasz pan Blackwell lubi dominować na różne sposoby. Na stronie „Celebryci” czytałam, że używa sznurów i pejczy w sypialni.

– Wszystko, co piszą na takich stronach, to niepotwierdzone informacje – wtrąca się Tom. – Tak czy inaczej, to, co robi w życiu prywatnym, to jego sprawa. Czyż wszyscy nie mamy swoich preferencji seksualnych? – Porusza brwiami. – Jestem pewny, że wy, dziewczęta, próbowałyście niejednego.

– Ja nie – mówię. – Mam dwadzieścia dwa lata i znam tylko normalny seks na podwójnym łóżku przy zgaszonym świetle.

– Nie! – Tom się śmieje. – Taka śliczna dziewczyna? To nie w porządku. Musisz więcej wychodzić z domu.

– Wiem – przyznaję. – Ale w domu ciągle było coś do zrobienia. Sprzątanie, opieka nad tatą i moim małym braciszkiem. Poza tym pracowałam. Nie miałam za bardzo czasu na nic innego.

– Miejmy nadzieję, że poznasz jakiegoś przystojnego młodego człowieka, który zapozna cię z wariacjami na temat tego, co zdążyłaś przerobić – mówi Tom. – A jeśli nie znajdziesz przystojnego, ja zawsze chętnie służę pomocą.

– Jesteś przystojny – stwierdzam i naprawdę tak myślę. Owszem, ma trochę nadwagi, ale też piękne zielone oczy, ciemne włosy i opaloną skórę, a do tego osobowość wielkości tej stołówki.

Myślę o Marcu i o tym, jak troszczy się o siostrę. To inne jego oblicze, opiekuńcze, sprawia, że ogarniają mnie ciepłe uczucia. Potem myślę o tym, co powiedziała Tanya, o „Celebrytach” i o tym, że Marc lubi dominować, i nagle mam wrażenie, że moja skóra nie do końca dobrze leży na ciele.

– Czy on ma dziewczynę albo kogoś w tym rodzaju? – pytam, czując się jak głupia, zazdrosna uczennica.

– On nie miewa dziewczyn – informuje Tanya. – Czy nie to piszą w gazetach? Cały czas robią mu zdjęcia z różnymi kobietami, ale on nigdy z żadną długo się nie spotyka.

Rozdział 15

Kiedy na tablicy ogłoszeń pojawia się kartka, wokół natychmiast gromadzą się studenci.

Czekam z tyłu, starając się zachować spokój. Czy mam przed nim zagrać dzisiaj, czy jutro? To w zasadzie bez znaczenia. Wcześniej czy później, i tak nie wiem, jak mam zagrać tę rolę, zwłaszcza tak blisko Marca.

Tom czeka ze mną, ale Tanyi udaje się przecisnąć przez tłum.

Słyszę, jak Cecile mówi:

– Och, świetnie. – Przepycha się między innymi. Mijając mnie, syczy: – Też upuszczę swoje książki, wiesz? Nie sądź, że ze mną wygrałaś.

– Nie próbuję niczego wygrać – mówię.

– Cóż, ja będę dzisiaj sama z Markiem w teatrze i zamierzam wykorzystać każdą chwilę tego czasu. – Odchodzi szybko.

Przysuwam się bliżej tablicy.

– O, cholera, cholera, cholera. – Moje nazwisko jest na samej górze. Jestem pierwsza. Mam zagrać o pierwszej po południu.

Tanya staje obok mnie.

– Próbowałam cię znaleźć – mówi. – Przykro mi. Ale przynajmniej będziesz to już miała za sobą. Ja i Tom też gramy dzisiaj. Niedługo po tobie. Co ci powiedziała Cecile?

– Och, ona myśli, że wcześniej specjalnie upuściłam książki. Wypadły mi z rąk i pan Blackwell je podniósł. Ale to był przypadek.

– Idiotka – prycha Tanya.

– Jestem pierwsza – mruczę do siebie i mrugam z niedowierzaniem. Znowu patrzę na listę, na wypadek gdybym coś źle odczytała, ale nie, wyraźnie widzę swoje nazwisko. Sophia Rose. Na samej górze. Zobaczę się z Markiem za niecałe dwie godziny. – O, cholera. Lepiej żebym wzięła się do roboty. Zobaczymy się później.

Idę szybko do swojego pokoju, gdzie ciągle stoją piękne, świeże róże. Obok leży karteczka.

Przeglądam egzemplarz *Zewu nocy* i odnajduję swoją scenę. Sprawdziliśmy już przy kawie, jakie mamy sceny, i ulżyło mi, bo moja nie jest taka straszna. To scena, w której Jennifer rozmawia z dyrektorem o tym, żeby dał jej rolę. Tylko rozmawia. Nie umyka mojej uwagi, że będę mówiła do Marca, ale, jak zauważyła Tanya, jest to jednak łatwiejsze niż monolog.

Podłączam laptop do prądu i szukam w Internecie streszczenia *Zewu nocy*. Znam treść tej sztuki, ale nie aż tak dobrze. Nie miałam z nią styczności od czasów szkolnych.

W końcu trafiam na stronę ze streszczeniem:

Jennifer Jones, młoda baletnica, chce za wszelką cenę odnieść sukces. Aby dostać główną partię w „Dziadku do orzechów”, uwodzi starszego już dyrektora teatru. Osiąga swój cel, publiczność jednak reaguje na jej występ chłodno. Wygwizdana ze sceny Jennifer popełnia samobójstwo. Sztuka zgłębia problem różnicy wieku w związku i wzmocnienia pozycji kobiet.

Patrzę na swoje odbicie w lustrze. Mam duże usta – fakt. I ładne oczy. Brązowe, z naprawdę długimi rzęsami. Ale nie jestem tak uderzająco piękna, jak powinna być Jennifer.

Wiem, że powinnam wrócić do czytania sztuki, ale moje palce błądzą po klawiaturze i nagle widzę, że wpisałam w Google: *dziewczyna Marca Blackwella*.

Pojawiają się zdjęcia pięknych kobiet Hollywood, u boku Marca na różnych premierach i przyjęciach. Wszystkie są naprawdę olśniewające. Równe białe zęby, idealna skóra, lśniące włosy i obłędne stroje.

Czytam artykuły; wszystkie są o tym, że widziano Marca Blackwella, jak „bawił się całą noc" z kimś albo „wychodził z hotelu". Ale w żadnych nie było nic o dziewczynie.

Jeśli żadna z tych pięknych kobiet nie zdołała go skłonić do wejścia w związek, to chyba dla nikogo nie ma już nadziei, myślę i z lekką irytacją uświadamiam sobie, że jestem rozczarowana.

Dlaczego, Sophio? Myślałaś, że go zdobędziesz, bo zapamiętał cię z przesłuchania?

Oczywiście, że nie. A jednak, kiedy rozmawialiśmy tego ranka w lesie… o świetle i ciemności…

Otrząsam się z tych rozmyślań. Marc Blackwell nie jest zainteresowany studentką z małej wioski.

Patrzę na zegarek i zdaję sobie sprawę, że zbliża się pora mojego przesłuchania.

Rozdział 16

Teatr Queen's w Akademii pod Bluszczem został wybudowany ku czci Gabrieli Knight. Wiem o tym, ponieważ przed budynkiem z czerwonej cegły złota tabliczka informuje, że ta właśnie poważana aktorka umożliwiła jego budowę.

Z tabliczki dowiaduję się czegoś jeszcze. Decyzja o jego budowie zapadła w ubiegłym roku, a prace ukończono trzy miesiące temu. Co oznacza, że będziemy pierwszymi studentami, którzy z niego skorzystają. Prawdę mówiąc, jest wielce prawdopodobne, że to ja będę pierwszą spośród nich. I ta świadomość w niczym mi nie pomaga.

Myślę o starszym mężczyźnie, którego spotkałam w dniu przesłuchania, i o tym, że jego zdaniem Marc zmieni to wszystko w szkło i metal. Ale teatr został zaprojektowany tak, że wygląda zupełnie jak reszta zabudowań. Więc jednak Marc nie ma zamiaru zniszczyć piękna i historii Akademii pod Bluszczem.

Otwieram pchnięciem dwuskrzydłowe drzwi, wygięte łukowato u góry jak wszystkie inne w tym miejscu, i wchodzę do środka. W teatrze jest ciemno i cicho.

Po mojej lewej stronie odnajduję panel z włącznikami oświetlenia. Naciskam wszystkie.

Przed moimi oczami pojawiają się rzędy miękkich, obitych czerwonym aksamitem krzeseł przed półkolistą sceną z drewna wypolerowanego na wysoki połysk. Scena jest

teraz oświetlona, a na jej widok serce podskakuje mi w piersi. Uwielbiam sceny. Uwielbiam być na scenie. Uwielbiam patrzeć na pogrążone w mroku twarze ludzi na widowni, słyszeć ich reakcje na moją grę.

Mój zachwyt nad sceną rozprasza obawy. Teraz mogę myśleć już tylko o tym, żeby wejść na te schodki. Uwielbiam grać. Na scenie staję się sobą. Prawdziwą sobą.

Z sufitu zwieszają się dziesiątki lamp; domyślam się, że każda z nich kosztowała tysiące.

Wszystko jest na swoim miejscu, nie ma tylko Marca. Wstrzymuję oddech i idę dalej.

Kiedy dochodzę do sceny, słyszę trzaśnięcie drzwi i stanowcze kroki. Odwracam się.

Marc Blackwell podchodzi do sceny. Ma na sobie czarny podkoszulek z krótkimi rękawami; opina jego ramiona i blade bicepsy. Nie ma marynarki. Czarne spodnie. W długich, białych palcach trzyma uchwyt walizeczki z laptopem.

Na zewnątrz jest zimno, ale Marc zdaje się zupełnie nie zwracać uwagi na temperaturę.

Widzi mnie, ale w pierwszej chwili nie mówi ani słowa. Zamiast tego idzie prosto do pierwszego rzędu i zajmuje miejsce.

– Dzie… dzień dobry – jąkam się.

– Dobry wieczór, panno Rose. – Jego głos jest tak głęboki, że czuję, jak rezonuje w moim ciele aż po stopy.

– Po twojej Lady Makbet jestem bardzo ciekawy, jak poradzisz sobie z tą rolą. Na pewno się domyślasz, że wybrałem rolę, która będzie dla ciebie wyzwaniem.

Przełykam ślinę.

– Tak – przyznaję. – Dziękuję.

Patrzy na mnie uważnie, z diabelskim uśmieszkiem czającym się w kącikach ust. Czuję, jak drętwieje mi twarz i zaczynają przeszkadzać własne kończyny. Dlaczego zawsze czuję się przy nim taka skrępowana? To tylko nauczyciel. Miałam już nauczycieli. Ale sposób, w jaki on na mnie patrzy… Czuję się naga. Nie tylko naga, ale całkowicie obnażona. Jakby widział wszystko. Każdą niedoskonałość i skazę, a ja nie mam się gdzie ukryć.

– A więc? – mówi w końcu.

– Co – a więc? – pytam.

– Na co czekasz? Wejdź na scenę.

– Och. No tak. Przepraszam – mruczę i odnajduję trzy stopnie prowadzące na scenę. Potykam się na pierwszym i muszę się podeprzeć na gładkim drewnie.

– Nerwy? – Marc wstaje.

– Tak – przyznaję.

– Nie denerwuj się. – Ujmuje mnie pod ramię i pomaga mi wejść. Czuję ciepło jego dotyku na skórze i znowu ten leśny zapach, zmieszany z zapachem mydła i dymu papierosowego. Jest upajający i nagle zdaję sobie sprawę, że celowo go wdycham.

– To, o co pytał pan wcześniej, o światło i ciemność – przypominam. – Nie dał mi pan czasu na odpowiedź.

Marc unosi jedną brew.

– Dlatego że jej nie oczekiwałem. To było pytanie retoryczne. Pytałem sam siebie albo kogokolwiek innego. Na scenę, panno Rose.

Wchodzę na scenę i odchrząkuję. Nie mam zamiaru odpuścić. Zadał mi pytanie, a ja mam dla niego odpowiedź.

– Moja odpowiedź jest taka, że widzę w panu światło, ukryte za mrokiem. Chce pan sprawiać wrażenie, że jest w panu tylko ciemność. Ale to nieprawda. Każdy ma w sobie jakieś światło. – Patrzę w podłogę.

Marc cofa się i marszczy brwi.

– Nie każdy.

– Każdy – mówię.

Marc odwraca się tyłem. Przez chwilę widzę jego profil i wyraz zagubienia w oczach. Następuje długa chwila ciszy. Potem Marc przeczesuje włosy palcami i znowu odwraca się do mnie.

– Zaczynajmy – prosi łagodniej niż poprzednio. Otwiera torbę na laptop i wyjmuje z niej skrypt. – No, to do roboty. *Zew nocy*. Nasza *femme fatale*, Jennifer. Przekonuje Jonathana, żeby dał jej rolę.

Odchrząkuję znowu i przechodzę na środek sceny.

– Postaram się – oznajmiam. – Ale to coś zupełnie innego od ról, jakie zwykle dostaję.

– Wiem – mówi Marc. – Dlatego właśnie ją wybrałem. Przejrzałem twoje CV i notatki, które zrobiłem na twoim przesłuchaniu. Byłaś… czarująca. Tak, to właściwe słowo. – Jego wzrok opada na skrypt. – Niebezpiecznie czarująca. Nigdy wcześniej nie współczułem Lady Makbet ani nie miałem ochoty się nią zaopiekować. Ale kiedy ty ją grałaś… masz prawdziwy dar. Jednak z tego, co widzę, nie grałaś nigdy żadnej zbyt prowokującej postaci. Wszystko bardzo grzeczne, na ogół role naiwnych młodych dziewcząt. Chcę zobaczyć twoją zmysłową stronę. Jennifer wie, czego chce. Używa ciała i umysłu, żeby odnieść sukces. Zobaczymy, co z niej wyciągniesz.

– Tak. – Wyjmuję z kieszeni sztukę, ale Marc wskakuje na scenę i zabiera mi ją.

– Nie – mówi. – Jak sądzisz, dlaczego dałem ci tak mało czasu na przygotowanie? Chcę zobaczyć, jak czujesz postać. Chcę, żebyś wykorzystała podświadomość i wyobraźnię, żeby się nią stać.

– Ale ja naprawdę nie znam tej postaci zbyt dobrze. – Czuję ciepło jego ciała. Stoi za blisko. Kręci mi się od tego w głowie. Nagle czuję się tak, jakbym miała w piersi magnes, a on był z metalu. Coś mnie do niego przyciąga. Cofam się o krok. – Panie Blackwell, chyba nie potrafię tego zagrać.

– Potrafisz.

– Potrzebuję więcej czasu – stwierdzam. – Nie jestem dość dobra, żeby w tej chwili zagrać tę rolę. Muszę się przygotować i…

Marc kręci głową.

– Nie bądź śmieszna.

Czuję, że do oczu napływają mi łzy, i jestem na siebie zła. Dlaczego muszę być taka wrażliwa?

– Spójrz na mnie – prosi Marc szeptem.

Podnoszę wzrok i widzę jego oczy, które wpatrują się we mnie. Ogarnia mnie fala

ciepła.

– Potrafisz – mówi. – Jesteś tym, kim myślisz, że jesteś. Jeśli uważasz, że nie jesteś dość dobra, poniesiesz klęskę. Tu, w mojej akademii, staram się sprawić, żeby wszyscy w siebie wierzyli. Jesteś dobrą aktorką. Widziałem, jak grasz. Poradzisz sobie. Zacznę czytać Jonathana, a ty wejdziesz, gdzie trzeba, dobrze?

Robi krok w tył i zaczyna chodzić po scenie.

– Dobrze. – Chrząkam i staram się, żeby moje ciało weszło w rolę Jennifer. Ale jestem taka spięta. Taka sztywna. Paraliżuje mnie strach. Wstrząsam ramionami.

Dalej, Sophio. Weź się w garść.

– Gotowa? – pyta Marc.

Kiwam głową.

– Gotowa.

Rozdział 17

Dziękuję, że poświęciłaś mi swój czas, Jennifer – zaczyna Marc, a jego postawa i głos zmieniają się i teraz zdają się należeć do znacznie starszego człowieka. To zdumiewające, ta transformacja. Wszystko w nim jest inne – głos, oczy, ciało. – Widziałem już dość. Dam ci znać.

Przełykam ślinę i próbuję przypomnieć sobie tekst. Słowa brzęczą mi w głowie, mieszają się ze sobą i gubią. On chce, żebym improwizowała, myślę. Staram się odpuścić. Zamiast strachu czuć to, co musi czuć Jennifer, taka jaka jest. Złość. Frustrację. Tak ciężko pracowała, żeby dostać tę rolę, ale jej nie dostała.

– Och, nie sądzę, żeby zobaczył pan wystarczająco dużo – mówię i czuję, że prostuję plecy i wyginam biodra w lewo. – Naprawdę mam panu znacznie więcej do zaoferowania.

W oczach Marca pojawiała się błysk. Jest zadowolony.

– Nie, to wystarczy – mówi Marc. Jest świetnym aktorem. Mam wrażenie, że na moich oczach postarzał się o dziesięć lat, a jednak nadal jest taki charyzmatyczny. Hipnotyzujący. Jego postawa, głos… zdumiewające… – Muszę zobaczyć dzisiaj jeszcze wiele tancerek.

– Naprawdę? – Unoszę brew i podchodzę o krok bliżej. – Bo ja myślę, że może, jeśli da mi pan więcej czasu, zdołam pana przekonać.

Daję radę, daję radę, myślę. Staję się Jennifer. Tylko tak dalej. Postaraj się.

– Och? – wzdycha Marc.

Wiem, jakie słowa mam wypowiedzieć. Słowa, których powinna użyć ta postać. Ale mnie nie chcą przejść przez gardło.

– No? – Marc przechyla głowę.

Kręcę głową.

– Wiem, co mam mówić, ale… trudno mi to powiedzieć.

– W porządku. – Marc zeskakuje ze stopni i siada na jednym z krzeseł.

– To było dla ciebie wyzwanie. O to chodziło. Ale zdecydowanie jest to obszar, nad którym trzeba popracować. Jeśli nie będziesz w stanie zagrać prowokacyjnej roli, nigdy nie zdobędziesz się na pełną otwartość wobec widowni.

Prowokacyjna rola. Czuję, jak przy tych słowach przeszywa mnie dreszcz. Jak on może wypowiadać je z taką łatwością, podczas gdy ja mogę tylko udawać, że gram *femme fatale* przez kilka minut? Czuję się żałosna.

– Nie mogę szczerze powiedzieć, że zrobiło to na mnie takie wrażenie, jak twoje pierwsze przesłuchanie – podsumowuje Marc. – Do tego jeszcze daleko, prawdę mówiąc. Zobaczymy. – Splata palce. – No dobrze. Koniec przedstawienia. Zawołaj następną osobę, dobrze?

Zamieram na scenie.

– Proszę mi pozwolić spróbować jeszcze raz. Zrobię to lepiej.

Marc podnosi wzrok znad skryptu.

– Możliwe – stwierdza. – Ale ja nie daję drugich szans.

Kiwam głową i przełykam ślinę. Jestem rozczarowana i wiem, że to widać. Schodzę ze stopni, mijam Marca i ruszam dalej między krzesłami. Odwracam się przy drzwiach.

– Czuję, że pana zawiodłam – odzywam się. – Powinnam była zagrać tę rolę lepiej.

Patrzymy na siebie i czuję, jak coś między nami przebiega. Jakaś iskra. Prąd elektryczny. To bardzo dziwne uczucie, a kiedy patrzę na Marca, wiem, że on też coś takiego odczuwa. Otwiera lekko usta, ale zaraz odwraca głowę i łączność zostaje zerwana.

– Owszem, powinnaś – oznajmia. Jego głos znowu brzmi twardo.

Co on chce przez to powiedzieć? Czy byłam dość dobra, żeby zdać, czy nie?

Przed teatrem czeka Ryan.

– Upuściłaś jeszcze jakieś książki? – pyta.

Nie zwracam na niego uwagi.

Rozdział 18

W stołówce, z dala od miejsca, w którym serwuje się jedzenie, stoją wygodne czerwone kanapy i fotele. Na jednym z nich Tanya, zwinięta w kłębek, czyta *Poskromienie złośnicy*. Uważnie wpatruje się w stronę. Na pewno zagra tę rolę świetnie.

Ta myśl mnie przygnębia. Czy oblałam? A jeśli mnie wyrzucą? Opadam na miękki fotel obok niej i zastanawiam się, czy na pocieszenie nie napić się czekolady.

Myślę o tym, jak jeszcze chwilę temu stałam tak blisko Marca, i coś mnie ściska w piersiach. To spojrzenie, które wymieniliśmy… czy on czuł to, co ja? Czy może tylko zdał sobie sprawę, że jeszcze jedna kobieta ma do niego słabość?

– Cześć, Tanya – witam się.

– Cześć. – Tanya poprawia okulary na nosie. – Jak leci? Jak poszło przesłuchanie z naszym Wielkim Aktorem?

– Nie wiem. Nie najlepiej, jak sądzę. Nie zależało mu, żebym mówiła tekst. Chciał, żebym… improwizowała.

– Ja nie umiem improwizować – mówi Tanya. – To coś, co wychodzi mi najgorzej. Ale cóż, to będzie dobre ćwiczenie. Nie wyglądasz na zadowoloną.

Kiwam głową.

– To było… dziwne. I takie trudne. Po prostu załamałam się pod presją. – Obejmuję głowę rękami. – Może jednak wcale nie zasługuję na to, żeby tu być.

Tanya podchodzi i obejmuje mnie ramieniem.

– On jest twardy, ale to dla nas dobre – mówi. – Pomyśl, jakie to niesamowite, że możesz grać przed zdobywcą Oscara. Nie zadręczaj się. To dopiero pierwsze przesłuchanie. – Tanya patrzy na zegarek. – Rany. Lepiej już pójdę. Życz mi szczęścia.

– Złam nogę – mówię, uśmiechając się z trudem.

Teraz jestem w stołówce sama. Wszyscy inni studenci są pewnie w swoich pokojach i ćwiczą. Postanawiam zadzwonić do Jen. Czuję się tak, jakby moja głowa była pralką pełną ubrań, które kręcą się w kółko – zmieszana i zagubiona.

Zamawiam gorącą czekoladę z bitą śmietaną i piankami, a potem wybieram numer Jen na moim iPhonie – najnowszym modelu dzięki stypendium.

– Kochana! – wrzeszczy Jen do telefonu. – Czekałam, aż zadzwonisz. Nie chciałam zawracać ci głowy zaraz po przeprowadzce, ale umieram z ciekawości, jak to wszystko wygląda. Jaki on jest?

Nie muszę pytać, o kogo jej chodzi.

– Jest… interesujący.

– Naprawdę?

Opowiadam Jen o wszystkim – o studentach, przesłuchaniu i że zdaniem Marca nie pokazałam wszystkiego, na co mnie stać. Nie udało mi się jeszcze wymyślić sposobu na wytłumaczenie tego spojrzenia na końcu, a teraz, kiedy zostałam sama, zaczynam się zastanawiać, czy sobie tego wszystkiego nie wyobraziłam.

– Rany – wzdycha Jen, kiedy kończę opowiadanie. – Ciężki pierwszy dzień. Próba ogniowa, i tak dalej. Ale wygląda na to, że to dobry nauczyciel. To znaczy, to w końcu powinien robić, prawda? Pokazywać nowe możliwości i rzucać wyzwania?

– Chyba tak.

– I ma rację. Rzeczywiście zwykle grasz grzeczne role. Czy on jest naprawdę tak zimny, jak go zapamiętałaś?

– Pod pewnymi względami – przyznaję. – Ale myślę, że w głębi ma dużo ciepła. Czułam je dzisiaj. Chyba.

– Chyba każdy ma jakąś miłą stronę.

– Czuję się teraz taka sfrustrowana – mówię. – A dowiem się, czy zaliczyłam, najwcześniej jutro po południu, jeśli dobrze pójdzie. Wtedy znowu mamy z nim wykład. A co, jeśli wyrzuci mnie z akademii?

– Nie wyrzuci – pociesza mnie Jen. – Wiem, jaką jesteś dobrą aktorką. Rany, właśnie

grałaś sam na sam z Markiem Blackwellem. Niesamowitym Markiem Blackwellem.

– On jest taki jak należy – mówię. Nagle przypomina mi się artykuł o jego siostrze. – Jen, czytałaś dzisiaj gazety?

– Jeszcze nie. Ale czekaj, mam tu całą stertę. Którą?

– Którykolwiek z tabloidów – mówię.

Słyszę szelest, a potem ciszę.

– Biedny facet. Rany. Jeśli ona handluje narkotykami, to na pewno sama też bierze. To musi być okropne, mieć narkomankę w rodzinie.

– Artykuł, który czytałam rano, wspomina o skandalu związanym z jego życiem seksualnym – rzucam.

Jen śmieje się głośno.

– Jest mnóstwo skandali związanych z Markiem Blackwellem. Więc który?

– Tanya przeczytała coś w Internecie. Że lubi dominować w sypialni – mówię. – Że używa sznurów i takich tam.

– Brzmi to prawdopodobnie – mówi Jen. – Wydaje się bardzo dominujący. Ale czemu pytasz? – Myślisz, żeby pójść z nim do łóżka?

Wiem, że Jen żartuje, ale moje milczenie mówi jej wszystko.

– Sophio!

– Nie – zaprzeczam, zdecydowanie zbyt szybko. – W każdym razie… to i tak nie miałoby sensu. On nigdy nie zainteresowałby się dziewczyną taką jak ja.

– Dlaczego nie?! – krzyczy Jen. – Taką piękną, utalentowaną, dobrą dziewczyną jak ty? Kto by się nie zainteresował?

Nagle dobiega mnie jakiś dźwięk. Do lady podchodzi Cecile.

– Jen, zadzwonię później, dobrze? – szepczę i rozłączam się. Nie chcę, żeby Cecile podsłuchała naszą rozmowę.

– Cześć, Cecile – witam się.

– Jak było na przesłuchaniu? – pyta Cecile. – Tak intymnie, jak chciałaś?

– Nie, ani trochę – zaprzeczam. – Naprawdę. Nie chciałam wcale, żeby było intymnie. Chciałam się tylko nauczyć, jak lepiej grać.

Kogo ty chcesz oszukać? – pyta jakiś głos w mojej głowie.

Próbuję zmienić temat i mówię pierwszą rzecz, jaka przychodzi mi do głowy.

– Widziałaś dzisiaj gazety?

– Oczywiście. – Cecile odbiera czarną kawę i miesza słodzik. – Nasz drogi Marc ma uzależnioną siostrzyczkę i traci czas na opiekę nad nią. Trochę mnie to zniesmaczyło. To, że zadaje się z taką osobą. No, nie na tyle, żebym miała zrezygnować.

– To chyba dobrze o nim świadczy, że troszczy się o siostrę – zauważam.

– Mam nadzieję, że w tym semestrze to przede wszystkim o mnie będzie się troszczył – stwierdza Cecile. – I mam zamiar powiedzieć mu to podczas mojego przesłuchania. Nie mogę się doczekać, kiedy zostanę z nim sam na sam. Tylko we dwoje. Już za pół godziny.

Zawiesza głos, a ja uświadamiam sobie, że tak naprawdę nie podoba mi się myśl o Cecile sam na sam z Markiem. Kręcę głową, próbując odsunąć od siebie takie myśli.

Nie bądź głupia, Sophio. Dlaczego miałoby cię to obchodzić? Mężczyzna taki jak Marc i tak by się tobą nie zainteresował.

Rozdział 19

Kiedy Cecile wychodzi na przesłuchanie, chcę już tylko zostać sama.

Wracam do pokoju i siadam na balkonie z kubkiem herbaty. W powietrzu czuć jeszcze ciepło lata, więc zostaję tam, rozmyślając o Marcu i moim przesłuchaniu, aż do zmierzchu.

Wiem, że powinnam pójść do stołówki i zjeść coś, ale jestem zbyt spięta. Jeśli zostanę usunięta ze studiów, nie wiem, co zrobię. Tak naprawdę nie mam do czego wracać, pomijając Jen. Ta akademia znaczy dla mnie wszystko. Wszystko.

Wpełzam pod kołdrę i próbuję się przespać.

– Soph? – To głos Tanyi pod drzwiami mojego pokoju. – Jesteś tam?

– Tak – mówię. – Nie czuję się zbyt dobrze.

– Naprawdę? Myślałam, że pogadamy o naszych przesłuchaniach. Właśnie rozmawiałam z Cecile i… cóż, zastanawiałam się, czy nie mogłybyśmy pogadać.

Pogadać? O przesłuchaniu Cecile?

Wychodzę spod kołdry i otwieram drzwi.

– Blado wyglądasz, kochana – mówi Tanya i kładzie mi rękę na czole. – Zrobić ci herbaty? – Ma na sobie brązową skórzaną kurtkę i szal w kolorze głębokiej, jesiennej czerwieni; długie włosy związała w kok.

– Nie, naprawdę, nic mi nie jest – tłumaczę. – Po prostu po całym tym dniu jestem zmęczona.

– Mogę wejść?

– Jasne. – Otwieram drzwi szerzej i Tanya wchodzi do pokoju. Na podłodze leży plecak, a wokół niego pełno rzeczy. Mieszkając z tatą, przyzwyczaiłam się do życia w bałaganie, więc powieszenie ubrań w szafie nie było dla mnie najważniejsze. Ale wolałabym teraz mieć porządek w pokoju.

– Rany. – Rozgląda się dookoła. – Patrz, jaki widok. Cudowne. – Chodzi po pokoju. – I masz balkon! – Przysuwa twarz do szklanych drzwi. – O Boże, stąd widać cały Londyn! – Odwraca się do mnie. – Przepraszam. Mówiłaś, że jesteś zmęczona. A posłuchaj tylko mnie, jaka jestem nakręcona. No, ale miałam ci opowiedzieć o przesłuchaniach.

– Chodźmy na balkon – mówię, otwierając drzwi. – Ciągle jest dosyć ciepło.

Wychodzimy na zewnątrz i rozglądamy się po okolicy.

– Cecile była wściekła po swoim występie – mówi Tanya.

– Naprawdę? – pytam, udając, że mnie to nie interesuje. – Dlaczego?

– Chyba nie poszło jej najlepiej. Marc powiedział, że nie zagrała tej roli tak, jak powinna. Stwierdził, że pokazała tylko to, co widział już na wstępnym przesłuchaniu.

– Skąd wiesz?

– Tom był w kolejce zaraz po niej. Dotarł trochę wcześniej, uchylił lekko drzwi, żeby zobaczyć, co się dzieje, i wszystko słyszał.

– A tobie jak poszło? – pytam.

– Nie wiem – rzuca Tanya. – O tym właśnie chciałam z tobą porozmawiać. Zupełnie nie mogłam się w tym połapać. Próbowałam improwizować, ale on w ogóle nie dał po

sobie poznać, jak mi idzie. Wcześniej mówił, że mam zagrać tę postać tak, jak ją czuję. Potem tylko słuchał przez jakieś pięć minut, a na końcu powiedział „W porządku, to wszystko. Bardzo dziękuję". Poczułam się tak, jakbym zrobiła coś źle. A jak ty się teraz czujesz po swoim występie?

– Zagubiona – przyznaję. – Wiem, że to spaprałam. Więc… sama nie wiem. Po prostu nie mam pojęcia, czy zdałam, czy oblałam.

– Cieszę się, że ty też nie możesz się w tym połapać – mówi Tanya. – Hej, patrz! – Wskazuje przed siebie. – Oto i on.

Patrzę w dół i widzę Marca Blackwella, idącego żwirową ścieżką. Trudno mi oderwać od niego oczy. Ten nonszalancki krok, to muskularne ciało pod podkoszulkiem, ta postawa, pełna siły i determinacji. Porusza się jak dziki kot – smukły, elegancki, silny. Jest już zimno, ale on ma na sobie tylko podkoszulek, jakby wciąż było lato.

Kiedy na niego patrzę, dostaję gęsiej skórki na całym ciele i nagle zdaję sobie sprawę, że chciałabym, by podniósł wzrok i spojrzał na mnie.

Idzie na parking; słyszę, jak smoła klei mu się do butów. Przez chwilę wydaje mi się, że podejdzie prosto do swojego samochodu. Ale on nagle przystaje, odwraca się bardzo powoli i patrzy dokładnie tam, gdzie stoję.

Kiedy nasze oczy się spotykają, wszystko we mnie topnieje jak masło.

Nie potrafię odczytać wyrazu jego twarzy. Marszczy brwi i odwraca się, wyciągając papierosa z kieszeni marynarki. Zapala go, otwierając samochód.

Serce wali mi jak młotem, ale on więcej nie patrzy w moją stronę.

Wskakuje do samochodu i szybko wyjeżdża za bramę akademii.

– Pewnie ma jakąś imprezę w mieście – mówi Tanya. – Słyszałam, że ma dom gdzieś tu niedaleko… londyńską rezydencję wartą kilka milionów. Posłuchaj, dzisiaj nie mamy już nic do roboty. Weźmy Toma i chodźmy na miasto, zjemy coś i zaczniemy wydawać stypendium – co ty na to? Tom zna wszystkie najlepsze miejsca.

– Dobrze – zgadzam się z uśmiechem.

Wszystko, byle oderwać się od jutrzejszych wyników.

Rozdział 20

Wieczór jest udany. Tanya, Tom i ja idziemy do włoskiej restauracji, w której, zdaniem Toma, mają „fantastyczny parmezan" – i rzeczywiście mają. Właściwie wszystko jest tam fantastyczne. Później idziemy na koktajl do baru w Soho. Tom wydaje się dość pewny co do swojego występu, choć mówi to samo, co Tanya – że Marc jest nieprzenikniony. Zgadzamy się, że lepiej położyć się wcześnie, i umawiamy się na śniadanie następnego dnia, godzinę przed naszym pierwszym wykładem z Denise Crompton.

Rano czuję się znacznie lepiej. To prawda, co powiedziała Tanya – wspaniale, że w ogóle mogłam wystąpić przed Markiem Blackwellem. Głupio rozmyślać w kółko o tym,

czego nie umiałam zagrać, więc zamiast tego skupiam się na tym, jak patrzyliśmy sobie w oczy i co to mogło oznaczać. Albo mogłabym mieć nadzieję, że oznaczało. Przypominam sobie jego twarz z każdą możliwą miną. Zawsze jest piękna, nawet ze zmarszczonymi brwiami.

Ubieram się i idę do stołówki, gdzie biorę małą miseczkę musli i siadam przy oknie. Tom i Tanya powinni niedługo przyjść.

Mijam Ryana i Cecile, która obsypuje go komplementami. Pewnie musi jakoś odbudować swoje ego po tym, jak została odrzucona przez pana Blackwella.

Na mój widok mówi:

– Powinnaś wiedzieć… Jeśli rywalizujemy o pana Blackwella, to ja wygram.

– Ja z nikim nie rywalizuję – mówię, choć słowa z trudem przechodzą mi przez gardło.

– Mój występ wczoraj… Powiedzmy, że udało mi się do niego zbliżyć.

– Słyszałam co innego.

Siadam, zirytowana własnym głupim porywem zazdrości, i żałuję, że nie ma tu Jen.

Ale pojawia się Tanya z Tomem, a ja od razu czuję się lepiej.

– Cześć! – wołam do nich.

– Soph! – krzyczy Tanya. Biorą śniadanie – Tanya jabłko, Tom jajecznicę – i siadają obok mnie.

– Gotowa na panią Crompton, panno Rose? – pyta Tom.

– Już nie mogę się doczekać – stwierdzam. – Nigdy nie widziałam, jak gra, ale wiele o niej słyszałam. Same dobre rzeczy.

– Jest absolutnie fantastyczna – potwierdza Tom. – Widziałem ją dziesiątki razy… uwielbiam musicale na West Endzie. Ma wspaniały głos. Kilka lat temu widziałem ją w *Monty Pythonie i Świętym Graalu*. Grała Panią Jeziora. Była rewelacyjna. Ciągle mam gdzieś podpisany przez nią program – Jak jeździsz na wózku, wszędzie traktują cię jak VIP-a. Wystarczy, że postaram się wyglądać szczególnie bezradnie i żałośnie, i proszę bardzo! Już pchają mnie za kulisy, żebym poznał aktorów.

– Czy ona nie miała czegoś wspólnego z Markiem, kiedy był nastolatkiem? – pyta Tanya. – Chyba czytałam gdzieś, że go przez jakiś czas wychowywała.

– Naprawdę? – dziwię się.

– Tak – mówi Tanya. – Miał trudne dzieciństwo i wydaje mi się, że z nią mieszkał. A teraz zatrudnił ją w swojej akademii. Pewnie chciał jej w ten sposób podziękować.

Rozdział 21

Wykład Denise odbywa się w małej salce we wschodnim skrzydle, która w niczym nie przypomina wielkiej sali wykładowej, z której korzystał Marc. Kiedy pojawiamy się przed drzwiami, większość studentów już tam czeka.

– Zdaje się, że wykład Marca o spóźnieniach odniósł skutek – szepcze Tanya.

Ściskam rękami książki.

– Nie będziesz ich potrzebowała na tych zajęciach – mówi Tanya, spoglądając na nie. – U Denise Crompton liczą się tylko emocje.

Studenci zaczynają się przesuwać do przodu – widzę, jak drzwi otwiera wysoka, pulchna pani o siwiejących, jasnych włosach, którą widziałam na wstępnym przesłuchaniu. Ma na sobie powiewną suknię w kwiaty, a jej małe niebieskie oczy promieniują ciepłem.

– Wchodźcie, wchodźcie. – woła. – Obiecuję, że moje zajęcia będą bardzo przyjemne. Bardzo chciałabym już was wszystkich lepiej poznać.

Kiedy ją mijamy, z każdym z nas wita się po imieniu.

– Cecile! Podobało mi się twoje przesłuchanie. Było takie czyste i poetyczne. Witaj, Ryanie. Masz dużą siłę jako aktor. Widzę w tobie potencjał.

Kiedy się do niej zbliżamy, uświadamiam sobie, że nie wiem nic na temat przesłuchania Tanyi ani Toma i zastanawiam się, jakie role zagrali. Niedługo się dowiem.

– Tanya! – woła Denise. – Bardzo zdeterminowana młoda dama. Naprawdę tchnęłaś życie w *Monologi waginy*. Grasz z prawdziwą pasją. Wszystko brzmi w twoich ustach bardzo szczerze.

Tanya uśmiecha się od ucha do ucha.

– Tom Davenport. – Denise pochyla się, żeby podać mu rękę. – Bardzo elegancki głos i postawa. Doskonały Król Lear. Nie można oderwać od ciebie oczu. Mogłabym oglądać cię godzinami.

– I Sophia. – Denise uśmiecha się ciepło. – Taka skromna. Taka czarująca. Przyciągasz do siebie wszystkich i wszyscy musimy cię kochać.

Odbiera mi mowę. Uśmiecham się półgębkiem, mruczę podziękowanie, a potem wchodzę do sali, gdzie przed białą tablicą stoją ustawione w podkowę krzesła. Siadam z Tanyą przy końcu, a Tom staje wózkiem obok nas.

– Nie mogę uwierzyć, że pamiętała wszystkie nasze przesłuchania – mówi Tanya, patrząc na Denise, która staje właśnie przed nami.

– Nie można ode mnie oderwać oczu – powtarza Tom i uderza się pięścią w pierś. – Jestem głęboko zakochany w tej kobiecie.

Denise odchrząka i podnosi ręce, prosząc o ciszę.

– Przede wszystkim chcę was bardzo serdecznie powitać. I pogratulować, bo jesteście tu garstką wybrańców, najbardziej obiecującymi aktorami w kraju. Oczekujemy od was wszystkich wielkich rzeczy.

Cecile i Ryan wymieniają zarozumiałe spojrzenia.

– Mówcie do mnie imieniu – ciągnie Denise. – Wiem, że pan Blackwell chce utrzymać autorytet, ale ja nie mogę udawać, że go mam. Jestem popychadłem i właśnie dlatego uczę studentów, a nie dzieci ze szkoły, bo one żywcem by mnie pożarły. A jeśli chodzi o pana Blackwella, to powinniście wiedzieć, że on bardziej szczeka, niż gryzie.

W sali rozlega się niepewny śmieszek.

– Mówię poważnie. W zasadzie to ja go wychowywałam, kiedy był nastolatkiem, i wiem, że w środku jest miękki. Bardziej, niż pokazuje to na zewnątrz. Zabiłby mnie, gdyby wiedział, że wam to powiedziałam, ale bardzo mu zależy na każdym z was,

możecie mi wierzyć. Właśnie dlatego jest taki surowy. Bo chce wydobyć z was to, co najlepsze.

Nagle przechodzi do gamy:

– La, la, la, la laaaa! – Obchodzi podkowę z krzeseł dookoła, w zamyśleniu przykładając palec do podbródka. – Hm… Kogo by tu wywołać na początek?

Wszyscy zaczynają się wiercić.

Ku memu przerażeniu Denise zatrzymuje się przede mną.

– Sophia. Ty spróbujesz pierwsza. Mówią, że śpiew odsłania duszę, prawda? Posłuchajmy, jak brzmi twoja dusza.

– Nie umiem śpiewać – próbuję się wywinąć. – Mam nadzieję, że tu się nauczę.

– Nonsens! – zapewnia Denise. – Wszyscy umieją śpiewać. No, tylko kilka nut. La la lala laaa.

Wiem, że jestem czerwona jak burak, ale Tanya i Tom patrzą na mnie zachęcająco.

Chrząkam.

– La la lala laaa… – skrzeczę. Wiem, że brzmi to okropnie. Nie fałszuję – znam podstawy. Ale… sama nie wiem. Mój głos jest taki cienki, dziecinny.

– Jaką masz ładną duszę – mówi Denise z uśmiechem.

– Ale mojemu głosowi brak siły.

– W śpiewie chodzi nie tylko o siłę – mówi Denise. – Ale i o uczucia. Ty wkładasz uczucie w głos, kiedy śpiewasz, i twój głos brzmi pięknie. Musimy tylko popracować nad techniką – natężenie, tembr, no i przede wszystkim pewność siebie, jeśli można to podciągnąć pod kwestie techniczne. Musisz poczuć się swobodniej. Ćwicz struny głosowe i wszystko będzie dobrze.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Reszta zajęć jest cudowna. Denise pokazuje nam fragmenty starych filmów ze swoimi ulubionymi piosenkami i wszyscy śpiewamy razem do muzyki z *Mary Poppins* i *Dźwięku muzyki*. Dostajemy też ćwiczenia do domu.

– Możecie ćwiczyć w pokojach – stwierdza. – Pod prysznicem. Wszędzie, gdzie jesteście sami, tak naprawdę, żeby nabrać swobody.

Kiedy wychodzimy z sali, Tanya kładzie mi rękę na ramieniu.

– A teraz Marc Blackwell – mówi. – Czas na oceny.

Rozdział 22

Na wykład Marca przychodzę, oczywiście, przed czasem. Dużo przed czasem. Drzwi są uchylone, więc wchodzę do środka. Zajmuję miejsce w pierwszym rzędzie, to samo, co na ostatnim wykładzie. Myśl, że mogłabym usiąść choćby jeden rząd dalej… Chcę być blisko niego. Choć wiem, że nic nigdy z tego nie wyjdzie. Przebywanie blisko niego jest

lepsze niż nic.

Przeglądam książki, rysuję coś w notatniku, aż do sali wchodzi jeszcze kilka osób. Kiedy kończę szkicować małe kwiatuszki na liście lektur, czuję mrowienie na szyi i wiem, że ktoś na mnie patrzy.

Podnoszę głowę. Jakiś metr przede mną stoi Marc. Kiedy nasze oczy się spotykają, przez chwilę mam wrażenie, że płynę w jego stronę. Jego oczy są bardziej przejrzyste i niebieskie niż kiedykolwiek. Marc odwraca wzrok i wchodzi na podwyższenie. Pod pachą ma etui na laptop.

Patrzę, jak wyjmuje papiery i zaczyna je przeglądać. Każdą stronę uważnie czyta, a jego policzki drgają, kiedy zaciska i rozluźnia szczęki.

Przybywają kolejni studenci. Tanya i Tom siadają obok mnie – dziś przyszli na czas – a Cecile kilka krzeseł dalej, tak blisko podium, jak to tylko możliwe.

Marc zatrzaskuje laptop.

– Witajcie – mówi, podnosząc głowę. – Interesujące interpretacje. – Nie patrzy na mnie. – Cieszę się, że wybrałem odpowiednich ludzi.

Odpowiedni ludzie… Czuję, jak zalewa mnie fala ulgi. Och, Bogu dzięki. Więc jednak aż tak tego nie spaprałam. Jest dobrze. Jest dobrze.

– Jednak wszyscy macie nad czym pracować. Chcę wydobyć na światło wasze ukryte talenty. To, co trzymaliście w tajemnicy, nawet przed sobą. Musicie popracować też nad dyscypliną. Jako aktorzy, musimy trzymać emocje na wodzy. Dlatego właśnie nalegam, żebyście przestrzegali moich zasad i przychodzili punktualnie. Jeśli nie potraficie być zdyscyplinowani, nie macie przed sobą przyszłości jako aktorzy.

Wchodzi z powrotem na podium.

– Jeśli mam was czegokolwiek nauczyć, to przede wszystkim tego, że dyscyplina i sztuka idą w parze. Bez dyscypliny w pracy nad rolą, budowaniu postaci, nie mamy nic. Ale jeśli nie mamy nic poza dyscypliną – jeśli nie umiemy pójść na żywioł, użyć własnych emocji i doświadczeń dla stworzenia postaci – także nic nie zdziałamy.

Marc mija pustą białą tablicę. Spogląda na mnie, ale szybko odwraca wzrok.

– Kiedyś byłem taki sam, jak wy. Nerwowy. Wystraszony. Nieopanowany. Muszę przyznać, że jako młody chłopak byłem bardzo bojaźliwy. Pozwoliło mi to stworzyć kilka świetnych kreacji. Więc nie myślcie o sobie zbyt źle, jeśli się boicie. Ale musicie zapanować nad strachem.

Wszystkie wasze doświadczenia, dobre i złe, mogą zostać wykorzystane, jeśli potraficie zapanować nad emocjami. Ojciec cię bił? Przywołaj to upokorzenie, ból, poczucie krzywdy i tchnij w postać, która wymaga tych uczuć. Masz złe nawyki? Przywołaj wstyd i pogardę dla samego siebie, by dodać głębi postaci, której nikt nie rozumie. Aktorstwo to wspaniały zawód. Możemy największy ból przekuć w swój największy tryumf.

Ojciec cię bił? Powiedział to tak, jakby mówił o sobie – o własnych doświadczeniach. A złe nawyki… tak. Wiem, że musi jakieś mieć.

Pod koniec zajęć Marc oznajmia, że za kilka tygodni znowu będziemy przed nim grali. O Boże. Akurat kiedy uznałam, że stres związany z pierwszym występem minął, już mamy myśleć o kolejnym.

Serce trzepocze mi w piersi, ściska mnie w żołądku. Kolejne przesłuchanie. Po tym, co zrobiłam z pierwszym. Nie dam rady. Przynajmniej bez pomocy. Potrzebuję pomocy Marca. Musi mi pokazać, co zrobiłam źle, i pomóc to poprawić.

Wszyscy wychodzą z sali, ale ja zwlekam. Widzę, że niektórzy dziwnie na mnie patrzą i szturchają się łokciami.

Czekam, aż ostatni student opuści salę, a potem podchodzę do Marca, który wkłada papiery do teczki na laptop.

Nie podnosi wzroku, ale spogląda na mnie z ukosa.

– Mogę w czymś pomóc, panno Rose?

– Mam nadzieję, że tak – mówię tak śmiało, jak tylko potrafię.

– A jak?

– Czy mogłabym… panie Blackwell, potrzebuję dodatkowej pomocy. Przed następnym przesłuchaniem.

Czy to dobry pomysł? Pewnie nie. Ale to przynajmniej prawda. Rzeczywiście potrzebuję pomocy. Staram się nie myśleć o innej motywacji do tego, żeby spędzić z nim więcej czasu.

Marc zamyka teczkę i podnosi głowę.

– Dodatkowa pomoc? Sophio, posłuchaj. Jesteś obiecującą aktorką. Bardzo obiecującą. I jest w twojej grze coś takiego… – Rozkłada ręce i podnosi wzrok do sufitu. – Ciężko to ująć w słowa. Nie wiem. Coś czystego. Prawdziwego. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. U nikogo. Ale… jestem teraz z tobą absolutnie szczery. Dużo myślałem. Wiązałem z tobą wielkie nadzieje, ale może dla ciebie to za duże wyzwanie. Na razie będziemy się trzymali ról przyzwoitych młodych dam i zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi.

– Ale ja chcę się sprawdzić – oznajmiam. – Chcę wykorzystać cały swój potencjał. Dlatego tu jestem.

– Cóż. – Marc podnosi teczkę. – To godne podziwu. Ale czasami w życiu musimy zaakceptować swoje ograniczenia, nawet jeśli chcemy je przezwyciężyć. Cofnijmy się o krok. Na następne przesłuchanie wybrałem dla ciebie coś łatwiejszego.

– Chwileczkę – proszę. – Ale ja chcę podjąć wyzwanie. Chcę spróbować jeszcze raz. Nie chcę się cofać. Jestem tu, żeby dać z siebie wszystko.

– Cieszę się. Ale sądzę… że dodatkowa pomoc w twoim przypadku to może nie najlepszy pomysł. – Patrzy na zegarek. – Lepiej już pójdę.

– Proszę! – wołam. – Jest pan moim nauczycielem. Jeśli nie mogę poprosić o pomoc pana, to kogo?

Marc podchodzi do drzwi, ale zatrzymuje się przed nimi. Opiera dłoń o framugę, widzę, jak jego pierś podnosi się i opada. Odwraca się.

Zaciska zęby i prawie nimi zgrzyta.

– Masz rację. Jestem twoim nauczycielem. – Powoli zamyka oczy, a potem znowu je otwiera. – Jestem tu dzisiaj do siódmej trzydzieści. Teatr jest wolny cały wieczór. Spotkajmy się o siódmej; zobaczymy, co możemy zrobić.

Wychodzi z sali.

Siódma wieczorem. Spotykam się z panem Blackwellem o siódmej wieczorem. O

Boże, w co ja się wpakowałam?

Rozdział 23

Jest jeszcze jasno, kiedy wchodzę tego wieczoru do teatru Queen's. Mam na sobie dżinsy i luźny kaszmirowy sweter i drżę trochę z zimna.

Drzwi są zamknięte na klucz, więc opieram się o nie i czekam.

Dokładnie o siódmej trzydzieści Marc zbliża się do teatru. Nagle nie wiem, co mam zrobić z rękami. Obejmuję się nimi i udaję, że z uwagą wpatrują się w łuk nad drzwiami.

– Panna Rose. Punktualna i grzeczna, jak widzę. Bardzo dobrze.

Udaje mi się skinąć lekko głową.

– Cóż. – Otwiera drzwi kluczem, a potem włącza światło. – Wejdźmy do środka. Pani pierwsza.

Wchodzę do teatru, słysząc kroki idącego za mną Marca. W środku jest chłodno, a w świetle lamp wirują drobiny kurzu.

– Mam wejść na scenę? – pytam, odwracając głowę. Marc idzie wyprostowany, jakby ten teatr należał do niego. Bo też, jeśli się nad tym zastanowić, należy.

– Tak, wejdź – zaprasza Marc.- Jesteś gotowa spróbować jeszcze raz zagrać Jennifer Jones?

– Tak – mówię, wchodząc na schodki.

– Dobrze.

Chrząkam i idę na środek sceny.

– Ta sama scena co poprzednio?

– Nie. Spróbujmy inną. Zakładam, że znasz tę sztukę na tyle?

Kiwam głową.

– Przeczytałam całą przed przesłuchaniem.

– Dobrze. W taki razie wybierz jakąś scenę.

– Może finałową, kiedy ona schodzi ze sceny i…

Marc przerywa mi, kręcąc głową.

– Zbyt łatwe. Przynajmniej dla ciebie. Wiem już, że umiesz zagrać melancholię.

– W porządku – mówię. – Więc może tę, w której Jennifer uwodzi baletmistrza?

Marc marszczy brwi.

– To może być za duże wyzwanie. Antonio sam jest uwodzicielem. Jennifer musi mu dotrzymać kroku.

– Potrzebuję wyzwania, panie Blackwell. Chcę się czegoś nauczyć. Ostatnie przesłuchanie…

– No więc dobrze. Ja zagram Antonia.

Wyciągam tekst z kieszeni dżinsów, ale Marc energicznie kręci głową.

– Bez tekstu, Sophio. Improwizujemy. Jak wcześniej. Czujesz tę postać. Pamiętasz

scenę, więc zaufaj intuicji. W ten sposób jest znacznie wiarygodniej.

– Czy pan też tak robi? – pytam. – Kiedy gra pan w filmach?

– Zawsze – mówi Marc. – Ale tylko wtedy, kiedy znam tekst na pamięć w każdą stronę. Tygodniami uczę się dialogów. Mogę zacytować każdą scenę z każdego filmu, w jakim grałem.

– Rany. To robi wrażenie. – Unoszę jedną brew i ku mojemu zaskoczeniu Marc uśmiecha się kącikiem ust.

– Cóż, dziękuję, panno Rose. Też tak myślę. – Uśmiech znika. – Wydajesz się zbyt spięta. – Podchodzi do mnie, a ja czuję, że sztywnieję jeszcze bardziej. Bierze mnie za ręce i potrząsa nimi.

Górna część mojego ciała rozluźnia się trochę, ale czuję tylko jego dłonie na swoich. Uświadamiam sobie, że patrzę mu w oczy.

Puszcza moje dłonie i odwraca wzrok.

– Lepiej?

Kiwam głową.

– Dziękuję.

– Nie próbuj przypomnieć sobie tej sceny – mówi Marc. – Nie jest ci to potrzebne. Ja dobrze ją znam, będę prowadził. Postaraj się poczuć to, co czuje w tej chwili Jennifer. Właśnie odkryła, że jej dyrektor sypia z inną młodą baletnicą i że może stracić rolę. Szuka pocieszenia. I potwierdzenia, że za pomocą seksu może zdobyć to, co chce. Co byś czuła na jej miejscu?

– Byłabym zła – oznajmiam. – I przestraszona.

– W porządku. Dobrze. Co jeszcze?

– Bezsilna. Upokorzona. Chciałabym odzyskać poczucie władzy. Poczuć, że mam władzę nad kimś innym.

– Bardzo dobrze. Jak zamanifestowałoby to twoje ciało?

Czuję, że prostuję plecy i patrzę mu prosto w oczy. Opuszczam dłoń na biodro. Mrużę lekko oczy i rozchylam usta.

– Doskonale. Zaczynajmy.

Kiwam głową.

– Jesteś niezwykle utalentowanym tancerzem, Antonio. – Przeczesuję włosy palcami. – Domyślam się, że znałeś wiele solistek w swoim czasie.

– Kilka – mówi Marc, uśmiechając się znacząco. Znowu jestem zaskoczona tym, jak potrafi się zmienić, tak po prostu. Czuję teraz młodość Antonia i jego pierwotną energię.

– Tak? – pytam z uśmiechem. – Jak dobrze znałeś te solistki?

– Niektóre z nich bardzo dobrze – odpowiada Marc.

– Może mnie także miałbyś ochotę lepiej poznać – mówię, podchodząc bliżej. Nasze klatki piersiowe dzieli tylko kilka centymetrów, czuję ciepło bijące od jego ciała. Rany. Znowu to przyciąganie. Czy on też to czuje? Jak magnes. Przeraża mnie to, bo mam ochotę rzucić mu się w ramiona i z trudem się powstrzymuję. Nie jest to coś, co powinna robić studentka ze swoim nauczycielem.

Przysuwam się trochę bliżej, nie z powodu tego przyciągania, tylko dlatego, że jestem Jennifer, a ona właśnie to by zrobiła.

Rozdział 24

Jeśli Marc czuje wzajemne przyciąganie się naszych ciał, nie okazuje tego. Jest Antoniem, od początku do końca. Spokojnym i opanowanym.

Obchodzę go dookoła. Marc – a raczej Antonio – patrzy na mnie z zadowoleniem. W końcu zatrzymuję się naprzeciw niego.

– Podoba ci się to, co widzisz?

– Nawet bardzo.

Waham się. Wiem, co zrobiłaby Jennifer, i jeśli dobrze pamiętam, rzeczywiście robi to w sztuce. Ale nie wiem, czy – biorąc pod uwagę, co czuję – jest to dobry pomysł. Biorę głęboki oddech.

– Nie przerywaj – prosi Marc. – Świetnie ci idzie. Nie odpuszczaj.

Kiwam głową i znowu się prostuję.

– Może chciałbyś zobaczyć więcej? – Odwracam się, zsuwam lekko sweter z ramienia i patrzę na niego z lekkim uśmiechem.

– Chętnie.

Zsuwam sweter trochę bardziej.

– Mógłbyś pomóc mi rosznurować kostium?

Marc staje tuż za mną. Udaje, że rozwiązuje sznurówkę na całej długości pleców, a ja czuję, jak z góry na dół przeszywa mnie dreszcz. Udaję, że zdejmuję kostium.

Podchodzę do niego, obejmuję go ramieniem za szyję i patrzę mu namiętnie w oczy. Mówię szeptem:

– Jestem twoja, jeśli mnie pragniesz.

Cudownie jest czuć, jak jego pierś przylega do mojej. Topnieję w środku i mam wrażenie, że słabo oświetlony teatr wiruje wokół mnie. Widzę i słyszę tylko Marca.

On odpowiada mi z równą namiętnością; czuję, jak obejmuje mnie ramionami i odchyla do tyłu.

– Pragnę.

Słyszę swoje ciche westchnienie i znowu czuję ten zapach – zapach rosy w lesie o poranku. Ten zapach sprawia, że czuję się bezpieczna. Chroniona.

Wiem, co powinno się teraz stać. Para zastyga na scenie, a potem rozchodzi się przed zmianą sceny. Ich seksualne doświadczenie pozostawione jest wyobraźni publiczności. Ja jednak nieruchomo tkwię w jego objęciach. Nie byłabym w stanie oderwać od niego oczu, nawet gdybym chciała. Nie chcę się poruszyć. Chcę zostać tu na zawsze.

Słyszę jego oddech. Ciężki i chrapliwy. Jego pierś podnosi się i opada tuż przy mojej.

Odzyskuję zmysły i przypominam sobie, że powinnam być Jennifer – uwodzicielską, silną i pewną siebie. Nie ma tego w tekście, ale Marc powiedział, że mam improwizować. Więc nachylam się do niego i całuję go w usta. Moje ciało kołysze się lekko w jego ramionach. To teatralny pocałunek, lekki i niewinny, ale próbuję tchnąć w niego seksualną energię Jennifer.

Już mam się odsunąć, kiedy Marc przyciąga mnie do siebie i przyciska wargi do moich ust.

O Boże.

Teatr rozpływa się i zostajemy tylko my dwoje, nasze złączone usta. Nic i nikt inny nie ma znaczenia.

Zamykam oczy i pozwalam ponieść się doznaniom. Miękkości jego warg. Sile rąk. Ciepłu ciała. Nasze usta stapiają się w jedno, nie jesteśmy już dwojgiem oddzielnych ludzi. Znowu słyszę swoje westchnienie i czuję, jak w tej samej chwili Marc mocniej obejmuje mnie ramionami.

Potem podciąga mnie do góry i odpadamy od siebie.

Patrzę na niego, nie wiedząc, co myśleć, co mówić. To był prawdziwy pocałunek. Pocałował mnie, nie Jennifer. Pocałował Sophię.

Chcę, żeby zrobił to jeszcze raz. Żeby nie przestawał tego robić. Ale kiedy się cofam, on szybko schodzi ze sceny.

Odwraca się i patrzy na zegarek.

– Muszę jeszcze gdzieś iść.

– Marc… – zaczynam, ale nie wiem, co mogłabym powiedzieć.

– To… – Marc przykłada dłoń do czoła. – Mam nadzieję, że ten wieczór ci pomógł. – Odwraca się znowu.

– Dziękuję – jąkam się i czuję jak idiotka. Oszołomiona pocałunkiem. Nagle znowu jestem głupiutką uczennicą, która durzy się w nauczycielu.

– Chyba nie będziesz już teraz potrzebowała dodatkowej pomocy – stwierdza na odchodnym, a mnie coś ściska w żołądku. – Trzymajmy się normalnych zajęć.

– Marc… – Oczywiście powinnam powiedzieć „panie Blackwell”. Ale nie mogę znieść tego formalnego tonu. Tracę go i nie mogę się z tym pogodzić. Ten pocałunek kilka chwil temu – to nie dość. Muszę dostać więcej. – O co chodzi? – O moją grę? Czyżbym go zawiodła? Co się właśnie między nami wydarzyło?

Nie odwraca się do mnie, ale się zatrzymuje. Wzdycha i widzę, jak jego silne ramiona poruszają się pod koszulą.

– Takie korepetycje, jeden na jeden… to niezdrowe.

Teraz odwraca się i patrzy na mnie płonącym wzrokiem.

– Tu nie chodzi o ciebie, Sophio. Tylko o mnie. O mnie i o to, do czego jestem zdolny. – Rusza znowu przed siebie i wychodzi z teatru.

Rozdział 25

Siedzę na scenie, oszołomiona. Ten pocałunek był prawdziwy. Ale… nie powinno było do niego dojść. Oboje o tym wiemy. To mój nauczyciel. A w dodatku wspaniały, sławny hollywoodzki aktor, podczas gdy ja jestem dwudziestoparoletnią dziewczyną z małej wioski. Głupio myśleć, że kiedykolwiek dostanę jeszcze coś poza tym pocałunkiem. Reakcja Marca była bardzo wymowna – to był błąd. I nie chce, żeby ten błąd zepsuł nasze

stosunki na linii nauczyciel–studentka.

Nagle wstaję i wybiegam z teatru.

Widzę Marca, który idzie przez przystrzyżony trawnik; za nim ciągnie się smużka dymu z trzymanego w ręce papierosa.

Podbiegam do niego.

Na mój widok jego oczy łagodnieją, ale usta zaciskają się mocno.

– Chcę porozmawiać – mówię. – Bardzo mi przykro z powodu tego, co się wydarzyło. – Nie chcę płakać, ale czuję już łzy pod powiekami. – To nie było profesjonalne i już się więcej nie powtórzy.

Z pobliskiego drzewa zrywa się kilka ptaków.

Marc zamyka oczy i kręci głową.

– Nie chodzi o ciebie. Ty nic nie zrobiłaś. Tylko… myślę, że dość się dzisiaj nauczyłaś. Do zobaczenia na wykładzie.

– Ale ja wcale nie nauczyłam się dość – oponuję. – Nie widzisz, jak się poprawiłam w zaledwie pół godziny? Tyle możesz mnie nauczyć. Mam w środku tyle emocji, które chciałabym uzewnętrznić. Potrzebuję twojej pomocy…

Marc kręci głową.

– To nie jest dobry pomysł.

– Proszę…

– Nie rozumiesz, Sophio? Naprawdę? Muszę powiedzieć to wprost?

– Posłuchaj, naprawdę mi przykro, że cię pocałowałam…

– Tam, w teatrze… – przerywa mi Marc. – Mogłem… mogłem… Zwykle potrafię się kontrolować. Ale przy tobie jest… inaczej. Nie powinienem spotykać się z tobą w taki sposób. Nie na osobności. – Spogląda w ciemne niebo, a ja widzę w jego oczach ból. – Chryste, żebym ja do tego stopnia przestał nad sobą panować!

Nerwowo skręcam włosy. Ściska mnie w żołądku.

– O czym ty mówisz?

– Mówię – Marc odwraca się do mnie i prawie warczy – że jeśli spędzę z tobą jeszcze trochę czasu w ten sposób, może nie zdołam się powstrzymać i sprawy zajdą za daleko. Czy wyrażam się jasno?

Przełykam ślinę i czuję, jak mocno bije mi serce. Nie jestem w stanie tego przyjąć.

– Nie chcę cię stracić jako nauczyciela – mówię szeptem. – Proszę, nie mów, że nie możesz mnie już uczyć. Marc…

– Boże, nie powinno do tego dojść – mówi Marc. – Zawsze nad sobą panuję. W stu procentach. Ale od tamtego przesłuchania… – Przeczesuje włosy palcami i odwraca wzrok.

Przełykam z trudem ślinę i ledwo jestem w stanie wydobyć z siebie głos.

– Jeśli jest we mnie coś, co mogłoby zagrażać twojej pozycji jako wykładowcy, nie możesz mnie za to karać. Zostałam przyjęta na te studia. Na pewno zdarzą się sytuacje, kiedy będę potrzebowała indywidualnej pomocy. To niesprawiedliwe, karać mnie za to… za to, co się stało.

Marc zaciska zęby.

– Masz rację. Ktoś inny poprowadzi te zajęcia. W tym roku odsunę się i poszukam

zastępstwa.

Patrzę na niego.

– Nie możesz tego zrobić. Większość studentów chce studiować w tej akademii ze względu na ciebie. Od ciebie chcą się uczyć. Jesteś ich idolem. Ich gwiazdą. Chcą słuchać ciebie. Nie kogoś innego.

Marc patrzy na mnie i milczy dłuższą chwilę.

– Ta sytuacja… jeśli zostanę, może stać się nie do zniesienia.

Wpatruję się w swoje adidasy. Do materiału przylgnęła wilgotna trawa.

– Dlaczego? – Słyszę własny głos.

Marc przysuwa swoją twarz do mojej; jego niebieskie oczy płoną.

– Ponieważ nie mogę cię mieć. A pragnienie czegoś, czego nie możesz mieć, może być bardzo trudne do zniesienia. Zwłaszcza dla kogoś, kto jest przyzwyczajony, że dostaje wszystko, czego chce.

– Ty… ty mnie pragniesz? – jąkam się. – Ale myślałam, że… To znaczy, jestem tylko dziewczyną z małej wioski. A ty jesteś Marc Blackwell.

– Chcesz, żeby było to jeszcze trudniejsze niż jest? – pyta Marc. – Doskonale wiesz, że nie mogę cię mieć. – Bierze głęboki oddech i wypuszcza powietrze. – Jestem twoim nauczycielem. Ty jesteś moją studentką.

Czuję na sobie jego wzrok; zdaje się wypalać dziury w mojej twarzy.

– Kto powiedział, że nie możesz? – mówię, z trudem formując wyrazy. – Musisz zdawać sobie sprawę, że ja też cię pragnę.

– To, co do mnie czujesz, jest bez znaczenia – stwierdza Marc posępnie. – Wykorzystywałbym swoją pozycję. Jesteś ode mnie młodsza. Bezbronna. A ja powinienem być dojrzały. Poza tym, gdyby ktoś się dowiedział, twoja reputacja zostałaby… nadszarpnięta. Prasa zaczęłaby cię nękać. Staram się chronić swoich studentów. Nie… Chryste. – Znowu widzę w jego twarzy ten ból.

Stoję i na przemian otwieram i zamykam usta.

– Ale skoro oboje tego chcemy…

– To się nie może stać – rzuca Marc. – Nie z tobą. Zasługujesz na coś lepszego. Boże, gdybyś wiedziała, co robiłem… Czy ty nie czytasz gazet? Nie chcesz mnie, Sophio. Wierz mi. Trzymaj się ode mnie z daleka. Dla własnego dobra.

Rusza szybko dalej przez trawnik i choć każda cząstka mojego ciała chce za nim biec, ja wiem, że to kiepski pomysł. Zastanawiam się, co miał na myśli, mówiąc, „co robiłem”. Czy ten komentarz w Internecie? Zupełnie nie wiem, jak się w związku z tym czuję. Przestraszona? Podniecona? Wytrącona z równowagi? Nie, żeby to miało jakiekolwiek znaczenie, bo Marc powiedział mi właśnie, że między nami nie może do niczego dojść.

Odwracam się w drugą stronę i idę w stronę akademika.

Następnego ranka wstaję z łóżka bardziej zagubiona niż zwykle. Podlewam rośliny, myję zęby i już mam wybrać, co na siebie włożyć, kiedy rozlega się pukanie do drzwi.

Przecieram zaspane oczy, sprawdzam, czy piżama wszystko skromnie zakrywa, otwieram. Na progu widzę Toma i Tanyę. Tanya ma trochę przekrzywione okulary na

nosie, a Tom jest bez butów i ma koc zarzucony na ramiona.

– Co jest? – pytam i czuję, jak ściska mnie w żołądku. – Czy coś się stało?

– Chodzi o pana Blackwella – mówi Tanya.

– Co z nim? – Słyszę, że podniosłam głos.

– On… wyjechał…

– Wyjechał? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie ma go – mówi Tanya. – Opuścił akademię.

– Ale dokąd wyjechał? – Zaczynam wpadać w panikę. Widzę, że Tom drży pod kocem. – Wejdźcie do środka. Tu jest zimno.

Wchodzą, a ja idę prosto do drzwi balkonowych, żeby sprawdzić, czy ford Marca jest na parkingu. Nie ma go. Puste miejsce sprawia, że czuję się zagubiona i smutna.

– Powiedzieli, że pojechał do siostry – wyjaśnia Tanya, przysiadając na mojej zmiętej kołdrze.

– Do siostry? – Troszeczkę się rozluźniam. – A kiedy wróci?

Tanya wzrusza ramionami.

– Krążą plotki, że może za tydzień albo za dwa.

– Tydzień? – Pocieram dłonią czoło. Może tak będzie lepiej. To byłoby takie bolesne, zobaczyć go dzisiaj. I takie żenujące. – Ale wróci tu, tak?

– Nie wiem – przyznaje Tanya. – Mam wrażenie, że Wendy sama nie wie. Jesteśmy z Tomem załamani. Wszyscy zdawali tu, bo chcieli, żeby Marc ich uczył. A teraz… Kto wie, co się dzieje? To dość, żeby iść się upić.

– A tobie akurat wiele do tego nie trzeba – dorzuca Tom.

Siadam na łóżku obok Tanyi i próbuję przetrawić te wiadomości.

– Nic ci nie jest, moja droga? – pyta Tom. – To prawdziwy szok, prawda?

– Tak – przyznaję. I czuję coraz mocniejszy ucisk w żołądku, który mówi mi, że może, może… Marc wyjechał przeze mnie.

Tom poklepuje mnie po kolanie.

– Hej. Nie wpadajmy w rozpacz. Ciągle mamy Denise. I śniadanie na nas czeka. Życie nie jest takie złe. Jestem pewny, że Marc ma tyko jakieś rodzinne sprawy do załatwienia i ani się nie obejrzymy, jak wróci.

– Tak – mówię, zdecydowanie kiwając głową. – Wróci.

Chcę w to wierzyć. Wszyscy chcemy.

Plotka, że Marc wyjechał, obiegła już stołówkę. Dowiadujemy się, że wyjechał ubiegłego wieczoru – zapewne do siostry. Ale w gazetach nie ma nic na ten temat, nikt nie potwierdza plotek ani im nie zaprzecza.

Pierwsze zajęcia tego dnia mamy z Denise i chyba przychodząc na nie, wszyscy mamy nadzieję na jakieś wyjaśnienie nieobecności Marca.

– Och Boże – wzdycha Denise, kiedy zajmujemy miejsca w podkowie z krzeseł. – Ależ z was dzisiaj żałosna gromadka. Chyba słyszeliście już o wyjeździe pewnego dżentelmena?

Kiwamy głowami.

– Cóż, nie martwcie się. Zastąpi go wspaniały wykładowca, Alberto Adami, cudowny aktor teatralny.

– Alberto Adami? – prycha Cecile. – A z czego on jest znany? Zagrał w kilku sztukach. Co z tego?

– To bardzo dobry aktor – wyjaśnia Denise. – I wiele was nauczy, kiedy nie będzie Marca.

Podnoszę rękę i zauważam, że drżą mi palce.

– Tak, Sophio?

– Eee… a kiedy Marc… to znaczy pan Blackwell, tu wróci?

Wokół oczu Denise pojawia się więcej zmarszczek.

– Na razie nie wiem. Ma pewne problemy rodzinne. To może trochę potrwać.

– Och. – Serce zamiera mi w piersi. Cóż, pewnie lepiej, że nie będę go widywała. Ale to nie znaczy, że nie chcę go zobaczyć. Jakiś niespokojny głos w głębi mojego umysłu szepcze: czy on wyjechał stąd przez ciebie?

Zajęcia z Denise kończą się chórem, który wprawia wszystkich w dobry nastrój.

Kiedy wychodzimy z sali, Denise bierze mnie pod ramię.

– Sophio, kochanie, możemy chwilę porozmawiać?

Odwracam się do Toma i Tanyi, którzy patrzą na mnie pytająco.

– Oczywiście – mówię.

Denise czeka, aż wszyscy wyjdą, a potem zamyka drzwi. Na sali jest bardzo ciepło. Prawie duszno.

– Zauważyłam, że nie byłaś dzisiaj sobą. – Denise podchodzi do czajnika przy oknie i włącza go. – Wiem, że to dziwny dzień dla nas wszystkich, ale wydaje mi się, że ty jesteś szczególnie przygnębiona. Herbaty?

– Och. Tak, proszę.

– Mam tylko ziołową, niestety. W ziołowych mleko kwaśnieje. Usiądź, proszę.

Siadam.

– Mam nadzieję, że nie zabrzmi to zbyt zarozumiale – mówi Denise – ale mam intuicję i wiem, kiedy któryś z moich studentów nie czuje się dobrze. Gdybyś kiedykolwiek potrzebowała rozmowy, jestem tutaj. I umiem słuchać. Tu, w Akademii pod Bluszczem, jesteśmy jedną rodziną. Marc i ja bardzo troszczymy się o naszych studentów.

– Dziękuję – mówię. – Marc… to znaczy pan Blackwell był naprawdę bardzo życzliwy. Wczoraj wieczorem dał mi lekcję indywidualną.

– To bardzo miłe z jego strony – uznaje Denise. – Tak, Marc to dobry człowiek.

– Słyszałam, że… bardzo stara się panią chronić – mówię w nadziei, że Denise powie coś więcej o Marcu.

– Znałam go, odkąd był chłopcem – mówi Denise. – Przez pewien czas byłam dla niego jak matka. I nadal jestem, kiedy tylko mogę. Było mu ciężko, kiedy był chłopcem, ale wyrósł na wspaniałego młodego człowieka. – Denise patrzy na mnie z ukosa. – Och, wiem, że czasem potrafi być zimny. Nawet arogancki. Jego sposób bycia może irytować, bo nie bierze jeńców i nie toleruje głupoty. Ale nie pozwoli, by krzywda spotkała kogoś,

kto jest mu bliski. – Denise nalewa wodę do kubków. – A więc, Sophio… interesuje cię pan Blackwell? W sali wykładowej i poza nią – czy mam rację?

Krew ścina mi się w żyłach. Ona naprawdę ma intuicję.

Denise podaje mi kubek.

– Nie mam prawa zadawać ci osobistych pytań, ale obiecuję, że jeśli będziesz chciała zrzucić jakiś ciężar z piersi, dochowam twojej tajemnicy.

– Dziękuję – rzucam. – Doceniam to.

Denise uśmiecha się i wokół jej oczu pojawiają się zmarszczki.

– Kiedy mi mówił, że wyjeżdża, czułam, że nie chodzi tylko o jego rodzinę.

Otwieram szeroko oczy.

Denise poklepuje mnie po ręce.

– Jak mówiłam, mam intuicję. Wyraźnie czuję rzeczy, na które inni ludzie są ślepi. A czuję… Kiedy powiedziałaś mi, że spotkałaś się z Markiem wczoraj wieczorem, dopasowałam kolejny element układanki.

Upijam łyk herbaty i parzę się w język.

– Czy wczoraj wieczorem coś zaszło? Między wami dwojgiem?

– Ja… – Zaczynam płakać; nie mogę się powstrzymać. – Nie, nic… To znaczy, niezupełnie. To wszystko było takie dziwne.

Denise kiwa głową.

– Z Markiem nic nie jest proste tam, gdzie w grę wchodzą kobiety. Jest taki poraniony. Boi się, że jeśli zbliży się do kobiety, zawiedzie ją albo ją straci. Jego matka zmarła, kiedy był bardzo młody, a on ciągle się o to obwinia. Myślę, że to ma z tym coś wspólnego.

Ocieram łzy.

– To okropne.

– Wiem, że ty też straciłaś matkę – stwierdza Denise. – Prawdę mówiąc, częściowo właśnie z tego powodu chciałam z tobą dzisiaj porozmawiać. Chciałabym, żebyś wiedziała, że jestem kimś, komu możesz zaufać, jeśli będziesz tego potrzebowała. Mogę być dla ciebie kimś w rodzaju matki, tutaj, w akademii, jeśli chcesz.

– Jak stracił matkę? – pytam.

Twarz Denise pochmurnieje.

– To przez jego ojca. Ale Marc wini siebie. Już jako młody chłopak uważał, że musi chronić rodzinę. Był takim mądrym dzieckiem, kiedy go poznałam, ale smutnym. Potrafił w kilka godzin nauczyć się tekstu na pamięć i zagrać każdą postać, ale na barkach nosił ciężar całego świata. W wieku jedenastu lat czuł się odpowiedzialny za ojca i siostrę. Dla takiego dziecka to za dużo.

Oczy Denise zwężają się w uśmiechu.

– Wiesz, mówił o tobie. Po twoim przesłuchaniu. Jedliśmy coś i… on nigdy dotąd nie mówił o żadnym przesłuchaniu w takich okolicznościach. Powinnam była się domyślić, że coś się dzieje.

Kręcę głową.

– Nic się nie dzieje. Wczoraj wieczorem doszło do głupiego incydentu, ale to już przeszłość. Kiedy Marc wróci, wszystko będzie jakby nigdy nic.

Rozdział 26

Dni zmieniają się w tygodnie, a Marc ciągle nie wraca. Moje życie w Akademii pod Bluszczem to codzienna rutyna wykładów, posiłków i wieczorów spędzanych z Tomem i Tanyą. Nasz nowy wykładowca, Pablo, jest naprawdę dobry. Nie jest Markiem, ale wszyscy bardzo go lubimy i dużo się uczymy.

Każdego ranka przed śniadaniem spaceruję po parku albo zajmuję się małą grządką z warzywami, którą założyłam pod kępą świerków. Wysiałam tam czosnek i jarmuż, a dzisiaj przyniosłam ze sobą ziarna szparagów. Mówią, że to warzywo trudne w uprawie, ja jednak uważam, że możesz uprawiać z powodzeniem każdą roślinę, jeśli tylko wiesz, czego jej potrzeba.

Dzień jest słoneczny, choć w powietrzu czuć już ostry, jesienny chłód, a ja, jak zawsze, rozkoszuję się bliskością drzew. Wiewiórki umykają przede mną po wilgotnej ziemi, a ja śpiewam sobie trochę – ćwiczę, jak zalecała nam Denise.

Po wysianiu szparagów okazuje się, że zmierzam, zgodnie z przewidywaniami, do małego jeziorka.

Zdejmuję adidasy i skarpetki, a potem wkładam nogi do wody i czuję na gołej skórze ukłucia lodowatego zimna. Podwijam nogawki dżinsów i zanurzam nogi głębiej; błoto i wodorosty chlupoczą mi między palcami. To niebiańskie uczucie, być częścią natury. Wstaję i robię kilka kroków, oddalając się od brzegu.

Cieszę się tą chwilą, nucąc sobie pod nosem, kiedy nagle następuję na jakiś ostry kamień tracę równowagę i z okrzykiem wpadam jak długa do wody. Chcę chwycić oddech w nieodpowiedniej chwili, woda wpada mi do gardła i zaczynam kaszleć. Idę na dno; oczy szczypią mnie w błotnistej wodzie, a nad sobą widzę zamglone, chybotliwe zielono-niebieskie kształty.

Macham ramionami, a potem nagle coś ciepłego chwyta mnie za nadgarstek i ogarnia mnie spokój. Przestaję się miotać.

Nagle znowu widzę słońce i zaraz zaczynam kaszleć – kaszel jest ostry, niepohamowany, aż do bólu w klatce piersiowej.

Ocieram wodę z włosów i oczu. Nie mam pojęcia, gdzie jestem; wiem tylko, że jakimś sposobem już nie w wodzie.

Podnoszę powieki, patrzę spod mokrych rzęs i nie wierzę własnym oczom. Z odległości kilku centymetrów patrzą na mnie niebieskie, chmurne oczy Marca Blackwella.

Marc wynosi mnie z jeziora. Jego ramiona wydają się ze stali, przywieram do nich, dygocząc.

– Co ty, na litość boską, wyprawiasz? – Jest zły. Nie, jest wściekły. Usta ma zaciśnięte w wąską linię; dostrzegam krótki, miękki zarost na jego policzkach, które poruszają się z irytacją.

– Ja… nic. Nie chciałam wpaść do wody.

Marc marszczy brwi. W milczeniu wnosi mnie pomiędzy drzewa.

– Wróciłeś – mówię żałośnie. Czuję, jak pierś, przyciśnięta do mojego barku, unosi się i opada.

Nagle moją uwagę przykuwa młody dąbek. Ziemię pod naszymi stopami pokrywa dywan bluszczu, który zaczął też oplatać małe drzewko. Liście dębu są zbyt pożółkłe i zbrązowiałe, nawet jak na tę porę roku.

– Czekaj – mówię i zsuwam się na ziemię. – Zatrzymaj się. Proszę.

Marc przystaje.

– O co chodzi?

– Możesz mnie tu postawić? – Nie chcę opuszczać jego objęć, ale drzewko potrzebuje mojej pomocy.

– Musisz się zaraz rozgrzać.

– Ale to drzewko. – Wskazuję dąbek. – Ono umiera. – Wysuwam się z jego ramion i podchodzę do drzewka. Zaczynam odsuwać bluszcz, żeby dąbek mógł zawalczyć o życie. Uważam, żeby nie zniszczyć przy tym bluszczu; przeciągam jego giętkie gałązki dalej, żeby mogły rosnąć, nie przeszkadzając drzewku.

Czuję za plecami obecność Marca.

– Sophio! Musisz się zaraz rozgrzać.

– Nic mi nie jest. Naprawdę. – Rozgarniam splątane zielone gałązki.

– Nie lubisz bluszczu? – Jego głos brzmi poważnie; czuję na sobie jego wzrok. Serce bije mi coraz mocniej.

– Kocham bluszcz – mówię. – To jedna z moich ulubionych roślin. Ale przeszkadzał temu drzewku, więc musiałam go powstrzymać. Skierować go gdzie indziej.

– Gdzie indziej? – Marc unosi brwi.

– Tak – potwierdzam. – Żeby nie przeszkadzał innym roślinom.

Cudownie jest czuć go tak blisko siebie. Jakbyśmy byli ze sobą powiązani, luźno, ale tak, żeby można było w każdej chwili zacieśnić splot.

– Więc lubisz rośliny?

– Uwielbiam. W domu zajmowałam się ogrodem taty. Mam zamiar zasadzić też coś na moim balkonie. Nie czuję się dobrze, kiedy nie mam kontaktu z naturą. Jestem zachwycona tym parkiem. – Odwracam się i patrzę na niego, bo ciągle nie dowierzam, że naprawdę tu jest. W końcu dodaję: – Czy wyjechałeś z mojego powodu?

– Częściowo.

– Nie musisz się niepokoić. Będzie tak, jakby nic się nie wydarzyło.

– Obiecałaś mi, że nie będziesz więcej wchodziła do jeziora.

– Nigdy ci tego nie obiecałam – mówię, otrzepując ręce z ziemi. Sam jego widok sprawia, że miękną mi kolana, a do tego jestem przemoczona do suchej nitki i zziębnięta. – Wróciłeś tu… na dobre? Do akademii?

Marc kiwa głową.

– Dzisiaj macie zajęcia ze mną. Chodźmy do środka, Sophio… zaraz tu zamarzniesz.

Zauważam, że jego grafitowa koszula jest mokra w miejscu, gdzie jej dotykałam, a czarne spodnie i buty są pokryte mułem i wodorostami. Na pewno jest mu tak samo zimno, jak mnie, ale nie widać po nim, że temperatura w jakikolwiek sposób mu

doskwiera.

– W takim razie wkrótce spotkamy się na wykładzie – mówię. – I co dalej? To znaczy… będziemy się nawzajem ignorowali?

– Tak właśnie zaplanowałem – mówi Marc. – Przykro mi. Nie chcę być okrutny ani sprawiać ci bólu. Radzę sobie z tą sytuacją najlepiej, jak potrafię. Zabiorę cię do środka, a potem powinniśmy ograniczyć kontakty do minimum.

Nie patrzy na mnie.

– Nie musisz wchodzić ze mną do środka – oznajmiam i mam nadzieję, że moja twarz nie zdradza, jak bardzo boli mnie serce. – Sama mogę to zrobić.

Marc patrzy na mnie, przemoczoną i drżącą, i kręci głową.

– Pozwól, żebym ci pomógł – mówi łagodnie.

– Nie – odpowiadam. – Masz rację. Powinniśmy się trzymać od siebie z daleka. Nic mi nie będzie.

Ruszam szybko w stronę akademii.

Do czasu, kiedy wzięłam prysznic i wysuszyłam włosy cały kampus wie, że Marc wrócił.

Przed naszym pierwszym wykładem spotykam Toma i Tanyę przed salą.

– Gdzie się podziewałaś, śpiochu? – pyta Tom.

– Och, tylko… porządkowałam swoją grządkę.

– Ach, tak? – Tom unosi jedną brew. – Zwykle jesteś tu przed nami. Chyba nie zadajesz się z jakimś facetem, o którym nic nie wiemy?

Uśmiecham się i kręcę głową. Szkoda, że tak nie jest.

Głośny stuk skórzanych podeszew na betonowej posadzce mówi nam, że Marc właśnie przeszedł. Mija nas i wchodzi do sali.

Drżę, kiedy mnie mija, ale bardzo staram się na niego nie patrzeć. Wbijam wzrok w podłogę i próbuję rozetrzeć gęsią skórkę, która wystąpiła mi na ramionach.

Wchodzimy do sali i zajmujemy w pierwszym rzędzie miejsca, do których zdążyliśmy się już przyzwyczaić. Patrzę, jak Marc wyciąga jakieś papiery z teczki na laptop. I znowu to czuję – ten znajomy ból, który zawsze mnie dręczy, kiedy jestem blisko Marca i nie mogę go dotknąć.

Wykład Marca dotyczy prezencji scenicznej. Jest o tym, że niektórzy mają ją wrodzoną, ale można się jej także nauczyć. I o tym, jak powinniśmy ćwiczyć, żeby jej nabyć. To interesujące, ale ręce za bardzo mi się trzęsą, żebym mogła cokolwiek zanotować. Przez cały wykład obserwuję Marca i czekam na coś, cokolwiek, co potwierdzi, że wydarzenia sprzed kilku tygodni nie były tylko snem. Że on czuje do mnie taki sam pociąg jak ja do niego, nawet gdyby nic nie miało z tego nigdy wyniknąć.

Marc prawie mnie nie zauważa. Rozdając materiały, nie patrzy mi w oczy. Zadaje pytania wszystkim w sali, ale choć często to ja podnoszę rękę pierwsza, ani razu nie pozwala mi odpowiedzieć.

Po wykładzie studenci wychodzą z sali, ale ja zwlekam. Tanya rzuca mi zdumione spojrzenie, kiedy mówię, żeby na mnie nie czekali, ale jest zbyt uprzejma, żeby zadawać

wścibskie pytania.

Czekam, aż ostatni student opuści salę, a potem podchodzę do Marca, który pakuje właśnie swoje rzeczy do torby.

Nie podnosi wzroku, ale spogląda na mnie z ukosa.

– Powiedzieliśmy sobie już wszystko, co trzeba, panno Rose.

Jestem wstrząśnięta tym, że odrzucił mnie w taki sposób. Resztką sił zbieram się na odwagę.

– Nie – oponuję. – Jest coś, co muszę ci powiedzieć.

Marc zatrzaskuje torbę i rusza do wyjścia.

– Proszę, Sophio, nie utrudniaj tego jeszcze bardziej.

– To niesprawiedliwe – mówię. – Przez całe zajęcia mnie ignorowałeś. Jestem tu, żeby się uczyć, tak jak wszyscy inni. Nie zrobiłam nic, co…

– Myślałem, że tak będzie najlepiej – przerywa mi Marc. – Myślałem, że będziesz zadowolona, że zachowuję się profesjonalnie. Jak należy… – Jego głos cichnie przy ostatnim słowie.

– Nie chcę, żebyś mnie ignorował – oznajmiam.

Marc się uśmiecha, ale to nie jest miły uśmiech.

– Chcesz. Tylko nie zdajesz sobie z tego sprawy. Wierz mi, Sophio, gdybyś miała choć cień zdrowego rozsądku, uciekłabyś stąd z krzykiem.

– Proszę – mówię. – Nawet jeśli między nami nie może do niczego dojść, czy nie możemy się zachowywać wobec siebie normalnie?

– Nie sądzę, żeby to było możliwe – odpowiada Marc.

– Dlaczego?

Spogląda na mnie w tej chwili i jak zwykle jego oczy niemal zwalają mnie z nóg.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Tak. Po tym, jak przez kilka tygodni opowiadałeś o panowaniu nad emocjami, naprawdę chcę wiedzieć.

Marc parska krótkim śmiechem.

– Dokładnie to teraz robię. Panuję nad emocjami.

– Ignorując mnie?

– Tak. Gdybym cię nie ignorował… – Patrzy w okno.

Jego słowa wiszą w powietrzu.

– Co? – pytam.

Patrzy mi prosto w oczy.

– Byłoby mi trudno się powstrzymać.

– Od czego?

– Od przekroczenia granicy.

Przez chwilę mam wrażenie, że on gra jakąś rolę. Pamiętam go z jednego filmu – był to futurystyczny, apokaliptyczny obraz, w którym rozmawiał w ten sposób z główną bohaterką. Ale to nie jest film. Jesteśmy na środku sali wykładowej, a to jest prawdziwy Marc Blackwell, który rozmawia ze mną.

Moje serce znowu przyspiesza, oblewam się rumieńcem od szyi po czoło. On się boi, że przekroczy granicę. Kolana znowu mi miękną i wiem, że chcę, by ją ze mną

przekroczył. Ale jakaś część mnie buntuje przeciw jego arogancji. Jest taki pewny, że gdyby chciał przekroczyć granicę, ja chętnie dałabym mu na to przyzwolenie.

– A kto powiedział, że bym się na to zgodziła? – pytam.

W oczach Marca błyska ból.

– Ja.

Ma rację, oczywiście. Chcę dotknąć jego warg. Chcę, by znowu trzymał mnie w ramionach. Żeby całował mnie w ten gwałtowny, bezwzględny sposób, od którego moje usta przeszywał pulsujący ból. Każda komórka mojego ciała pragnie się z nim połączyć. A on chyba o tym wie.

Na korytarzu słychać jakiś odgłos – skrzypienie butów – i Marc odwraca się w stronę małego archiwum za rzutnikiem. Otwiera drzwi; widzę półki pełne skryptów, papierów i pudeł.

– Wejdź tutaj. – Czuję na nadgarstku jego dużą dłoń. – Teraz. – Wciąga mnie do środka i zamyka drzwi. – Nie chcę, żeby ludzie zaczęli plotkować.

W archiwum jest ciepło i pachnie kurzem. Pod ścianą stoi małe białe biurko i krzesło. Marc ciągle trzyma mnie za nadgarstek. Mocno.

– Masz zamiar mnie tak torturować? – pyta. – Zostawać po wykładach, utrudniać coś, co i tak jest już bardzo trudne?

– Oczywiście, że nie – mówię.

– Nie wiesz, co to znaczy zadawać się ze mną.

– To prawda. – Ściska mnie w żołądku, z trudem trzymam się na nogach. – Ale… może chciałabym się dowiedzieć.

– Jeśli cokolwiek się między nami wydarzy, to zniszczy twoją reputację.

– I twoją – dodaję.

– O swoją nie dbam – rzuca Marc, marszcząc brwi. – Mam tyle pieniędzy, że do końca życia nie muszę pracować. Ludzie – gazety – gadają o mnie cały czas. Przyzwyczaiłem się. Nie obchodzi mnie to. Ale ty nie należysz do tego świata i nie chcę, żebyś przez niego cierpiała. – Kręci głową. – Nie mogę ci tego zrobić. To byłoby złe.

– Ale wydaje się takie dobre. – Słyszę swój własny głos. – Jestem pewna, że ty czujesz to samo. Coś nas do siebie przyciąga.

Marc przeczesuje włosy palcami, grube pasmo opada mu na czoło. Potem kładzie mi dłonie na ramionach.

– Tak, czuję to. – Jego oczy błyszczą od emocji. Gniew, frustracja, strach – błękitny wir porywa mnie ze sobą.

O mój Boże.

Marc chwyta mnie i sadza na biurku.

– Jesteś pewna, że tego chcesz?

– T… tak – jąkam się, uczepiona jego ramion.

Nasze oczy się spotykają i Marc całuje mnie w usta. Mocno.

Zatracam się w nim. Bez reszty. Jego wargi wędrują w dół mojej szyi. Marc szepcze:

– Nigdy dotąd nie straciłem nad sobą kontroli w taki sposób. Nigdy. – Wpycha mi kolano między nogi.

– Zaczekaj.

To wszystko dzieje się za szybko.

– Nie mogę czekać. Chcesz tego. Wiem, że tego chcesz. – Sprawnie zdejmuje ze mnie dżinsy. Czuję na nogach chłodne powietrze.

Powinnam powiedzieć, żeby przestał. Wiem o tym. To dzieje się naprawdę i do niczego dobrego nie doprowadzi. Ale nie potrafię. Zawładnęła mną żądza i teraz należę do niego. Cała.

Marc chwyta moje majtki – dzięki Bogu, Jen zmusiła mnie, żebym kupiła nową bieliznę. Mam na sobie błękitne stringi z cienkich, elastycznych pasków. Owija jeden z nich wokół palca i naciąga tak mocno, że materiał wpija mi się w ciało.

Potem obejmuje mnie za szyję i pociąga za włosy. Mocno. Otwieram usta.

– Mów do mnie „sir” – szepcze mi do ucha.

Rozdział 27

Co? – mruczę i czuję, jak odsuwa moje majtki na bok.

– Znam cię – mówi Marc, mocniej szarpiąc mnie za włosy. – Już w teatrze wiedziałem, że muszę cię kontrolować. Zdominować cię.

– Nie chcę, żebyś mnie zdominował – oponuje.

Marc się śmieje.

– Chcesz. – Wsuwa się między moje nogi.

– Chyba nie jestem gotowa na to, o co prosisz – szepczę. – Nie mam dużego doświadczenia i…

Marc się cofa. Puszcza moją bieliznę.

– Nie jesteś gotowa? – Rozluźnia palce, którymi trzyma mnie za włosy. – W takim razie musiałem się pomylić. Za bardzo się pospieszyłem. – Podnosi moje dżinsy z podłogi i podaje mi je.

Biorę spodnie i przełykam ślinę.

– Chyba powinnam już iść.

– Tak. – Widzę, jak jego pierś unosi się i opada, a usta przybierają kształt litery O, kiedy stara się zapanować nad oddechem.

Wciągam dżinsy.

– Jestem taka zagubiona – stwierdzam, otwierając drzwi archiwum. – Nie wiem, co się tu właśnie wydarzyło.

Ale może chciałabym, żeby wydarzyło się jeszcze raz… w zależności od tego, co masz na myśli mówiąc o „dominacji”.

Wchodzę do sali i widzę w drzwiach naprzeciwko Cecile.

Cholera.

– Słyszałam, że jest tu pan Blackwell – mówi. – Chciałam z nim porozmawiać.

Marc pojawia się za mną, jak wcielenie spokoju, poprawiając coś przy mankiecie. Jego

brązowe włosy są w idealnym porządku, ruchy jak zawsze przywodzą na myśl dzikiego kota.

– Panie Blackwell – zaczyna Cecile. – Chciałam porozmawiać o swoim przesłuchaniu. Ale widzę, że jest pan zajęty. – Rzuca mi jadowite spojrzenie i odchodzi.

– Marc… – odwracam się, otwierając szeroko oczy.

– Ona nic nie wie – uspokaja Marc. – Posłuchaj, za bardzo się pospieszyłem. Przepraszam. Nie bardzo… nie bardzo potrafię ci się oprzeć. Miałem nadzieję, że jesteś gotowa, ale to oczywiste, że nie jesteś. – Wypuszcza z płuc powietrze. – Mogę zwolnić, jeśli naprawdę tego chcesz. Naprawdę tego chcesz? Naprawdę chcesz wiedzieć, kim naprawdę jestem?

Kiwam głową.

– W takim razie skontaktuję się z tobą.

– Kiedy?

– Wkrótce.

Tego popołudnia na zajęciach ze śpiewu nie jestem w stanie się skupić. Tak wiele myśli kłębi mi się w głowie. A przede wszystkim przed oczami mam ciągle twarz Marca, dłonie Marca, usta Marca. Czuję, jak mnie całuje i zsuwa mi spodnie.

Wieczorem jem kolację z Tomem i Tanyą – apetyczny stek i frytki, których prawie nie ruszam – a potem wracam do siebie o idiotycznie wczesnej porze, choć Tanya proponuje, że zabierze mnie do pubu w kampusie.

Znajduję w Internecie stronę z filmami i oglądam na laptopie filmy z Markiem: jeden, w którym grał szukającego zemsty mistrza sztuk walki, i drugi, w którym traci pamięć i nie wie, komu może ufać. Oba są typowe dla Marca Blackwella – posępne, nastrojowe i inteligentne, pozbawione tradycyjnego hollywoodzkiego happy endu.

Patrzę na jego smukły, twardy tors i sprawne ciosy kung-fu, i podziwiam samodyscyplinę człowieka, który jest w stanie nauczyć się całej techniki walki dla jednego filmu. Oczy Marca są twarde i pełne siły, jego gra zapiera mi dech w piersiach. Ale ja i tak myślę o tym młodszym Marcu, którego widziałam w tamtym wojennym filmie. Wtedy jego oczy patrzyły łagodniej. Były w nich strach i delikatność. Bardziej mi się podobały.

Oglądam filmy z Markiem do pierwszej w nocy, potem robię sobie gorącą czekoladę i siadam na balkonie owinięta kołdrą. Na bosych stopach czuję zimny wiatr.

W ciemności kampus wygląda pięknie. Miękkie, ciepłe światło latarń rzuca cienie na czerwoną cegłę, a bluszcz porusza się jak jakaś żywa istota. Odwracam się i patrzę przez szybę na twarz mojej mamy – jej zdjęcie stoi na oknie. Uśmiecha się spod wielkiego kapelusza od słońca i wygląda zdecydowanie zbyt letnio w tej zimowej aurze. Wchodzę do środka, zdejmuję szalik i otulam nim zdjęcie, żeby nie zmarzła. Potem wracam na balkon.

Wszystko wydaje się całkowicie nieruchome i ciche.

Nagle rozlega się pukanie do drzwi. Jestem zaskoczona; zaciskam palce na kubku z czekoladą i spoglądam w głąb pokoju. Domyślam się, że to Tanya albo Tom, a może

oboje. Mam nadzieję, że nic się nie stało.

Odrzucam kołdrę, odstawiam kubek i wracam do pokoju.

Pukanie staje się trochę głośniejsze.

– Tanya?! – wołam, ale nikt nie odpowiada. – Tom?!

Kładę rękę na klamce, ale zaczynam się wahać. Jest późno, a ja jestem sama. Jeśli to nie Tanya ani Tom, może rozsądniej będzie nie otwierać. Ale akademia jest doskonale strzeżona. Wszystkie bramy są zamykane i pilnowane przez ochroniarzy, a do akademika nie wejdzie nikt, kto nie ma elektronicznego klucza.

Otwieram drzwi. Na to, co widzę, zupełnie nie jestem przygotowana.

Na progu stoi Marc Blackwell. Światło rzuca głębokie cienie na jego bladą, ściągniętą twarz. Włosy ma, jak nigdy, zmierzwione przez wiatr, brwi zmarszczone.

Jedną ręką opiera się o framugę.

– Zobaczyłem, że jeszcze się u ciebie świeci.

Patrzę na niego z otwartymi ustami.

– Mogę wejść?

– Tak, oczywiście. – Otwieram drzwi szerzej i odsuwam się trochę.

Kiedy wchodzi do pokoju, dociera do mnie, że wszędzie są porozrzucane ubrania i książki. Karton z czekoladą jest otwarty, obok leży biała od mleka łyżeczka. Jestem bardzo niezadowolona z tego powodu, ale tego dnia brakowało mi energii, żeby posprzątać – po tym, co wydarzyło się z Markiem. A teraz on pomyśli, że jestem kompletnym niechlujem.

Szybko zbieram ubrania i wpycham je do szafy.

Marc spogląda na zmiętą kołdrę na moim łóżku, a potem przez otwarte drzwi wychodzi na balkon. Patrzy na kampus.

Idę za nim.

– Co… co tu robisz?

– Zatrzymałaś moje kwiaty – mówi Marc.

– Tak. Były piękne. Tak jak liścik.

Marc z roztargnieniem kiwa głową.

– Wierz mi, Sophio, nie miałem pojęcia, kiedy wysyłałem ci te kwiaty… Nienawidzę siebie za to, że tak czuję, ale… muszę cię mieć. Inaczej popadnę w obłęd.

Znowu czuję to przyciąganie. Jest takie silne. Jego obecność pobudza wszystkie moje zmysły. Widzę go w tylu barwach i pod tyloma kątami i czuję się tak, jakbym przed spotkaniem go była ślepa. Jego głos rezonuje w całym moim ciele, aż do palców stóp.

– Muszę wiedzieć, jakie masz doświadczenie – stwierdza Marc. – Miałaś już wcześniej chłopaków?

Czuję, że się czerwienię.

– Tak.

– Opowiedz mi o nich.

– Nic wielkiego. Po prostu kilku chłopców w szkole średniej i na uniwersytecie. Nic poważnego. No, wiesz, jak to u nastolatków. Za dużo pracowałam, żeby mieć jakieś życie towarzyskie.

– Uprawiałaś z nimi seks? – pyta Marc.

– Tak – odpowiadam i czerwienię się jeszcze bardziej. – Z jednym z nich.

– Jaki rodzaj seksu?

Rozdział 28

Znowu oblewam się rumieńcem. Jaki rodzaj?

– Chyba normalny – mówię. – A ile jest rodzajów?

Marc uśmiecha się kącikiem ust.

– Całe mnóstwo. Myślę, że mogę cię wiele nauczyć. Prawdę mówiąc, jestem tego pewny. Rzeczy, które ci się spodobają. Ale muszę wiedzieć, z czym właściwie mam do czynienia. Na co możesz być gotowa.

– A jeśli się nie zgodzę? – pytam, trochę zbyt drżącym głosem.

– Żeby to miało sens, musisz zaakceptować, że to ja tu rządzę – oznajmia Marc. – Potrzebujesz kogoś, kto wie, co jest dla ciebie najlepsze, seksualnie i pod innymi względami.

Przypominam sobie dzisiejsze popołudnie. Były to prawdopodobnie najbardziej rozpalające chwile w moim życiu. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie doświadczyłam. Chcę znowu to poczuć.

– Musisz podjąć decyzję – mówi Marc. – Albo pozwolisz mi przejąć kontrolę tak, jak tego chcę, albo opuszczę college. Być obok ciebie i nie móc cię mieć… to się nie może udać.

– Już o tym rozmawialiśmy – przypominam. – Nie możesz wyjechać. To nie byłoby w porządku.

– Taka jest sytuacja, Sophio. Nie mogę tu zostać, jeśli nie będę mógł cię dotykać, uczyć cię i dyscyplinować tak, jak tego pragnę.

– Dyscyplinować?

– Właśnie tak. Jeśli przejmę nad tobą kontrolę, będę musiał cię dyscyplinować. Kiedy przekroczysz granicę, zostaniesz ukarana.

Przełykam ślinę z trudem.

– Nie jestem pewna, czy mi się to podoba.

– Jeśli chcesz kwiatów i westchnień, odejdź od razu – oznajmia Marc. – Jesteś piękną, niewinną dziewczyną, dla której chętnie zabiłby się niejeden mężczyzna. Na twoim miejscu uciekałbym w popłochu przed kimś takim jak ja.

– Co masz na myśli, mówiąc o karze?

– Muszę mieć władzę – tłumaczy Marc. – Taki jestem. Co oznacza, że jeśli przekroczysz granicę, będę musiał cię zdyscyplinować. Może dostaniesz lanie. Może cię związę i będę pieprzył tak długo, aż nie będziesz w stanie tego znieść. To naprawdę zależy od tego, co zrobisz.

O Boże. Ściskam razem kolana. Jak to możliwe, że jego słowa aż tak mnie podniecają?

To takie dziwne. Takie zimne. Ale, mój Boże, tak mnie rozpala.

– Chodź do środka. Na zewnątrz jest zimno – mówi Marc i wchodzi do pokoju. Poklepuje materac obok siebie, więc ja też wchodzę, zamykam za sobą drzwi i siadam przy nim.

Jego bliskość na mnie działa; obejmuję głowę rękami. To za trudne. Nadal nie bardzo rozumiem, czego on ode mnie chce, ale zdaje się, że jakichś perwersji, na które na pewno nie jestem gotowa.

Serce wali mi jak młotem i każe uciekać. Szybko.

Podnoszę głowę.

– Może… gdybyś wprowadzał mnie w to powoli… może mogłabym… spróbować.

– Ile razy uprawiałaś wcześniej seks? – pyta.

Czy on naprawdę musi zadawać mi takie pytania?

– Nie liczyłam – rzucam. – Ale niewiele. Może pięć albo sześć razy. Z moim chłopakiem na uniwersytecie.

– Sophio, nigdy cię nie skrzywdzę ani nie pozwolę, żeby coś ci się stało. Będziesz ze mną znacznie bezpieczniejsza niż z kimkolwiek innym, mogę ci to zagwarantować. Ale będę cię sprawdzał. Będę badał twoje granice, pomogę ci poznać nowe obszary ciebie samej. Czy jesteś na to gotowa?

Tak bardzo chcę go pocałować. Czuję, że pochylam się do niego, ale on ujmuje moją twarz w dłonie i mocno mnie trzyma.

– Musisz podjąć decyzję, Sophio. Czy możesz zaakceptować to, co mam ci do zaoferowania?

– Potrzebuję czasu do namysłu – mruczę i kładę się na łóżku, żałując, że nie mam na sobie czegoś bardziej seksownego niż piżama.

Marc patrzy na mnie i znowu w policzku drga mu jakiś mięsień.

– Pozwól, żebym ci pokazał, jak dobrze możesz się czuć. Jeśli sprawię ci ból, powiesz mi o tym, a ja przestanę. Ufasz mi?

– Ufam – mówię i uświadamiam sobie, że to prawda.

Marc wstaje i zaczyna się przechadzać po pokoju, tam i z powrotem, nie spuszczając ze mnie wzroku.

– Zdejmij piżamę.

– Potrzebuję więcej czasu…

– Nie, nie potrzebujesz. Nie na to, co mam na myśli. Zdejmij piżamę.

Ściągam przez głowę różowy podkoszulek i powoli zsuwam spodnie od piżamy. Kładę się z powrotem na łóżku w samej tylko bieliźnie – białych majtkach i staniku.

– Musiały być białe, prawda? – pyta.

Podchodzi do drzwi balkonowych i zasuwa zasłony, a potem zdejmuje spodnie i podkoszulek. Ma na sobie bokserki; widzę nabrzmiały zarys jego penisa. Jest potężny.

– Jesteś gotowa na swoją pierwszą lekcję, Sophio? – pyta, podchodząc do łóżka. Chwyta mnie za kostki i przewraca na brzuch. Potem rozchyla mi nogi i czuję jego dłoń poruszającą się między nimi tam i z powrotem.

– Och – mruczę w poduszkę.

– Przestanę, jeśli i kiedy zechcę – szepcze Marc. – Będziesz robiła to, co każę ci robić,

i czuła to, co każę ci czuć. Ja tu rządzę.

Przeszywa mnie dreszcz. Dlaczego to jest takie podniecające? Nie mogę się oprzeć; pozwalam się nieść tej fali.

Jego dłoń nadal się porusza, a ja czuję narastające napięcie. Nagle Marc przerywa.

– Proszę, nie przestawaj – mruczę.

Uderza mnie między nogi. Podskakuję.

Au.

– To tylko ostrzeżenie – zapowiada. – Jeszcze raz powiedz mi, co mam robić, a naprawdę dam ci nauczkę.

O Boże.

Znowu przykłada dłoń do mojego krocza.

O Boże, o Boże.

– Nie chcę, żebyś już miała orgazm. To rozkaz.

Jestem coraz bardziej podniecona, nie mogę się powstrzymać.

– Och, Marc – mówię głośno. – Och, to jest cudowne.

Jego dłoń jest bezlitosna, a kiedy próbuję się od niej odsunąć, on mi na to nie pozwala.

– Musisz przestać – błagam; tarcie wywołuje u mnie uczucie przyjemności nie do zniesienia. W odpowiedzi tylko pociera coraz mocniej, aż całe moje ciało sztywnieje.

Przed oczami eksplodują mi kolorowe plamy, zalewa mnie fala rozkoszy, od pępka aż do nóg.

Czuję, jak zapadam się głębiej w materac. Słyszę kroki Marca, a potem czuję, jak przykrywa mnie kołdrą.

– Zabroniłem ci szczytować – szepcze mi do ucha. – W poniedziałek rano zostaniesz ukarana.

O Boże, Boże. Nie jestem gotowa na takie rzeczy. Naprawdę nie jestem. W co ja się wpakowałam. A jednak nie mogę przerwać. Wiem, że nie mogę. Cokolwiek się właśnie zaczęło, muszę przeżyć to do końca.

– Zaufaj mi, Sophio – prosi Marc, głaszcząc mnie po głowie.

Słyszę, jak się ubiera, i mruczę:

– Nie zostaniesz?

– Nie mogę tu zostać – odpowiada, otulając mnie mocniej kołdrą. – Nikt nie może zobaczyć rano, jak stąd wychodzę. Powiedziałem ci, że będę cię chronił, co oznacza ochronę twojego ciała, ale i twojej reputacji. Nie pozwolę, żeby ludzie o tobie plotkowali.

– Szkoda, że nie możesz zostać.

– Ja też żałuję. Do poniedziałku.

– Ale… – Uświadamiam sobie, że kiedy poszłam do łóżka, był piątek, a teraz jest właściwie sobota rano. – To dopiero za dwa dni.

– Poniedziałek – powtarza Marc i wychodzi.

Rozdział 29

Budzę się następnego ranka po cudownie przespanej nocy, ale z drżeniem serca, bo pościel obok mnie jest zimna. Czy naprawdę to się wydarzyło? Czy Marc Blackwell naprawdę przyszedł wczoraj wieczorem do mojego pokoju?

Czuję na kołdrze jego zapach, więc wiem, że tak było. Naprawdę zapukał do moich drzwi w środku nocy i naprawdę powiedział, że w poniedziałek mnie ukarze.

Żołądek podchodzi mi do gardła, kiedy o tym myślę. Marc twierdzi, że będzie mnie chronił, ale kara nie ma nic wspólnego z ochroną. Muszę jednak przyznać, że kiedy mówił o klapsach i wiązaniu, czułam się… podniecona. No dobrze, więcej niż podniecona. Ale wyobraźnia i prawdziwe życie to dwie różne rzeczy.

Patrzę na zegarek. Jest południe i sobota. Południe! Chyba nigdy jeszcze tak długo nie spałam. Przywykłam do pracy przez większość dni w tygodniu, a w te wolne od pracy zwykle zajmowałam się Samuelem albo sprzątałam.

Siadam gwałtownie na łóżku. Powinnam już siedzieć w pociągu i jechać do taty i Samuela. Obiecałam ich odwiedzać. Biorę telefon i wystukuję numer taty.

Odbiera natychmiast.

– Cześć, kochanie. Co słychać?

– Wybieram się do was – zaczynam. – Ale jestem trochę do tyłu z czasem…

– Nie wygłupiaj się – przerywa mi tato. – To twój pierwszy miesiąc na studiach. Musisz się tam zaaklimatyzować. Przyzwyczaić do nowego pokoju. Spędzić trochę czasu z innymi studentami. Do głowy mi nie przyszło, że będziesz chciała przyjechać.

– No dobrze – mówię. – Dzięki, tato.

Co wszyscy inni robią w sobotę? Nie mam pojęcia, ale muszę się jakoś oderwać od myśli o Marku.

Wysyłam SMS do Jen:

Właśnie wstałam z łóżka – jest sobota, a ja nie mam nic do roboty! :)

Jen odpowiada natychmiast:

Dopiero wstałaś? Witaj w moim świecie! Bardzo tęsknię za tobą!

Uśmiecham się i idę do stołówki, ale na placu coś się dzieje. Studenci chodzą w kolorowych perukach, umalowani jak klowny, i skuwają się razem kajdankami.

Dostrzegam wśród nich Tanyę, która podbiega do mnie.

– Sophia! Właśnie mieliśmy po ciebie iść.

Za nią widzę Toma w niebieskiej peruce.

– Korzystnie, prawda? – pyta.

– Bardzo. – Śmieję się i ziewam jednocześnie. – Przepraszam. Dopiero wstałam.

– Mamy też perukę dla ciebie – oznajmia Tanya. Podbiega do kartonowego pudła i wraca z pękiem jaskrawoczerwonych włosów w ręku.

– O co tu chodzi? – pytam.

– Otrzęsiny – rzuca Tom. – W ramach imprezy zbieramy pieniądze na jakiś zbożny cel. Co oznacza, że ubrani jak półgłówki, będziemy się włóczyć po ulicach i żebrać. Skuci kajdankami po dwie osoby.

Uśmiecham się.

– Brzmi fantastycznie.

I na pewno pomoże mi to oderwać myśli od Marca.

Tanya macha do mnie peruką.

– Twoja nowa fryzura.

Głupia, próżna część mnie cieszy się, że Marc nie mieszka w kampusie. Byłabym skrępowana, gdyby zobaczył mnie w tej peruce, ale go tu nie ma, więc…

– Dzięki – mówię, pociągając za perukę. – Chyba przyda mi się też jakiś makijaż.

– I piwo – dorzuca Tom, sięga do lodówki i rzuca mi puszkę.

– W południe?

– Jesteś teraz studentką – przypomina Tom. – Przygotuj się na chorobę alkoholową. To na razie tylko śniadanie. – Otwiera moją puszkę. – Pij, pij, pij!

– Dobrze już, dobrze. – Upijam łyk.

Ryan podchodzi do nas z butelką podejrzanie wyglądającego czerwonego płynu i plastykową szklanką.

– Przyda jej się też coś mocniejszego – mówi.

– Dopiero wstała z łóżka – odzywa się Tom. – Daj jej szansę, na razie pewnie ciągle jeszcze czuje pastę do zębów.

– Sam dopiero co dałeś mi piwo – mówię ze śmiechem.

– Sophia, kochanie. To fosters. Prawie bezalkoholowy.

– Napij się – zachęca Ryan, nalewając czerwony płyn do szklanki. Wlewa go tak dużo, że trochę chlapie na beton.

– Dziwię się, że nie dymi, tak to wygląda – mówi Tanya. – Ryan, jest za wcześnie.

– Nie, przyda jej się to – upiera się Ryan i podaje mi szklankę.

Wzdycham.

– No, dobrze. – Biorę szklankę i wychylam jej zawartość szybko, żeby nie zdążyła podejść mi do gardła. Jakaś część mnie ma ochotę trochę się dzisiaj upić. Zrobiłabym wszystko, żeby zapomnieć o Marcu i ubiegłej nocy. Moje ciało boleśnie za nim tęskni, ale wiem, że nie zobaczę go aż do poniedziałku. A wtedy kto wie, jakie pokaże mi oblicze…

Kręci mi się w głowie, czerwony płyn zaczyna działać. Ryan się uśmiecha.

– Grzeczna dziewczynka. Wypiła lekarstwo.

Cecile podchodzi do niego.

– Ryan, co robisz?

– Właśnie wlałem w naszą małą wschodzącą gwiazdkę coś mocniejszego. Eliksir prawdy. Może powie nam, co się właściwie dzieje między nią a panem Blackwellem.

– Co? – mówię, czując, jak przeszywa mnie zimny dreszcz.

– Cecile widziała, jak wychodziliście z archiwum.

– O czym ty mówisz? – pyta Tanya. – Macie zamiar rozpuszczać jakieś okropne plotki? Kiedy wreszcie dorośniecie?

– Widziałam ją – mówi Cecile z uśmiechem, wyraźnie z siebie zadowolona. – Wyszła z archiwum, a pan Blackwell szedł tuż za nią.

Stoję i gapię się jak głupia, bo zupełnie nie wiem, co powiedzieć.

– I co z tego? – mówi Tanya. – Co właściwie sugerujesz?

– A jak myślisz? – odpala Cecile. – Sophia z małego miasteczka kombinuje coś z nauczycielem.

– A ty chętnie robiłabyś to samo, gdybyś miała choć cień szansy – rzuca Tanya. – Powiedziałaś to wyraźnie już pierwszego wieczoru. Jesteś po prostu zazdrosna, bo Marc dostrzegł w Sophii coś, czego nie widzi w tobie. A może w żadnym z nas. Ona coś w sobie ma… nawet idiota musi to zauważyć.

– Wszyscy mamy w sobie coś – mówi Cecile. – Dlatego tu jesteśmy. Dlaczego pan Blackwell miałby ją faworyzować? Chyba że ona robi coś, czego nie powinna….

– Przestań rozsiewać plotki – przerywa jej Tanya. – Jest mnóstwo powodów, żeby wejść do archiwum. Ponosi cię wyobraźnia.

– Tak, jesteś śmieszna, Cecile – mówi Tom. – I zazdrosna.

– O nią? – Cecile niemal wypluwa te słowa. – O Pannę Niewiniątko? Nie sądzę. Chodź, Ryan – dodaje i ciągnie Ryana za sobą.

Rozdział 30

Wysoka jasnowłosa studentka krzyczy:

– W porządku, wszyscy! Skuwamy się! – Krąży w tłumie z pudełkiem pełnym plastykowych kajdanków i rozdaje je ze śmiechem. Przyciąga studentów parami do siebie i skuwa ich razem. Wszystkie kajdanki mają po dwie nalepki – po jednej stronie z napisem „niewolnik", a po drugiej „gladiator".

– O co tu chodzi? – pytam Tanyę.

– Tematem są niewolnicy i gladiatorzy – wyjaśnia Tanya. – Co oznacza, że jeśli zostaniesz z kimś skuta, to albo ty masz władzę nad tą osobą, albo ona nad tobą.

Ściska mnie w żołądku i między nogami, kiedy myślę o tym, jak Marc objął władzę nade mną ubiegłej nocy.

– Więc jak to działa? – pytam.

– Kimkolwiek jest gladiator, to on decyduje o wszystkim – gdzie zbierać pieniądze, gdzie się zatrzymać na przerwę, kiedy niewolnik może iść do toalety. Ale jeśli uda ci się zebrać choć najmniejszą kwotę, gladiator zostaje rzucony na pożarcie lwom – musi wypić duszkiem galon piwa. Och, chyba już po mnie.

Tanya odwraca się do uśmiechniętej blondynki, która odciąga ją na bok i skuwa z Cecile. Żadna z nich nie wygląda na zadowoloną, dopóki Tanya nie dostaje nalepki z napisem „gladiator". Wtedy uśmiecha się od ucha do ucha.

Staję blisko Toma w nadziei, że zostanę przykuta do niego, ale blondynce świetnie udaje się nas wymieszać. Ku mojemu przerażeniu przyciąga przez tłum Ryana i łapie mnie za nadgarstek.

– Widziałam, jak cię wcześniej zagadywał – mówi do mnie i mruży jedno oko. – Zawsze lubiłam się bawić w swatkę. – Podaje wiaderko na datki Ryanowi i poprawia mu

perukę.

Przez tłum widzę, jak Tanya się śmieje i kręci głową. Cecile jest wściekła.

Spodziewam się, że Ryan będzie narzekał. Powie, że nie chce być ze mną w parze. Ale on nic nie mówi.

Blondynka skuwa nas razem.

– Proszę. Ładna z was para. No, to kto powinien być gladiatorem, a kto niewolnikiem? – Przenosi wzrok z mojej twarzy na twarz Ryana i z powrotem. – Och, chwilę… to ty jesteś tą studentką, która ma słabość do pana Blackwella, tak?

– Skąd ci to przyszło do głowy? – pytam, blednąc.

– Cecile opowiada wszystkim, że nie odstępujesz go na krok. Ale rozumiem cię. W końcu, kto tu nie ma słabości do pana Blackwella?

Wbijam wzrok w ziemię. Chyba lepiej, żeby ludzie uważali mnie za rozkochaną w nauczycielu wariatkę, niż dowiedzieli się prawdy.

Tom zostaje skuty z niską, czarnowłosą dziewczyną, która uśmiecha się i wygląda sympatycznie, i zaraz zaczynają ze sobą rozmawiać, a Tom głośno się przy tym śmieje.

Odwracam się do Ryana, zastanawiając się w duchu, o czym, na litość boską, będziemy rozmawiali.

– A to niespodzianka – mówi Ryan z nieprzyjemnym uśmiechem na twarzy. – Pewnie wolałabyś pana Blackwella.

Upijam łyk piwa. Nie wiem, co powiedzieć.

– Więc to prawda? – pyta Ryan.

Ma szeroką, płaską twarz. Po raz pierwszy dostrzegam niewielkie odstępy między jego równymi zębami.

– Co? – pytam.

– Że masz obsesję na punkcie pana Blackwella? Że podkochujesz się w nauczycielu.

– Nie mam żadnej obsesji – mówię, ale sama się okłamuję. Odkąd tu przyjechałam, potrafię myśleć tylko o Marcu, a myśl o ubiegłej nocy wywołuje u mnie dreszcze.

Skute ze sobą pary zaczynają wychodzić z kampusu.

– Chodź. – Ryan szarpie mnie za nadgarstek. – Bo zostaniemy z tyłu, a ja mam zamiar zwyciężyć. Nie przegram. Para, która uzbiera najwięcej pieniędzy, dostaje darmowe drinki w barze.

– Ja chyba wolę już nie pić – mówię, bo ciągle kręci mi się w głowie.

– Bierz wiadro, niewolnico – nakazuje Ryan. – Potrzymam ci piwo.

– Doskonale – mówię i podaję mu puszkę. Wiaderko jest na razie lekkie, ale wiem, że niedługo będzie ważyło więcej.

Ryan ciągnie mnie za nadgarstki.

– Myślę, że powinniśmy wejść do metra. Poprosić ludzi o pieniądze.

– Skuci tak jak teraz?

– Nie pyskuj, niewolnico. To nasza największa szansa na wygraną.

– Chyba trochę zbyt poważnie to traktujesz – zauważam. – Czy w metrze nie będzie trochę niebezpiecznie?

Mam ochotę dodać: „Skoro jesteśmy skuci, a ty jesteś pijany”.

– Wszystko będzie dobrze. – Ryan dopija moje piwo i krzyczy do blondynki: – Rachel,

jeszcze piwa! Usycham z pragnienia. – Rzuca pustą puszkę na ziemię.

– Byłoby miło, gdybyś dodał „proszę: – mówi Rachel, rzucając mu piwo z lodówki.

– Jedno nie wystarczy mi nawet na pięć minut – mówi Ryan.

– Oto przyszły alkoholik. To mi się podoba! – rzuca Rachel i podaje mu drugą puszkę. Ryan wkłada ją do kieszeni.

– No dobrze, idziemy – zarządza Rachel.

Ryan wypija pół puszki jednym haustem. Widzę teraz, że lekko chwieje się na nogach.

– Może trochę zwolnisz? – pytam szeptem.

– Nie, nie zwolnię – odpowiada, pociągając kolejny łyk piwa i szarpiąc moim nadgarstkiem.

Wychodzę z nim za innymi parami przez kampus na ulice Londynu. Mijamy szpital przy Great Ormond Street i wchodzimy na High Holborn, którą w obie strony suną tłumy ludzi.

Ryan z trudem trzyma się na nogach i kilka razy omal mnie nie przewraca. Próbuję utrzymać równowagę, kiedy pędzi przed siebie, nie zwracając najmniejszej uwagi na fakt, że wlecze kogoś za sobą.

– Zaczekaj, proszę, idziesz za szybko – mówię. Wiadro kołysze się na wszystkie strony.

– Jeśli będziemy się wlec, nie wygramy – rzuca Ryan. – Gdzie twój instynkt zabójcy?

– Nie mam go – mówię. – To zbiórka na cele charytatywne, a nie maraton.

– Cóż, ja chcę zwyciężyć – mówi Ryan. – I mam nad tobą władzę. Więc masz robić, co ci każę, i iść w moim tempie.

Potykam się za nim. Ryan dostrzega wejście na stację metra i ciągnie mnie w stronę schodów z napisem „Wstęp wzbroniony”.

– Z drogi! – wrzeszczy Ryan, kiedy z ciemnego wnętrza stacji wyłaniają się ludzie. – To studenckie otrzęsiny. Zbiórka na cele dobroczynne.

Wciąga mnie między nich, ale potykam się na jednym stopniu i spadam z reszty, lądując na dole na tyłku. Wiaderko toczy się z brzękiem.

– Au – jęczę.

– Upuściłaś wiadro – mruczy Ryan, wlokąc mnie po ziemi.

– Czekaj! – krzyczę. – Pozwól mi wstać!

Rozdział 31

Kilku pasażerów próbuje mnie bronić; słyszę, jak jakaś starsza kobieta strofuje głośno Ryana za to, że pobiegł za wiadrem.

– Pozwól tej dziewczynie wstać, młody człowieku. Nie widzisz, że robisz jej krzywdę? I co to za zwyczaje, pić o tak wczesnej porze. Powinieneś się wstydzić.

Ryan ze złością patrzy na kobietę zaczerwienionymi oczami.

– Pilnuj własnego nosa.

– Wszystko w porządku, kochanie? – pyta mnie kobieta, kiedy z trudem podnoszę się na nogi. Bolą mnie kostki, ale poza tym nic mi nie jest.

– Tylko trochę się potłukłam – mówię. – Ale wszystko w porządku, naprawdę. Dziękuję pani.

Ryan otwiera bramki elektroniczną kartą i wlecze mnie za sobą. Bramka uderza mnie w ramię. „Au” do potęgi. Nie wiedziałam, że tak mocno się zatrzaskują.

– Nie upuść wiadra! – wrzeszczy Ryan.

Bramki znowu się otwierają i zostaję pociągnięta w stronę ruchomych schodów. Ryan ledwo trzyma się na nogach. Trzymam się ruchomej poręczy, a kiedy wchodzimy na peron, pociąg właśnie odjeżdża.

– Zdążymy! – krzyczy Ryan i wlecze mnie za sobą.

– Nie, Ryan. Proszę, zaczekaj.

– Rób, co ci każę. – Ryan wskakuje do zatłoczonego pociągu metra i próbuje wciągnąć mnie do środka, ale drzwi zaczynają się zamykać. Pasażerowie cmokają z niesmakiem, kiedy Ryan na siłę je rozwiera.

– Właź do tego cholernego pociągu – syczy Ryan. – Wleczesz się jak ślimak. Nie zamierzam przegrać.

– Ryan, proszę. Nie ma miejsca. – Jestem przerażona, że drzwi zamkną się między nami, Ryan odjedzie, a mnie pociąg powlecze za nim, po drodze odrywając mi rękę.

– Zrobię tu miejsce. – Ryan rozpycha się między ludźmi i wciąga mnie do wagonu w chwili, kiedy drzwi się zamykają.

Skrzydła uderzają mnie jednocześnie z obu stron, ale tym razem mocno ściskam wiadro. Potem drzwi znowu się otwierają, a ja wciskam się między pasażerów, przepraszając wszystkich dookoła.

– Akcja charytatywna! – woła Ryan. – Prosimy o datki.

Trudno się dziwić, że po tym, co ci ludzie właśnie widzieli, nikt nie ma ochoty rozstać się z pieniędzmi, zwłaszcza że Ryan jest w tak widoczny sposób pijany.

Przez kolejną godzinę chodzimy tam i z powrotem po pociągu, ale Ryanowi chyba przestało zależeć na wygranej, bo za każdym razem, kiedy proszę kogoś o pieniądze, wrzeszczy:

– Cicho, niewolnico!

Kiedy kończy mu się piwo, wychodzimy na ulicę, żeby poszukać supermarketu.

Cieszy się, kiedy znajdujemy Tesco Metro, i wciąga mnie w alejkę z zimnymi napojami. Potem bierze kilka puszek Stelli i przytrzymuje je w zagięciu łokcia.

– Muszę iść do toalety – mówię. – Może poszukamy jakiejś?

– Czego się napijesz, niewolnico?

– Tylko coli – odpowiadam.

– Rozkazuję ci napić się czegoś z alkoholem – mówi Ryan.

– Cóż, nie mam zamiaru.

– Doskonale. Jeśli nie będziesz piła ze mną, nie będzie przerwy na toaletę.

– Och, na litość boską – rzucam. – Nie bądź śmieszny. – Szarpię plastykowymi kajdankami, ale trzymają zaskakująco mocno. Potrzebowałabym obcęgów, żeby je otworzyć.

– Jesteś na mnie skazana – oświadcza z zadowoleniem Ryan. Zatrzymuje się na moment i mruga z pijacką powolnością. Potem zmienia zdanie. – No dobra, weź sobie colę.

– Czy potem możemy poszukać toalety?

– Tak.

Ryan zabiera napoje do kasy, a potem ciągnie mnie do pobliskiego pubu i schodami na górę, do damskiej toalety.

– To krępujące – mruczę, wchodząc do kabiny i zamykając drzwi na plastykowym łańcuszku.

– Nie będę podglądał, obiecuję – mówi Ryan.

Słyszę, jak otwiera dwie puszki, i przewracam oczami.

– Ryan, nigdy nie wygramy, jeśli będziesz się przewracał. – To koszmar, jakbym została przykuta do sześciolatka.

Za drzwiami rozlega się musujący odgłos; jestem ciekawa, czy Ryan nie wylał przypadkiem piwa.

– Radzisz sobie tam, jedną ręką? – pyta. – Nie chcesz, żebym pomógł ci się wytrzeć?

– Och, cicho bądź – mówię, wciągam dżinsy i spuszczam wodę.

Myję ręce, kiedy Ryan podaje mi colę.

– Dzięki – mówię, bo widzę, że ją dla mnie otworzył. – To pierwsza uprzejma rzecz, jaką dzisiaj zrobiłeś.

Rozdział 32

Pół godziny później nie czuję się zbyt dobrze. Ryan włóczy mnie po Oxford Street, podtykając ludziom po drodze nasze wiaderko. Widzieliśmy kilku studentów z naszej akademii z drobniakami brzęczącymi w wiaderkach, ale my nie zebraliśmy dotąd prawie nic.

Serce zaczyna mi bić szybko i mocno, muszę się oprzeć o ścianę.

– Czekaj – rzucam. – Proszę, Ryan, mówię poważnie. Muszę odpocząć. – Świat wokół mnie zaczyna wirować i boli mnie głowa.

Ryan dziwnie mi się przygląda.

– Co się dzieje? – pyta. – Nie czujesz się dobrze? A powinnaś.

Osuwam się na ziemię przy ceglanej ścianie, nie dbając o to, gdzie jestem ani kto na mnie patrzy. Gwałtowne bicie serca zagłusza wszystko i ogarnia mnie strach.

– Krwawisz – mówi Ryan.

– Krwawię? – powtarzam, oszołomiona. – Gdzie?

– Z nosa.

Podnoszę rękę do twarzy i widzę rozmazaną czerwoną plamę na wierzchu dłoni. Zaraz potem tracę przytomność.

Kiedy dochodzę do siebie, mam przed oczami biały sufit. Patrzę w dół i widzę, że leżę w zielonej pościeli. Wszystko mnie boli, a najbardziej głowa. Próbuję usiąść; podchodzi do mnie jakaś wysoka kobieta w pielęgniarskim fartuchu.

– Wszystko w porządku. Jesteś w szpitalu. Ale nie ma się czym martwić.

– Co się stało? – pytam.

– Może ty nam powiesz – odpowiada pielęgniarka ze znaczącym uśmiechem. – Wzięłaś coś, czego nie powinnaś. Nic bardzo niebezpiecznego, zdaje się, ale wolimy zostawić cię na obserwacji.

– Wzięłam coś?

Pielęgniarka unosi jedną brew.

– Lepiej, żebyś była z nami szczera, kochanie. Wtedy będziemy mogli ci szybciej pomóc.

– Ale ja niczego nie wzięłam – mówię. – Wypiłam kieliszek wódki i pół piwa, to wszystko.

– Oglądamy to zawsze, kiedy studenci mają swój tydzień – mówi pielęgniarka. – Zatrucie alkoholem, na ogół, ale od czasu do czasu jakiś idiota, taki jak ty, bierze coś mocniejszego. Miałaś szczęście.

– Ale ja naprawdę nic nie wzięłam. – Jestem, bliska łez.

– Może przypomnisz sobie później – mówi pielęgniarka mrużąc oko. Odwraca się. – Och! Mój Boże.

Zamykam podkrążone oczy, zastanawiając się, co ją tak zaskoczyło. Kiedy znowu je otwieram, widzę wysoką, ciemną postać Marca Blackwella, który zbliża się do mojego łóżka. Spogląda znacząco na pielęgniarkę, która odchodzi spiesznie, a on zaciąga wokół nas szpitalne zasłony.

O mój Boże!

– Co ty tu robisz?! – wołam.

– Co ci się stało? – pyta mnie cicho i bierze za nadgarstek, cały posiniaczony od kajdanek. Jego oczy ciemnieją, kiedy ogląda niebiesko-żółtą skórę. – Kto ci to zrobił?

– Nikt – mówię. – Zbieraliśmy datki na cele dobroczynne. Byłam skuta z innym studentem. – Jestem zbyt słaba, żeby przejąć się tym, jak muszę wyglądać.

Marc unosi jedną brew.

– Z chłopakiem czy dziewczyną?

– Z chłopakiem.

– Kto to jest?

– Ryan.

– Zabieram cię stąd. Do prywatnej kliniki. Mówią, że coś wzięłaś.

– Nie wzięłam – mówię. – Naprawdę. Może zjadłam coś nieświeżego. Powiedzieli, że wszystko będzie w porządku. Muszę tylko odpocząć.

– Cóż, lepiej dmuchać na zimne. Na zewnątrz czeka już karetka, zabierze cię do szpitala w West London. Wszystko już załatwiłem.

– Pielęgniarka nie wierzy, że nic nie wzięłam – żalę się i znowu czuję, że zbiera mi się na płacz. – Ale ja naprawdę nic nie wzięłam.

Marc milczy.

Rozdział 33

Mój pokój w prywatnej klinice jest pełen róż – różowych, żółtych i czerwonych kwiatów, które zajmują każdą wolną powierzchnię. Marc jechał ze mną w karetce, ale nie powiedział ani słowa. Patrzył przed siebie ze zmarszczonym czołem i zaciśniętymi ustami. Pracownik szpitala wepchnął mnie na wózku do tego pokoju, a Marc pomaga mi wejść na łóżko.

– Czuję się już dużo lepiej – chrypię, choć ciągle bolą mnie oczy.

– Odpoczywaj – zaleca Marc, podchodząc do drzwi. – Wynająłem ludzi, którzy będą cię chronili przez całą dobę. Wrócę tu, ale najpierw mam coś do załatwienia.

Przy drzwiach czeka ładna ciemnowłosa pielęgniarka w białym fartuchu.

– Proszę dostarczyć jej wszystko, czego zechce – mówi do niej Marc. – I ostrożnie pobierać krew. Ma bardzo nadwyrężony nadgarstek.

Wychodzi, a pielęgniarka zbliża się do łóżka.

– Jestem Trinity – mówi. – Marc wynajął mnie jako twoją osobistą pielęgniarkę. Muszę pobrać ci krew, a potem postaram się, żebyś czuła się tu jak najlepiej. Przyniosę jedzenie, na jakie tylko będziesz miała ochotę, i jakieś filmy.

Dostrzegam teraz płaski ekran naprzeciw łóżka i zielone krzewy i drzewa za oknem.

Trinity bardzo delikatnie pobiera mi krew, tak że prawie nie czuję ukłucia.

– Dobrze, a teraz – zaczyna, kiedy wyrzuciła już igłę i spakowała próbkę – co mogę przynieść ci do jedzenia? Marc dał mi bardzo dokładne polecenia. Mam ci dostarczyć wszystko, co zechcesz, z każdej restauracji w Londynie. Jeśli chcesz, Gordon Ramsay ugotuje coś specjalnie dla ciebie. To przyjaciel Marca.

Uśmiecham się na myśl o tym. Co pomyślałaby Jen, gdyby mnie teraz zobaczyła? Postanawiam nie dzwonić do niej ani do nikogo z rodziny ze szpitala. Tylko by się zmartwili.

Czuję, jak na myśl o jedzeniu zaczyna mi burczeć w brzuchu.

– Prawdę mówiąc, największą ochotę mam na pizzę – wyznaję. – A potem lody.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem – oznajmia Trinity. – Marc kupił ci kilka par spodni dresowych i podkoszulek, żebyś miała się tu w co ubrać. On naprawdę dba o swoich studentów, prawda?

Może nawet za bardzo, myślę, bo trudno mi ogarnąć to wszystko, co się dzieje. Jestem wdzięczna Marcowi za opiekę i za to, że przywiózł mnie do tej eleganckiej kliniki, w której można zrobić specjalistyczne badania. Ale czy zrobiłby to dla każdego ze swoich studentów? Bo jeśli nie, to nie jest w porządku. Bardzo go pragnę, ale nie chcę, żeby traktował mnie w szczególny sposób. Nie chcę, żeby mnie faworyzował.

Uświadamiam sobie nagle, że patrzę na drzwi w nadziei, że Marc wróci. Przeżyłam taki młyn, że nie myślałam dużo o Marcu ani o tym, co ze mną robił. Ale ja jestem jego studentką, a on moim wykładowcą. Ma władzę i nie powinien jej nadużywać. Jestem taka skołowana. Na pewno wiem tylko, że znowu chcę go zobaczyć. Nie, nie tylko zobaczyć. Chcę, żeby mnie dotykał.

Po chwili Trinity wraca.

– Mamy wyniki badań – stwierdza. – Marc dopilnował, żeby wszystko poszło jak najszybciej.

Co pewnie oznacza, że zapłacił za to mnóstwo pieniędzy, myślę, trochę tym skrępowana.

– I co? – pytam.

– Wzięłaś coś, w czym była trutka na szczury. Ale nic ci nie będzie. Było tego bardzo niewiele, a ciało ma swoje sposoby na pozbywanie się toksyn.

– Trutka na szczury? – Żołądek podchodzi mi do gardła. – Ale jak?

– Często dodają tego do twardych narkotyków.

– Ale ja nie wzięłam żadnych narkotyków.

– Z kim dzisiaj byłaś?

– Z innym studentem; ma na imię Ryan.

– Czy on coś brał?

Przypominam sobie mętne oczy i przesadną ekscytację Ryana. Myślałam, że jest po prostu pijany, ale…

– Może – przyznaję. – To możliwe.

– A czy ty mogłaś coś wziąć przypadkowo?

W tym momencie doznaję olśnienia. Cola. W toalecie. Otworzył dla mnie puszkę. To było takie dla niego nietypowe – zrobić coś dla kogoś innego, tak po prostu.

– Mógł dodać mi czegoś do napoju – mówię.

Trinity kiwa głową.

– Wydaje mi się, że to najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie.

Rozdział 34

Kilka godzin później jem pizzę pepperoni i oglądam *Zakochanego Szekspira* na płaskim ekranie telewizora. Po pizzy sięgam po pudełko z ciastkami i lody śmietankowe. Trinity kupiła mi trzy różne smaki, bo chciała mieć pewność, że wybrała choć jeden, który lubię. Zupełnie niepotrzebnie. Lubię wszystkie lody bez wyjątku.

Odwiedziło mnie kilku lekarzy, zmierzyli mi temperaturę i zadawali pytania. Poza tym jednak byłam w pokoju sama.

Muszę przyznać, że choć to szpital, całkiem miło spędzam czas, pomijając bolesną tęsknotę, która pojawia się, ilekroć pomyślę o Marcu. Poza tym, że chcę go zobaczyć, jestem zażenowana faktem, że mógł pomyśleć, że brałam z Ryanem narkotyki.

Za oszklonymi drzwiami pojawia się jakiś wysoki cień. Moja ręka nad kwadratowym pudełkiem lodów nieruchomieje.

Drzwi się otwierają i serce podchodzi mi do gardła.

To Marc.

– Sophio – wita mnie i zamyka za sobą drzwi. – Jak się czujesz? – Ma na sobie czarny,

dopasowany garnitur i czarną koszulę, rozpiętą pod szyją. Nigdy wcześniej o tym nie myślałam, ale nie widziałam go jeszcze w krawacie. Dostrzegam ostry zarys jego obojczyków i zaokrąglone mięśnie ramion pod marynarką garnituru.

Jego brązowe włosy rozsypują się luźno, jak zwykle, a grzywka opada falą na czoło.

– Znacznie lepiej – mówię na przydechu i odkładam lody na stolik przy łóżku. Łyżeczka brzęczy przy tym nieelegancko.

Marc podnosi kartę wiszącą obok i czyta zapisane tam informacje medyczne.

– Dobrze. Przeprowadzili wszystkie testy. Doskonale.

Uśmiecham się.

– Ja też to przeczytałam, ale nic z tego nie rozumiem.

Marc marszczy brwi.

– W swoim czasie byłem w paru szpitalach. I mam dobrą pamięć. Postarałem się nauczyć, ile się dało.

– Naprawdę? – Dziwnie wyobrazić go sobie słabego. Bezbronnego. – Byłeś w szpitalu? – Myślę o filmach walki, w których grał, i zastanawiam się, czy został ranny podczas kaskaderskich wyczynów.

– Nie ja – odpowiada z roztargnieniem. – Moja siostra.

Mam wielką ochotę poprosić go, żeby powiedział coś więcej, ale wyczuwam, że się zamyka, więc zamiast tego mówię:

– Bardzo ci dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Ale chciałabym zapłacić za te wszystkie…

Marc ponosi rękę.

– Nie bądź śmieszna. Chcę się tobą opiekować.

– Nie chcę, żebyś mnie faworyzował – oponuję. – Tylko dlatego, że… że coś między nami zaszło. To nie znaczy, że powinieneś traktować mnie w szczególny sposób.

Marc unosi jedną brew.

– Myślisz, że traktuję cię w szczególny sposób?

– A tak nie jest?

– Zrobiłbym to dla każdego z moich studentów – oznajmia Marc i skóra wokół jego błękitnych oczu napina się lekko. – I jestem trochę urażony, że nie przyszło ci to do głowy.

– Och. Przepraszam. – Przełykam lody, które nagle wydają mi się trochę za słodkie. To pokazuje mi moje miejsce. Jednak nie jestem nikim szczególnym.

– Wyglądasz znacznie lepiej – cieszy się Marc. – Martwiłem się o ciebie. Kiedy usłyszałem, że jesteś w szpitalu, byłem wściekły na siebie, że dopuściłem do czegoś takiego.

– Do niczego nie dopuściłeś – mówię. – To był wypadek.

– Wypadek, którego można było uniknąć.

– Wierzysz, że nie wzięłam narkotyków świadomie? – pytam.

Marc kiwa głową.

– Chyba wiem, co się stało – stwierdzam ostrożnie.

Marc podnosi rękę do góry.

– Ja też wiem – oznajmia. – Twój przyjaciel Ryan dodał ci do napoju czegoś, co, jak

sądził, było kokainą.

– Skąd wiesz? – Otwieram usta ze zdumienia.

– Rozmawiałem z nim wcześniej. Przyznał się do wszystkiego. Ludzie na ogół nie próbują mnie okłamywać.

– Tak dla jasności – mówię – on nie jest moim przyjacielem.

– Domyślałem się tego – rzuca Marc. – Ale myślę, że chciałby nim być. Z tego, co mi powiedział, wynika, że chciałby być nawet kimś więcej.

– Co? – Kręcę głową. – Nie Ryan. On mnie nie znosi. On i Cecile.

– Niektórym ludziom trudno wyrazić bardzo silne uczucia – mówi Marc. – Zauroczyłaś go od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczył. Tak jak mnie.

Serce podskakuje mi w piersi przy tych słowach.

– Ale on jest taki… chamski. I wredny.

– Jak już mówiłem, niektórzy mają problem z wyrażaniem uczuć. – Marc wyłącza telewizor i siada na łóżku. Czuję motyle w brzuchu, kiedy jest tak blisko. – Lekarze twierdzą, że jesteś już czysta, ale ja myślę, że będzie lepiej, jeśli zostaniesz tu na noc. Na wszelki wypadek. Możesz wyjść jutro rano. W niedzielę – dodaje miękko. – W samą porę na swoją lekcję w poniedziałek rano.

Przełykam ślinę i przypominam sobie, co mówił o tym, że mnie ukarze.

– A co się stanie w poniedziałek?

– Będziesz musiała zaczekać, aż sama się przekonasz.

– Za to też mnie ukarzesz? Za to, że trafiłam do szpitala?

Marc kręci głową.

– Sophio, to nie była twoja wina.

Wstaje i zamyka drzwi na klucz.

Rozdział 35

Co robisz? – pytam. – A jeśli pielęgniarka spróbuje tu wejść?

– Nie spróbuje – odpowiada Marc. – Powiedziałem, żeby nikt z personelu szpitala nie niepokoił cię, kiedy ja u ciebie jestem.

– A czy gazety nie będą o tym pisały?

– Jedną z zalet korzystania z prywatnych klinik – mówi Marc – jest to, że za pieniądze możesz kupić dyskrecję. Nikomu tutaj nie przyszłoby do głowy sprzedać czegokolwiek prasie. Dziennikarze wiedzą tylko, że odwiedziłem cię w poprzednim szpitalu. I mogą z tym zrobić, co chcą. – Nie dowodzi to niczego poza tym, że troszczę się o swoich studentów. Bo tak jest.

Delikatnie zdejmuje ze mnie wykrochmalone białe prześcieradło i kiwa głową z aprobatą na widok bawełnianych ubrań, które mi kupił.

– Chcę, żebyś lepiej poznała swoje ciało – mówi, zsuwając mi spodnie. Kiwam głupio

głową, patrząc, jak zaciska zęby, przesuwając dłonią w górę mojego uda. – Masturbujesz się?

– Nie – kłamię. Dlaczego nigdy nie potrafię szczerze odpowiedzieć na to pytanie?

Marc unosi jedną brew.

– Nie okłamuj mnie, Sophio. Jestem aktorem, pamiętasz?

Czerwienię się.

– No dobrze. Czasami.

– Tak myślałem. Miałem zamiar nie dotknąć cię aż do poniedziałku, ale widząc cię tutaj…

Zdejmuje ze mnie majtki i rzuca je na podłogę. Widzę wybrzuszenie w jego spodniach i nie mogę oderwać od niego wzroku. Marc rozchyla mi nogi i wyciąga iPhone'a.

– Co robisz? – pytam.

– Robię zdjęcia mojej najlepszej studentce – odpowiada, kieruje telefon między moje nogi i robi kilka zdjęć. Flesz oświetla wszystko; nigdy dotąd w całym swoim życiu nie czułam się tak bardzo obnażona. – Wykorzystam je później, dla własnej przyjemności.

– Och. – Ta myśl przeraża mnie i podnieca jednocześnie. Fakt, że Marc Blackwell może chcieć mieć moje zdjęcia, jest zdumiewający. Z drugiej strony jednak to, że będzie mógł na powiększeniu oglądać moje części intymne, jest przerażające.

– Zaufaj mi – szepcze Marc, przesuwając dłonią po moim udzie. – Będą całkowicie bezpieczne. Nieosiągalne dla nikogo innego. Masz moje słowo. Ufasz mi, prawda?

– Wiesz, że tak – mówię. Sposób, w jaki się mną opiekuje, jest niezwykły. Ale nie tylko to… mimo tego, kim jest i jak skrępowana się czasem przy nim czuję, jest coś, co nas ze sobą łączy. Nasze ciała mówią tym samym językiem, choć jego słowa czasami budzą mój strach.

– Chciałam cię o coś zapytać – zaczynam. – Chodzi o artykuł w gazecie, który widziałam kilka dni temu.

Rozdział 36

Aha – mówi Marc. – Więc teraz słuchasz plotek rozsiewanych przez brukowce? Nie wierz we wszystko, co czytasz, Sophio. – Patrzy na swój telefon i palcem przesuwa zdjęcia. – Bardzo ładne. Naprawdę bardzo ładne. Modelowa studentka, w każdym znaczeniu tego słowa.

– Napisali tam coś o twoim życiu seksualnym – mówię. – O jakichś zarzutach…

– Tak. Powiedzmy, że gazety potrafią wypaczyć prawdę.

– Więc to nie jest prawda?

Marc odkłada telefon.

– Te ostatnie zarzuty? Wystawili mnie. Dla pieniędzy. W porządku? Powinienem mieć więcej rozumu, ale kiedy scenariusz zaczął się rozwijać… nie mogłem się powstrzymać.

– Nie mogłeś się powstrzymać? Jaki scenariusz?

Marc odwraca wzrok.

– Nie to chciałem powiedzieć. Oczywiście, że mogłem się powstrzymać. Ale… wtedy tego nie zrobiłem. To nie było tak jak z tobą. Kontrolowałem sytuację. Wszystko to było moim wyborem, od początku do końca.

– Co się stało?

– Tego dnia grałem bardzo ciężką rolę. Tamta kobieta miała niewielką rólkę w filmie, który akurat kręciłem i wieczorem, w barze, powiedziała mi, że była niegrzeczną dziewczynką i żebym spuścił jej lanie. Więc to zrobiłem. Chyba wiedziała, że lubię mieć władzę, i wystawiła mnie. Wszystko to wydarzyło się wiele miesięcy temu, zanim cię poznałem.

Czuję coś nieprzyjemnego. Zazdrość. Nie podoba mi się myśl, że był z inną kobietą. I spuścił jej lanie… Dobry Boże, Sophio, w co ty się wpakowałaś? Nie zakochaj się w filmowym aktorze, który lubi mieć władzę i bić ludzi. To może się skończyć tylko łzami.

– Dotykaj się – mówi Marc, podnosząc telefon.

– Marc…

– To rozkaz.

Co takiego w nim sprawia, że kiedy mówi, co mam robić, tak mnie to podnieca? Wkładam rękę między nogi.

– Dobrze. – Kiwa głową.

Przysuwa telefon bliżej.

– Bardzo dobrze. Włóż palce do środka.

Sięgam w dół drugą ręką i robię to, co powiedział.

– Wyglądasz pięknie – dyszy i przesuwa telefon, żeby znaleźć najlepszy kąt. – Nie przestawaj. Chcę cię sfilmować, kiedy masz orgazm.

Nagle zwycięża zażenowanie.

– Nie mogę – mówię. – Czuję się głupio, kiedy mnie filmujesz.

– Potraktuj to jako kolejną lekcję, Sophio – mówi Marc. – Uczysz się czuć dobrze, kiedy twoje ciało jest wystawione na widok. Im lepiej będziesz się z tym czuła, tym większej doznasz satysfakcji seksualnej. I tym lepszą będziesz aktorką.

Znowu zaczynam poruszać rękami, a on przesuwa palce w górę mojego uda, potem podciąga mi do góry koszulkę i muska palcami stanik. Dostaję gęsiej skórki na ramionach i Marc się uśmiecha. Potem jego palce sięgają mojej szyi i podbródka. Wsuwa mi kciuk do ust.

– Ssij – mówi, filmując moją twarz. Ciągle poruszam rękami, a jego kciuk, wsuwający się i wysuwający z moich ust, wywołuje naprawdę przyjemne doznania.

Czuję, jak ogarnia mnie ciepło; im dłużej wsuwa i wysuwa kciuk, tym lepiej się czuję.

– Mhm – mruczę.

Marc filmuje teraz to, co się dzieje między moimi nogami. Zauważam potężne wybrzuszenie w jego kroczu.

To go naprawdę podnieca.

Sięgam do niego, ale on odsuwa się, zanim udaje mi się go dotknąć.

– Nie, Sophio. Tu chodzi o ciebie.

Wsuwa kciuk głębiej w moje usta.

Ssę mocniej, liżę, wciągam go zachłannie do środka.

Marc wydaje jęk i znowu próbuję go dotknąć, ale jest za szybki. Wyciąga kciuk z moich ust, a potem kładzie mi dłoń na piersi i mocno popycha mnie na materac. Ma zaciśnięte zęby i wpatruje się we mnie tak intensywnie, że niemal zaczynam się bać.

– Poruszaj ręką – nakazuje, a ja słyszę w jego głosie napięcie. Wyraźnie ledwo zachowuje spokój. Z trudem nad sobą panuje.

Wolną ręką rozchyla mi nogi i wkłada do środka dwa palce, z taką siłą, że przesuwa mnie całą w górę łóżka.

Nie mogę się powstrzymać. Czuję ciepło, rozlewające się z krocza aż do pępka i na uda. Krzyczę jego imię.

– Marc, och, Marc!

On filmuje to wszystko, ale nie dbam o to. Obezwładnia mnie rozkosz. Dopiero kiedy fala przyjemności odpływa, a ja wracam do siebie, zaczynam zdawać sobie sprawę, że teraz istnieje nagranie, na którym mam orgazm.

– To krępujące, że masz ten film – zauważam, opadając na łóżko. – Nie mogę znieść myśli, że będziesz go oglądał. Czuję się strasznie głupio.

– Właśnie dlatego go zatrzymam – stwierdza Marc. – Będę go oglądał, a ty nic nie możesz z tym zrobić. Zaufaj mi, Sophio. To ci pomoże pozbyć się zahamowań.

– Nie wydaje mi się, żebym była aż tak zahamowana.

Marc się śmieje.

– Żartujesz? Jesteś zahamowana, wierz mi.

– Może w porównaniu z tobą.

– Och, też mam swoje zahamowania. Tam, gdzie w grę wchodzi prawdziwa intymność… – Kręci głową i odwraca wzrok.

– Nadal nie podoba mi się, że masz ten film ze mną – mruczę.

– Hej. – Marc przysuwa swoją twarz do mojej i gładzi mój policzek. – Będę go dobrze strzegł, Sophio. A jeśli naprawdę nie będziesz chciała, żebym go miał, usunę go. Ale na razie to dla ciebie dobra lekcja. A teraz daj mi swój numer telefonu.

– Po co? – pytam.

– Po twojej dzisiejszej małej eskapadzie chcę mieć pewność, że zawsze mogę się z tobą skontaktować.

Nie podoba mi się ta odpowiedź, ale bardzo podoba mi się, że chce mieć mój numer, więc mu go podaję. Marc wprowadza go do swojego telefonu, a ja jestem podekscytowana na samą myśl o tym, że może do mnie zadzwonić.

Okrywa mnie kołdrą.

– W poniedziałek – mówi.

Rozdział 37

Wychodzę ze szpitala w niedzielę rano. Czuję się doskonale; zjadłam wspaniałe szpitalne śniadanie, które składało się z koktajlu truskawkowego, owsianki z prażonymi ziarnami dyni i świeżego żytniego chleba z niesolonym masłem.

Trinity pyta, czy chcę wrócić do kampusu taksówką, ale ja wolę zrobić sobie spacer i zobaczyć po drodze Londyn. Dostaję więc od niej mapkę i wychodzę na słońce.

Niedługo potem idę przez Sloane Square, mijając eleganckie butiki z ubraniami i domy z czerwonej cegły. Wszędzie jest pełno uroczych małych cukierni i restauracji, wstępuję więc do włoskiej kawiarni na gorącą czekoladę i siadam przy stoliku na zewnątrz, żeby patrzeć na płynące ulicą londyńskie życie.

Wyciągam komórkę i widzę, że nie odebrałam pięciu telefonów od Jen. Oddzwaniam i zaraz zostaję nagrodzona jej radosnym piskiem.

– Sophieee!

– Chyba właśnie mnie ogłuszyłaś.

– Gdzie jesteś? – pyta Jen. – Bo ja u ciebie w kampusie. Przyjechałam, żeby ci zrobić niespodziankę, a ciebie tu nie ma. Zostałaś na noc u kochanka?

Nawet do głowy by ci nie przyszło, co robiłam.

– Jestem w zachodnim Londynie – mówię. – Przy Sloane Square. W kafejce, która nazywa się U Antonia.

– Myślisz, że mogę zaparkować w twojej akademii, jeśli ciebie tu nie ma? – pyta Jen.

– Chyba tak.

– W takim razie zostań tam, gdzie jesteś. Zaraz tam będę. – I połączenie zostaje przerwane

Pół godziny później już mam zamówić kolejną gorącą czekoladę, kiedy Jen nagle pojawia się przy moim stoliku. Rzuca mi się na szyję, a ja mocno ją ściskam.

– Dla tej pani cappuccino – zwracam się do kelnera. – Bez czekolady na wierzchu.

– A dla tej pani jeszcze jedną gorącą czekoladę – mówi do niego Jen. – I tyle bitej śmietany, ile się zmieści – ona uważa, że jest za chuda.

Uśmiechamy się do siebie szeroko.

– I cóż? – pyta Jen. – Co robisz tak wcześnie w tej części miasta? Zatrzymałaś się u kogoś na noc? – Przysuwa się bliżej.

Spoglądam na moją gorącą czekoladę.

– Tak i nie – mówię. – Byłam w szpitalu.

– W szpitalu? – Jen zasłania usta ręką. – O Boże, Sophio, co się stało? Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

– To wszystko stało się tak szybko. I okazało się, że to nic poważnego. Ryan dodał mi czegoś do coli i dziwnie się poczułam.

– Co zrobił? – Kiedy Jen jest zła, jest naprawdę zła. – Dodał ci czegoś do coli? Czekaj, jak go tylko dorwę…

– To po prostu idiota, Jen, nie przejmuj się nim.

– Przejmuję się – stwierdza Jen. – Ty zawsze widzisz w ludziach to, co najlepsze. Aż do przesady. Ta twoja okropna macocha… Tak czy inaczej, nie ujdzie mu to na sucho.

– Chyba już mu nie uszło – mówię. – Marc Blackwell wziął go na rozmowę. Domyślam się, że nieźle mu się oberwało.

– Rany. – Jen przerzuca jasne włosy z jednego ramienia na drugie. – Marc Blackwell się w to wtrącił i rozmawiał z nim? Co za wspaniały facet. Hej, skoro już o tym mowa, nigdy nie zgadniesz, co odkryłam przez swoją PR-ową siatkę.

– Co?

Jen nachyla się bliżej do mnie.

– Ten seksualny skandal. Sznury, pejcze i tak dalej. Cóż, zdaje się, że Marc Blackwell lubi też spanking.

Kiwam głową.

– Myślisz, że to prawda?

– Jestem tego pewna – rzucam.

– Jak to?

Przed Jen pojawia się cappuccino, więc przez chwilę nie odpowiadam, czekając, aż kelner odejdzie.

Potem szepczę:

– Bo mi to powiedział.

– Powiedział ci?

– Kiedy byłam w szpitalu, przyszedł się ze mną zobaczyć. Przeniósł mnie do prywatnej kliniki w zachodnim Londynie. Dostałam osobistą pielęgniarkę. I odwiedził mnie tam.

Jen coraz szerzej otwiera oczy, podnosząc swoją filiżankę.

– I… my… coś między nami zaszło.

Jen z brzękiem odstawia filiżankę na spodeczek.

– Coś zaszło między tobą i Markiem Blackwellem!

– Ciii! – Rozglądam się dookoła. – Tak. Coś zaszło… coś się chyba dzieje.

– Chcę wiedzieć wszystko. – Jen pochyla się jeszcze bliżej.

– To… skomplikowane – mówię. – On jest skomplikowany.

– Na pewno. Ten spanking i tak dalej. Robił to tobie?

Kręcę głową.

– Ale wydaje mi się, że chce.

– A ty co o tym myślisz?

– Trudno powiedzieć. To jest dla mnie takie nowe… to wszystko. Nigdy nie czułam się tak przy nikim innym, ale w pakiecie są też te różne dziwne rzeczy. No wiesz, przecież mnie znasz. Nie mam za bardzo doświadczenia w takich… właściwie w niczym. A jeśli nie wytrzymam tego, co będzie chciał robić?

– Odmówisz, i już.

– To nie takie proste. On każe mi coś zrobić, a ja też tego chcę.

– Więc w czym problem?

– A jeśli podobam mu się tylko dlatego, że jestem jego studentką? Jeśli tylko to go kręci? Rozumiesz, to dobry człowiek. Wie, że to nie w porządku, żeby wykładowca robił cokolwiek ze swoją studentką.

– A co właściwie robiliście? – pyta Jen.

– Kilka rzeczy – mówię. – Ale jeszcze nie uprawialiśmy seksu.

Jen kręci głową.

– Rany. Cóż, spróbuję dowiedzieć się jak najwięcej przez moją agencję. Zawsze lepiej wiedzieć, czego się spodziewać.

– Dzięki, Jen.

– Wiem, że jest seksowny – mówi Jen. – Ale… cóż, to niemoralne kręcić ze studentkami.

– Wiem – przyznaje. – Ale on tego nie chciał. Próbował tego uniknąć. Opuściłby akademię, gdybym mu pozwoliła. Tu chodzi o mnie. Nie mogę znieść myśli, że mogłabym go nie widywać. Sam fakt, że jest blisko, niesamowicie na mnie działa.

– Nie wątpię.

– Ale wiem, że to nie w porządku – to, co się dzieje. A w każdym razie to nie jest normalne.

– Soph. Za bardzo się przejmujesz. Jeśli coś cię połączyło z Markiem Blackwellem, po prostu się tym ciesz. Tym, co jest. A jeśli kiedyś zostaniesz szczęśliwą żoną jakiegoś innego, miłego faceta będziesz mogła sobie wspominać, że w młodości miałaś romans ze znanym aktorem.

– Ale jeśli ja chcę, żeby to było coś więcej?

– Ach. – Jen upija łyk cappuccino. – Cóż, to już twój problem. Posłuchaj, on wyraźnie ma problem z bliskością. Brak poważnych związków. Lubi mieć władzę. Chce, żeby wszystko odbywało się na jego warunkach. Soph, z takim mężczyzną nie możesz się spodziewać zwyczajnego związku. Po prostu ciesz się tym, co masz, i postaraj się za bardzo nie cierpieć, kiedy się to skończy.

– Masz rację – potwierdzam. – Wiem, że masz rację. Ale… jeśli to ma się skończyć, może powinnam odejść teraz, zanim zostanę zraniona.

– Może i tak – mówi Jen. – Ale jesteś tylko człowiekiem. A ja cię znam. Wydajesz się taka delikatna i miękka, ale pod tą aksamitną rękawiczką kryje się ręka ze stali. Jeśli czegoś chcesz, nie obchodzi cię, co o tym mówią inni. A jego chcesz, prawda?

Uśmiecham się do niej.

– Chyba obie znamy odpowiedź na to pytanie.

Jen kiwa głową.

– Właśnie. Więc na razie baw się dobrze, ale bądź gotowa na złamane serce później. Takie jest życie. Przeżyjesz to jakoś. Od złamanego serca się nie umiera.

– Nic o tym nie wiem.

– Więc co będziemy dzisiaj robiły? – pyta Jen.

– Mogłabym pokazać ci kampus – mówię. – I przedstawić znajomym.

– Jak na taką twórczą osobę, czasami naprawdę brak ci wyobraźni – prycha Jen. – Jesteśmy w sercu Londynu. Można tu robić miliony rzeczy. Mam przewodnik i zaznaczyłam sobie to, czego powinnyśmy spróbować. Jesteś gotowa? Będzie super!

I rzeczywiście bawimy się świetnie. Idziemy do Harrodsa po jedzenie na piknik w Regent’s Park. Kilka upartych, miejskich wiewiórek próbuje ukraść nam trochę naszego prowiantu i w końcu uciekamy z piskiem i śmiechem.

Na Leicester Square oglądamy film, popcorn dojadamy już na słońcu, obserwując turystów i londyńczyków, którzy robią zakupy w Covent Garden.

Jen, czego się można było spodziewać, jest pod koniec dnia obładowana pakunkami. Wracamy do kampusu, żeby zamówić jedzenie na wynos do mojego pokoju.

Jen ma ochotę odszukać Ryana, żeby dać mu po twarzy, ale przekonuję ją, żeby tego nie robiła.

Zapraszam Toma i Tanyę i wszyscy razem jemy chińskie dania, pijemy czerwone wino i patrzymy, jak nad kampusem zachodzi słońce. Potem oglądamy *Gwiezdne wojny*, a Jen zasypuje Toma i Tanyę pytaniami o ich życie.

Tom mówi, że pochodzi z Londynu, więc zna miasto jak własną kieszeń. Wcześnie zaczął chodzić w Londynie do szkoły z internatem. W weekendy razem z innymi uczniami oglądał różne przedstawienia teatralne; w wolnym czasie grał w amatorskim teatrzyku. Jego rodzice to prawdziwy lord i lady, czym jestem bardzo zaskoczona. To prawda, że Tom mówi z eleganckim akcentem, ale poza tym jest taki prostoduszny i praktyczny.

Tanya mówi, że jej rodzice się rozwiedli, i kiedy była nastolatką, ciągle o nią walczyli. W końcu zamieszkała z mamą, ale kiedy była w szkole średniej, pokłóciła się z nią i wyprowadziła do ojca.

Studiowała na uniwersytecie, ale rzuciła studia, bo wybrała nieodpowiedni kierunek. Zawsze kochała teatr, ale tata chciał, żeby została prawnikiem. Po dwóch latach prawa wiedziała już, że nie tego chce, i teraz jest bardzo szczęśliwa, że może studiować w Akademii pod Bluszczem.

Tanya i Tom pytają, co się stało w sobotę, a ja mówię, że źle się poczułam i trafiłam do szpitala. Jen patrzy na mnie groźnie, bo chce, żebym powiedziała im o Ryanie, ale mnie jest go naprawdę żal. Marc w końcu już z nim o tym rozmawiał.

Wszyscy dobrze się bawimy, ale ja ciągle myślę o Marcu. O nim, a konkretniej o jego iPhonie, zdjęciach i filmie, który nakręcił.

Właśnie włączamy *Powrót Jedi*, kiedy zaczyna dzwonić moja komórka, a na ekraniku pojawia się numer, którego nigdy wcześniej nie widziałam.

Rozdział 38

Serce zaczyna mi bić bardzo mocno.

– Zaraz wracam – mruczę i wychodzę na balkon. Odbieram telefon. – Halo?

– Nie jesteś sama. – To głos Marca. Żołądek podchodzi mi do gardła.

– Nie, nie jestem. Skąd wiesz?

– Jestem w kampusie, obserwuję twoje okno.

Rozglądam się w ciemności, ale nikogo nie widzę.

– Nie widzę cię – mówię.

– A ja ciebie widzę, na balkonie. I twoich przyjaciół w pokoju. Żałuję, że nie jesteś sama.

– Naprawdę? – Czuję, że się uśmiecham.

– Tak. Ale w tej chwili chciałem ci tylko powiedzieć, że jesteś pod moją opieką. I że… przez cały dzień oglądałem cię na swoim telefonie. Bardzo ładnie. Naprawdę bardzo ładnie.

– Dzięki – stękam.

– Chciałbym nagrać więcej takich filmów. Może jutro.

Przełykam z trudem.

– Marc, denerwuję się tym, co ma być jutro. Nie wiem, co miałeś na myśli, mówiąc o…

– Chcę, żebyś przyszła na zajęcia dwadzieścia minut wcześniej – nakazuje Marc. – Twoja lekcja będzie zupełnie inna niż pozostałych studentów. Nie wkładaj bielizny.

I połączenie zostaje przerwane.

Następnego ranka mój pokój pachnie jak chińska restauracja, a wokół stołu panuje bałagan. Puste butelki po winie, kieliszki, pudełka po jedzeniu na wynos… Żałuję, że nie przyjęłam propozycji moich gości, którzy chcieli pomóc mi wieczorem posprzątać.

Biorę prysznic, zmywam naczynia i wrzucam śmieci do worka. Kiedy zmierzam do kubłów w dresowych spodniach i podkoszulce, które kupił mi Marc, spotykam Ryana. Kręci się w recepcji, koło skrzynek pocztowych.

– Cześć – rzucam zimno. – Co tu robisz tak wcześnie?

– Sophio… – Wydaje się zaskoczony. – Muszę cię przeprosić. Nie pomyślałem zupełnie, że może się stać coś takiego. Chciałem tylko, żebyś była w dobrym nastroju i dobrze się ze mną bawiła.

Przypominam sobie to, powiedział Marc. Że podobam się Ryanowi.

– Lepiej nigdy więcej nikomu tego nie rób – mówię.

– Pan Blackwell już odczytał mi akt oskarżenia.

– Powiedział mi, że… że coś do mnie czujesz – oznajmiam łagodnie.

– A jakie to ma znaczenie? – rzuca szybko Ryan. – Ciebie i tak interesuje tylko Blackwell, tak jak wszystkie inne dziewczyny tutaj.

– Naprawdę byłam pewna, że mnie nienawidzisz.

Ryan parska śmiechem.

– Nienawidzę? Tak, w pewnym sensie. To trudne, widzieć dziewczynę, która ci się podoba i nie móc jej mieć.

– Chyba tak – mówię.

Rozdział 39

Kiedy wracam do swojego pokoju, czeka na mnie sms. Wstrzymuję oddech, bo

wiadomość jest od Marca.

Nie zapomnij. Żadnej bielizny.

Myślę o tej wiadomości i o tym, co Marc powiedział mi poprzedniego wieczoru. O karze i o tym, że mam robić to, co mi powie. To podniecające, kiedy mówi mi, co mam robić. I to podniecające, kiedy mówi, żebym nie wkładała bielizny na jego zajęcia. Ale to nie znaczy, że zamierzam to zrobić. To, czy cokolwiek innego, o co mnie poprosi.

Zdejmuję spodnie i podkoszulek i przyglądam się sobie w łazienkowym lustrze. Mam chude, blade ciało, bez wątpienia. Niezbyt kobiece. Wąską talię, co jest dość ładne, i dziwną przerwę między udami, co nie jest już takie ładne.

Piersi są w porządku. Nic szczególnego. To samo można powiedzieć o moim tyłku, choć chłopcy, z którymi się spotykałam, zwykle go komplementowali. I to by było na tyle. Więc co on we mnie widzi? Młodość? Jest ode mnie tylko kilka lat starszy. To, że jestem jego uczennicą? Może. Ale jest tu mnóstwo innych studentek, spośród których mógł wybierać, a wiele z nich jest ładniejszych i bardziej doświadczonych.

Więc w bieliźnie czy bez? Zdejmuję bieliznę i patrzę na moje nagie ciało. Jest bardzo naturalne. Jen zawsze truje o linii bikini, ale ja nie mogę nawet myśleć o wyrywaniu włosów ze skóry i w ogóle lubię, żeby wszystko było tak, jak powinno być.

Wkładam dżinsy i opadającą z ramienia jedwabną bluzę, ale zaraz okazuje się, że nie był to dobry wybór. Dżinsy wrzynają mi się w ciało, a przez bluzkę trochę zbyt wyraźnie widać moje piersi. Przebieram się więc w gruby, niebieski sweter z cekinami, legginsy i buty do kostek. W ten sposób nikt nic nie zobaczy, a mnie jest wygodnie.

Patrzę na zegarek i uświadamiam sobie, że do zajęć zostało niewiele ponad pół godziny, więc chwytam torbę i ruszam do sali wykładowej.

Kiedy przychodzę, Marc już czeka. Siedzi na biurku w prążkowanym garniturze. Bez krawata, jak zwykle, z rozpiętym górnym guzikiem koszuli. Włosy ma zaczesane w dół, z czym wygląda jakoś miękko i łagodnie. Na mój widok unosi jedną brew.

– Cieszę się, że przyszłaś na czas. Bielizna?

– Nie – bąkam i czuję się bardzo obnażona.

– Znasz już nasze archiwum – mówi, podchodzi do drzwi i otwiera je. Patrzę, jak jego długie palce przekręcają gałkę, a pod skórą napinają się ścięgna.

– Wiesz, że znam. Marc, jeśli chodzi o tę karę… Są pewne rzeczy…

– Wkrótce dowiesz się więcej – mówi Marc. – Wejdź do środka.

Wchodzę do archiwum, ale jestem gotowa powiedzieć mu, gdzie może iść, jeśli zaproponuje coś, co mi się nie spodoba.

W środku mój wzrok pada na coś, co sprawia, że staję jak wryta. Do jednej z półek nad biurkiem przytwierdzone są niewielkie metalowe kółka, przez które przechodzi długi sznur. Na biurku leży bambusowa trzcina – taka staroświecka, jak w jakiejś wiktoriańskiej szkole. Patrzę na małe zgrubienia, które znaczą całą jej długość.

– Po co ci to? – pytam.

– Będziesz mówiła, kiedy cię o to poproszę – nakazuje Marc. Odwraca mnie do siebie

tyłem, tak że plecami dotykam jego piersi.

– Marc…

– Wierz mi, Sophio – szepcze Marc, zamykając drzwi. – W każdej chwili możesz to przerwać. Wystarczy, że mi o tym powiesz. Ale w tej chwili sądzę, że będzie ci się to podobało. Tym, czego chcę cię dzisiaj nauczyć, jest samokontrola. Nauczysz się panować nad sobą. Nauczysz się, że czasami nie wolno ci szczytować, dopóki ci na to nie pozwolę.

Popycha mnie do przodu, aż muszę się oprzeć o biurko, i krępuje mi ręce z przodu sznurem. Potem napina sznur i podrywa moje ręce do góry.

– Och! – krzyczę, zaskoczona, a Marc zawiązuje na sznurze skomplikowany węzeł. – Zaczekaj. Nie jestem pewna, czy mi się to podoba.

– Jeśli zechcesz się uwolnić – zaczyna – po prostu pociągnij za tę część sznura, a wtedy węzeł się rozwiąże. Robimy to za obopólną zgodą. Wiem, że tego chcesz. Chcesz, żebym cię krótko trzymał, chyba się ze mną zgodzisz.

Czyżby? To naprawdę zależy od tego, jaką przewidział dla mnie karę. Ale cieszę się, że mogę rozwiązać węzeł.

Marc pociera dłonią moje pośladki i przybliża usta do mojego ucha.

– Oto, co cię czeka, jeśli nie będziesz posłuszna nauczycielowi – oznajmia. – Dyscyplina jest dla nas dobra. Dzięki niej stajemy się silni.

Ściąga mi legginsy do połowy ud i dalej pieści ręką moje pośladki.

– Grzeczna dziewczynka. Żadnej bielizny.

Podciąga mi sweter do góry i zawiązuje go na supeł, odsłaniając pośladki.

– Zobaczysz, jak przyjemnie jest być dyscyplinowanym – mruczy, podnosząc trzcinę. Sprawdza jej giętkość w dłoniach, a potem kilka razy macha nią ze świstem w powietrzu. Żołądek podchodzi mi do gardła.

– Nie rób mi krzywdy – proszę.

Przesuwa trzciną po moich pośladkach; czuję jej gładkość i małe zgrubienia. To prawdziwa tortura, nie wiedzieć, czy mnie nią uderzy, i myślę, że on o tym wie.

– Masz zamiar mnie uderzyć? – pytam.

– A chcesz tego? – Odsuwa ode mnie trzcinę.

– Może – przyznaję, czując gorąco między nogami. – Ale nie mocno.

Zamierza się, ale zatrzymuje trzcinę o cal od moich pośladków.

– Och – jęczę, zwieszając się na sznurze.

Marc odkłada trzcinę.

– W tej chwili mam wykład. Zaczekasz tu, aż będę gotowy, żeby się tobą zająć.

– Chcesz mnie tu zostawić? – pytam.

– Już ci powiedziałem. Zaczekasz, aż będę gotowy.

– Ale inni studenci zaraz przyjdą.

– Więc lepiej bądź cicho.

I wychodzi, zatrzaskując za sobą drzwi.

Kilka chwil później słyszę, jak studenci wchodzą na salę i zajmują miejsca. Nie słyszę, co mówią, ale dociera do mnie cichy szum rozmów.

Na tym tle rozlega się donośny głos Marca, który rezonuje w moim ciele. Czuję nagość swojego tyłka i marzę tylko o tym, żeby wrócił i dotknął mnie. Jak długo on ma zamiar

kazać mi tu czekać?

Rozmowy cichną, Marc mówi coś do studentów. To jest tortura. Chcę, żeby mnie dotykał i – muszę to przyznać – użył trzciny tak, jak zagroził, że to zrobi. Widzę ją tuż obok i jestem taka podniecona. Ale teraz muszę czekać, aż skończy się wykład. A może on chce, żebym czekała jeszcze dłużej? Jeśli tak, nie zostanę tu.

Nagle słyszę skrzypnięcie zawiasów i widzę, że gałka się obraca.

O Boże.

Marc staje w drzwiach. Nikt z sali nie może mnie zobaczyć, jeśli nie wejdzie do archiwum.

Marc zamyka drzwi za sobą.

Rozdział 40

Co ty robisz? – szepczę. – Wszyscy studenci tam są.

– Bądź cicho. – Podnosi trzcinę. Zatrzymuje ją wysoko w powietrzu, a potem opuszcza szybko na moje pośladki. Słyszę cichy trzask, nie dość głośny jednak, żeby mógł go usłyszeć ktoś na zewnątrz.

Chwytam gwałtownie powietrze i zaciskam zęby, żeby nie krzyknąć – nie z bólu, ale z przyjemności. Ślad po trzcinie piecze, żołądek przewraca mi się w brzuchu. Chcę, żeby Marc uderzył mnie jeszcze raz. Tak bardzo chcę. I on to robi. Raz. Dwa razy. Trzy razy. Słyszę świst trzciny, która przecina powietrze, i czuję, że miękną mi kolana.

Marc wkłada mi rękę między nogi i pociera krocze, a potem kilka razy wsuwa mi palce do środka i znowu je wysuwa.

– Nie rób tego – błagam. – Proszę. Nie wytrzymam.

– Oto, co cię spotka za złe zachowanie – szepcze Marc. – Rozchyl nogi – mówi, odsuwa się i wkłada mi między uda trzcinę.

– Ale tam są wszyscy – mówię szeptem.

– Rób, co mówię.

Rozstawiam stopy.

– Grzeczna dziewczynka. A teraz pochyl się nad biurkiem.

O Boże. Jego słowa doprowadzają mnie do szaleństwa. Pochylam się do przodu, czując, jak sznur ciągnie mnie za nadgarstki.

Marc wsuwa we mnie trzcinę, tam i z powrotem.

Och, nie. Nie wolno mi wydać żadnego dźwięku. To jest tortura.

Nagle Marc z trzaskiem rzuca trzcinę na biurko i wychodzi z archiwum, zatrzaskując za sobą drzwi.

Słyszę, jak mówi coś do studentów. Moje ciało wyrywa się do niego. Potem dociera do mnie odgłos włączanego rzutnika i szum jakiegoś filmu.

Drzwi znowu się otwierają, Marc zamyka je z trzaskiem i podchodzi do mnie.

– Żałujesz, że źle się zachowywałaś? – pyta.

– Nie zachowywałam się źle – oponuję.

Pociera dłonią moje pośladki.

Och, to cudowne uczucie.

– Powiedz, że żałujesz, bo cię nie wypieprzę.

– Zrobisz to przy tych wszystkich ludziach za drzwiami? – szepczę.

– Z całą pewnością – odpowiada. – A ty przez cały ten czas nie wydasz ani jednego dźwięku. Doskonała lekcja samokontroli, nie uważasz? A więc… jeśli chcesz, żebym cię wypieprzył, musisz przeprosić.

– Przepraszam – mówię szybko.

Widzę uśmiech na jego ustach.

– Więc chcesz, żebym cię wypieprzył?

– T-tak – jąkam się.

– Magiczne słówko?

– Proszę.

– Grzeczna dziewczynka. Rozszerz nogi.

Robię to i gwałtownie chwytam powietrze, bo czuję go na sobie, czuję jego twardy penis na moich pośladkach.

Wsuwa mi do środka dwa palce; chcę krzyknąć z przyjemności, ale nie mogę, i to jest męka.

W milczeniu kołysze mnie dłonią w przód i w tył, a ja z trudem powstrzymuję jęk. W przód i w tył, i znowu, a potem nagle zabiera rękę.

– Nie przestawaj – błagam. – Proszę, nie przestawaj.

Słyszę jego chrapliwy oddech. Chodzi wokół mnie przez chwilę, a potem wraca do sali i zamyka drzwi.

Teraz rozumiem, co miał na myśli, mówiąc o karze. To, że podnieca mnie w ten sposób, a potem znika, jest prawdziwą męczarnią. A ja nie mogę stąd wyjść, dopóki nie skończy się wykład.

Słyszę, jak Marc mówi coś do studentów i nie mogę tego znieść. Niewiele brakuje, żebym pociągnęła za sznur i uwolniła się, ale dokąd mogłabym pójść?

Stoję i czekam, i myślę, że może Marc ma trochę racji co do tej samokontroli. Sam na pewno panuje nad sobą w zdumiewający sposób, skoro potrafi się do tego stopnia podniecić, a potem zaraz wyjść i wykładać. I jest najlepszym aktorem, jakiego kiedykolwiek widziałam. Po prostu staje się granymi przez siebie postaciami.

Nigdy dotąd nie czułam czegoś takiego do nikogo i nagle dociera do mnie, jaka to ironia losu, że tak bardzo zakochałam się właśnie w kimś takim jak Marc. Ale może właśnie dlatego zakochałam się tak bardzo. Bo nie przypomina innych, z którymi się spotykałam. On ma władzę, a ja staję się dzięki temu silniejsza. Może właśnie tego potrzebuję.

Oczekiwanie jest męczarnią, ale w końcu słyszę stuk kroków na podłodze i szelest chowanych do toreb kartek papieru. Tom i Tanya na pewno zastanawiają się, gdzie jestem. Nigdy by się nie domyślili, że tkwię tuż za drzwiami, z odsłoniętym tyłkiem, przywiązana do szafki, i czekam, aż przyjdzie nauczyciel i mnie wypieprzy.

Pospieszcie się i idźcie już, myślę. Boże, to jest tortura.

Kiedy zapada cisza, słyszę wreszcie skrzypnięcie klamki. Odwracam się i patrzę na Marca.

– Cóż, Sophio, mam nadzieję, że była to dla ciebie interesująca lekcja.

– Owszem – mówię.

– Dobra dla ciebie, prawda?

– Przyjemna – mruczę, jak przystało na posłuszną uczennicę. – Ale chwilami była to męczarnia.

– Światło i ciemność. – Marc podnosi trzcinę i zgina ją w dłoniach. – Byłaś cicho, kiedy musiałaś być, ale potrafisz być cicho także wtedy, kiedy nie musisz?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Wypieprzę cię teraz – mówi – i chcę absolutnej ciszy; w przeciwnym wypadku przestanę. Rozumiesz?

– Co? Nie, naprawdę, Marc, nie wiem, czy dam radę.

– Chwyć to zębami. – Wyciąga trzcinę w stronę moich ust. – Rób, co mówię. Otwórz usta.

Otwieram, a on wkłada mi trzcinę w zęby.

– Grzeczna dziewczynka. Zaciśnij. Podobasz mi się w ten sposób. – Wyciąga iPhone'a i robi zdjęcia: jedno z tyłu i po jednym z każdej strony.

– Rozszerz nogi dla nauczyciela, tak, grzeczna dziewczynka. – Tym razem nie czeka, aż rozstawię stopy, tylko rozchyla mi nogi rękami i wpycha się między moje uda. – O Boże, wiesz, jak trudno mi przy tobie panować nad sobą?

Czuję, jak napiera na mnie coś twardego i chcę jęknąć, ale zamiast tego wbijam zęby w trzcinę.

– Wiedząc, że tu jesteś, przygotowana, i czekasz na mnie. Niewiele brakowało, a wdarłbym się tu i wypieprzył cię przy tych wszystkich ludziach w sali – mówi Marc. – Myślałem, że potrafię się kontrolować, ale ty jesteś niebezpieczna. Testujesz moje ograniczenia.

Wchodzi we mnie trochę.

O Boże. To cudowne uczucie.

Chcę jęknąć. Chcę krzyknąć. Ale nie mogę.

Przesuwa jedną rękę do przodu, powoli wchodząc we mnie coraz głębiej.

Jest tak duży, że czuję się ciasna, wypełniona po brzegi. Wchodzi jeszcze głębiej i czuję się niemal zbyt pełna, ale jest to przyjemne uczucie. Utrzymuje mnie na granicy bólu. Do wytrzymania.

Im głębiej wchodzi, tym trudniej mi zachować ciszę. Jego ręka pociera moje krocze i ogarnia mnie narastające uczucie ciepła.

Zaciskam zęby na trzcinie.

Kiedy zaczyna poruszać się do przodu i do tyłu, za każdym razem wchodząc trochę głębiej, wiem, że zostawiam na trzcinie ślady.

Och. Och.

Tam i z powrotem, tam i z powrotem, coraz głębiej. Chwilami czuję go niemal w żołądku, ale jest to uczucie niewiarygodnie przyjemne. Marc przyspiesza; czuję na karku

jego ciężki oddech.

Przesuwam się do przodu, żeby nie wszedł zbyt głęboko i nie przysporzył mi bólu, ale on chwyta mnie za pośladki i wchodzi we mnie całkowicie.

Przyjemność i ból mieszają się ze sobą, całym moim ciałem wstrząsa orgazm.

Marc przyciąga mnie do siebie, wypełniając mnie do końca.

Zwisam na sznurze, dysząc ciężko, obezwładniona rozkoszą.

Marc wychodzi ze mnie, delikatnie obejmuje mnie ramionami i rozwiązuje sznur, a potem pomaga mi się ubrać.

Patrzę w dół i widzę, że ma na sobie zieloną prezerwatywę, napiętą do granic możliwości.

Rany. To coś było we mnie? Zdumiewające. Nigdy bym nie pomyślała, że się zmieści.

Potem coś innego przychodzi mi do głowy.

– A ty nie miałeś wytrysku?

Kręci głową.

– Dlaczego?

Nie chciałeś? Za bardzo cię rozczarowałam?

– Nie lubię tracić kontroli – przyznaje Marc. – Przy tobie nie miałoby to sensu. Chcę nauczyć cię czegoś o przyjemności. Ja doświadczę jej później.

– Jak? – pytam, myśląc o kobiecie, o której mówił w szpitalu. – Z inną kobietą? – Aż skręca mnie przy tych słowach. Inna kobieta. W końcu nie jesteś jego dziewczyną…

Marc się uśmiecha.

– Czy to by cię martwiło?

– Tak. – Wpatruję się w swoje paznokcie. Zawsze były obgryzione, ale od tego weekendu wyglądają gorzej niż zwykle. Nagle zdaję sobie sprawę, jaka jestem głupia. Dałam się porwać temu mężczyźnie, ale wszystko odbywa się na jego warunkach. – Tak. Martwi mnie to. I martwi mnie, że nie miałeś wytrysku.

– Dlaczego? – pyta Marc.

– Chyba chodzi o tę kontrolę. Ty możesz kontrolować mnie. To, jak się czuję. Ale nie pozwalasz, żebym ja jakoś na ciebie działała.

– Och, wierz mi – mówi Marc, zdejmując marynarkę i rzucając ją na biurko. – Działasz na mnie.

– Ale nie dopuszczasz mnie do siebie – narzekam. – Nie dopuszczasz mnie blisko.

Marc patrzy na grzbiety sztuk ustawionych na półkach.

– Dopuściłem cię bliżej, niż kogokolwiek innego.

Rozdział 41

Naprawdę? – pytam.

Marc kiwa głową. Patrzy na swoje dłonie, a ja dostrzegam, że kostki ma poznaczone

bliznami. Muszą pochodzić z filmów o boksie, w których grał. Przygotowywał się do nich tak jak do tych o innych sztukach walki; podobno trenował dużo i nawet rozegrał kilka walk na ringu.

– Mam wrażenie, że w ogóle mnie do siebie nie dopuszczasz.

– Dopuszczam. Jak na mnie, naprawdę blisko.

– Co to znaczy?

– Z wszystkimi innymi po prostu dobrze się bawiłem, na swój pokręcony sposób. Ale z tobą… to coś więcej. Kiedy pierwszy raz zobaczyłem, jak grasz… wnosząc światło w postać, która jest tak mroczna. Tamtego wieczoru nie mogłem zasnąć. Czułem się tak, jakbyś we mnie weszła.

– Weszła w ciebie?

Marc kiwa głową.

– Kiedy miałem dziesięć lat, dostałem zapalenia płuc. Ojciec nie pozwolił mi mówić o tym komukolwiek, bo wtedy nie mógłbym grać, a musiałem zarabiać na niego i siostrę. Więc przez tydzień miałem zdjęcia do tego filmu o chłopcu, który ucieka z domu i włóczy się po Londynie. Ale przez większość tego czasu byłem niemal w delirium. Plułem krwią, nie byłem w stanie się skupić. Nie byłem w stanie zapamiętać tekstu, a ja zawsze świetnie znam tekst. Jakby coś wlazło w mój umysł i zamknęło go od środka. Zostały mi tylko uczucia. I wiesz co? To była rola mojego życia. Ludzie ciągle mówią o tym filmie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że weszłaś we mnie i nie jestem już sobą. Nie mogę się skupić.

– Dziękuję za analogię z zapaleniem płuc.

Marc się uśmiecha.

– Zbliżyłaś się do mnie bardziej niż ktokolwiek inny. Twoja przyjemność jest dla mnie znacznie ważniejsza niż moja własna.

Wypuszczam powietrze z płuc, żałując, że nie mam odwagi zapytać go o inne kobiety. Ale coś mi mówi, że odpowiedź by mi się nie spodobała.

Marc ujmuje moją twarz w dłonie i przyciąga mnie do siebie. Nasze oczy spotykają się i żołądek podchodzi mi do gardła. Nie mogę oddychać. Widzę jego długi, kształtny nos i kąciki ust i wiem, że on też chłonie każdy szczegół mojej twarzy. Ten człowiek – ten sławny hollywoodzki aktor – mówi, że weszłam w niego.

– Nie mogę się doczekać naszej kolejnej lekcji – szepcze. – Miałaś już lekcję z zahamowań. I z samokontroli. Myślę, że przyszła pora rozszerzyć twoje granice. Spróbujesz rzeczy, o jakich nawet nie marzyłaś.

Patrzę na niego.

– Sądzisz, że marzyłam o tym, by dać się przykuć do szafki w archiwum? – Marc kiwa głową.

– Gdybyś użyła wyobraźni, jestem pewny, że marzyłabyś o tym, w odpowiednich okolicznościach. Jakiś fajny kolega ze studiów. Parę drinków. On znajduje kawałek sznura i ma ochotę się zabawić.

– Więc o czym nie marzyłam?

– To właśnie odkryjemy – stwierdza Marc. – Ale nie w kampusie.

– A gdzie? – pytam.

– W moim domu, w mieście. Dziś wieczorem. Zjemy kolację. I poznamy się znacznie lepiej.

A ja myślałam, że znamy się już dość dobrze.

– W twoim domu? Jesteś pewny?

Kolacja u niego w domu – to brzmi niemal zbyt normalnie.

Marc kiwa głową.

– Jutro nie ma zajęć. To dzień na pracę własną. Więc będziesz miała dużo czasu, żeby dojść do siebie.

– O której wieczorem? – pytam i wiem, że brak mi tchu. – I… jak mam się tam dostać tak, żeby nikt mnie nie zobaczył? Prasa…

Marc patrzy na zegarek.

– Dam ci znać. A tymczasem nie ucz się za dużo.

– Mam zajęcia z Denise Crompton – mówię. – Śpiew. To przyjemne zajęcia. Ona nie uczy nas tak jak ty.

Unoszę jedną brew i uśmiecham się do niego. Marc odpowiada mi uśmiechem i czuję, jak topnieję od środka.

– Lubię, jak śpiewasz – przyznaje.

– Co? Kiedy mnie słyszałeś?

– W lesie.

– W lesie? – Czerwienię się. – Słuchałeś mnie?

– Idź na zajęcia.

– Ale jak…

– Idź na zajęcia, Sophio.

Rozdział 42

Jak zwykle, zajęcia z Denise są bardzo przyjemne, ale widzę, że ona ma na mnie oko. Po lekcji odciąga mnie na bok.

– Wszystko w porządku, kochanie?

Wyraz mojej twarzy mówi jej wszystko.

– Trochę tu duszno, prawda? Chodźmy na spacer.

Wychodzimy z sali i idziemy w kierunku lasu.

– Lubię tu przychodzić – mówię.

– Wiem – odpowiada Denise. – Marc powiedział mi, że przychodzisz tu każdego ranka.

– Tak powiedział? Ale jak… skąd on o tym wie?

– Och, on lubi mieć swoich studentów cały czas na oku. – Denise cofa się o krok, kiedy spod jej stóp podrywa się ukryty w bluszczu ptak. – Niektórych znacznie bardziej niż innych.

– Rozmawiał z tobą o mnie?

Denise kiwa głową.

– Nieraz. Częściej, niż zdaje sobie z tego sprawę. Wiem, że czuje do ciebie coś, z czym nie bardzo umie sobie poradzić. Tak jak zapewne ty do niego, jeśli mogę się opierać na swojej intuicji.

Nie wiem, co powiedzieć. Kolejny raz jestem zaskoczona jej spostrzegawczością.

– Dziwisz się, że tak cię rozpracowałam? – Denise unosi wysoko jedną wąską, podkreśloną ołówkiem brew. Jej skóra wydaje się miękka i złocista w popołudniowym słońcu. – Nie dziw się. Gdybyśmy wszyscy więcej słuchali naszej intuicji, znacznie lepiej rozumielibyśmy świat.

– Chciałabym zrozumieć Marca – mówię. – Jestem zaskoczona, że rozmawiał o mnie. Naprawdę. On jest bardzo, bardzo… skomplikowany.

– Och, bez wątpienia – potwierdza Denise. – Właśnie dlatego jest tak wspaniałym aktorem. Ale wiele przeszedł, by to osiągnąć, tak jak i ty wiele przeszłaś, by móc stać się tak świetną aktorką.

– Nie uważam się za świetną aktorkę – mówię. – Nie jestem kimś tego kalibru, co Marc.

– Może nie, bo masz dwadzieścia dwa lata, ale za pięć lat pewnie będziesz, nie widzę powodu, dla którego miałoby być inaczej. Jesteś lepsza, niż był Marc w twoim wieku, a zaczynał wcześniej od ciebie. Został do tego zmuszony. Do aktorstwa… Mówił ci o tym?

– Opowiadał trochę o swoim ojcu – przyznaję. – Ale niezbyt wiele.

Denise kiwa głową i upija łyk herbaty.

– Biedne małe jagniątko.

Ja niemal krztuszę się herbatą. Jak ktokolwiek może tak myśleć o Marcu Blackwellu? Władczy, gniewny, stanowczy Marc Blackwell – biednym jagniątkiem? Doprawdy? A jednak… myślę o tym, jak łagodny staje się czasami jego głos, kiedy mówi o mnie z troską. I o tej historii z zapaleniem płuc.

– Dziwnie tak o nim myśleć – mówię, skręcając pasmo włosów. Drżę trochę w swoim swetrze i dżinsach; nie mam płaszcza, a na dworze jest zimno.

Denise kiwa głową.

– Kiedy go poznałam, wydawał się taki kruchy. Był oczywiście małym mężczyzną. Od początku do końca. Opiekował się rodziną. Zarabiał dla nich pieniądze. Chciał chronić siostrę przed ojcem. Ale był tylko delikatnym dzieckiem.

Myślę o filmie, który widziałam. Marc był wtedy młodszy. Wydawał się bardziej otwarty. Nie tak czujny. Bardziej skłonny zbliżać się do innych.

– Jego ojciec był potworem – ciągnie Denise. – Prawdziwym potworem. Aktor, który nie zrobił kariery, oczywiście. Grał w całym mnóstwie kiepskich filmów i seriali, i wcześnie zaczął zmuszać Marca do pracy. Zdecydowanie zbyt wcześnie. Kiedy ich poznałam, grałam na Broadwayu. Wiem, wiem. Broadway. Teraz nie przyszłoby ci to do głowy, ale wtedy naprawdę byłam kimś. Tak czy inaczej, Marc grał Olivera Twista, a ja Nancy. Był takim słodkim chłopczykiem, ale strasznie poważnym. Bardzo bał się ojca. Chłopiec w tym wieku nigdy nie powinien być obarczony tak wielką odpowiedzialnością.

Jego matka miała problemy ze zdrowiem i zmarła, kiedy był bardzo młody, więc

wzięłam go pod swoje skrzydła. Wspaniale było mieć go za syna. Jego ojciec nieraz usłyszał ode mnie, co o nim myślę. Bił go, jeśli nie dostał roli albo nie grał dość dobrze. Okropny człowiek. Pełen stłumionej złości, którą wyładowywał na swoim dziecku.

Kiedy Marc miał dwanaście lat, jego ojciec pojechał w interesach do Egiptu i zostawił mi go na kilka tygodni. Tygodnie zmieniły się w miesiące, a my z Markiem wspaniale spędzaliśmy czas. Dopilnowałam, żeby chodził codziennie do szkoły i żeby wieczorami i w weekendy mógł robić to, na co miał ochotę.

Często sam chciał grać w sztukach. Cóż, to było w porządku, o ile tylko był to jego wybór. Potem jego ojciec wrócił i rozpętało się piekło. Powiedział, że hamuję karierę jego syna. Że nie pozwalam mu realizować ambicji.

Dostałam akurat rolę w Londynie i zapytałam Marca, czy nie chciałby zamieszkać ze mną w Anglii. Chciał, ale jego ojciec na to nie pozwolił. Powiedział, że Los Angeles to dla niego najwłaściwsze miejsce. Więc go tam zatrzymał. A Marc, kiedy skończył szesnaście lat, opuścił dom i sam zaczął realizować swoje marzenia.

Wtedy był już znany z tego, że jest wspaniałym młodym talentem i że ma najgorsze huśtawki nastrojów w całym tym biznesie.

Ciągle byliśmy w kontakcie. Dzwonił do mnie w każdą niedzielę, mówił o rolach, jakie grał, i wspaniałych miejscach, które przy okazji zwiedzał.

Potem wybudował tą akademię, żeby wspierać inne młode talenty i ku memu zdumieniu zaproponował mi stanowisko wykładowcy. Cieszę się, że mam go tu, w Londynie. To jest jego miejsce. Dorastał w Anglii, wiesz? W Londynie.

Kiedy tu wrócił, zakochał się w tym mieście od nowa. Myślę, że Londyn przypomina mu matkę. Kupuje tu nieruchomości, gdzie tylko się da – chyba chce tu osiąść. Zapuścić korzenie. Dlatego najpierw kupił tą akademię. Deweloperzy chcieli zrównać go z ziemią, a on nie mógł znieść myśli, że coś, co tak długo stało w tym miejscu, zostanie zniszczone.

– Nie miałam o tym wszystkim pojęcia – odzywa się. – Nie wiedziałam, że miał takie trudne życie.

– Tobie też nie było lekko – zauważa Denise.

– Ale to nieporównywalne… nie, mnie nie było tak źle. Nie tak naprawdę.

– Cóż. – Denise splata palce dłoni. – Jeśli się nie mylę, ty i Marc zbliżacie się do siebie. Nie popieram tego, ale i nie potępiam. Oboje jesteście dorośli. Chcę cię tylko zapytać, czy jesteś szczęśliwa w związku, który w tej chwili ukrywacie przed innymi? Czy naprawdę tego właśnie dla siebie chcesz?

Kręcę głową i czuję, że po twarzy spływają mi łzy.

– Nie – mówię szeptem. – Ale zdaje mi się, że nie mam wyboru. Nie chcę, żeby Marc przestał tu uczyć. Zaproponował, że to zrobi, ale nie wybaczyłabym sobie, gdyby z mojego powodu stracili go wszyscy studenci.

Nikt nie planuje takiego związku. Prawdę mówiąc, nie nazwałabym tego nawet związkiem. Ale jestem w tym już i teraz nie ma odwrotu. Muszę iść dalej. Pewnie zaangażuję się w to do końca i w rezultacie zostanę zraniona.

– Zdaje się, że wpadłaś w to po uszy – zauważa Denise.

– Tak – przyznaję.

– Będziesz musiała podjąć kilka trudnych decyzji – stwierdza Denise i obejmuje mnie

ramionami. Pachnie mydłem i herbatą rumiankową. – Jesteś dorosłą kobietą, więc sama zdecydujesz. Chcę tylko, żebyś wiedziała o jednym: zawsze tu jestem, jeśli będziesz mnie potrzebować.

– Dziękuję – mówię, uśmiechając się przez łzy. – Bardzo dziękuję.

Rozdział 43

Rozstając się z Denise, czuję się już lepiej. Lżej. Ale myślę też o tym, co powiedziała, zwłaszcza na temat ukrywania związku.

Przed akademią czekają na mnie Tanya i Tom.

– Wszystko w porządku, Soph? – pyta Tom. – Baliśmy się, że wpadłaś w jakieś kłopoty z nauczycielem.

Jego wózek stoi częściowo na ścieżce, a częściowo na trawie, więc przesuwam go, żeby się nie przewrócił.

– Nie, wszystko w porządku – mówię. – Naprawdę.

– Świetnie. A więc jesteś gotowa na jutrzejszy wyjazd do teatru?

– Na co? – pytam.

– Do Globe. Wyjazd studencki.

– Naprawdę? Mamy wycieczkę? Tak szybko?

– Tak jest napisane w harmonogramie, który dostaliśmy na początku – mówi Tom, wyciąga z plecaka dziennik i przerzuca kartki. – Ale sprawdzę jeszcze raz. A, nie, nie jutro. Pojutrze. Po południu. Spotykamy się w kampusie i jedziemy tam minibusem, który należy do akademii.

– Zawsze chciałam zobaczyć Globe – podniecam się. – Brzmi to świetnie.

Ale najpierw będę musiała zjeść kolację z Markiem Blackwellem.

– Więc o czym rozmawiałyście z Denise? – pyta Tanya.

Patrzę na nią, a potem na Toma. Oboje są takimi dobrymi ludźmi. Nie chcę ich okłamywać. Myślę o tym, co Denise mówiła o tajemnicach, i o tym, czy chcę tak żyć.

– Chciała pomówić ze mną o… o kimś, z kim się spotykam.

– O kimś, z kim się spotykasz? – Tom wyciąga z plecaka torebkę chipsów i otwiera ją. – Chrupkę serową?

– Nie, dziękuję – odpowiadam.

– Spotykasz się z kimś? – pyta Tanya. – Z kim?

– Cóż, z kimś… z kim nie powinnam. Kimś trochę starszym ode mnie.

– Starszy mężczyzna? Od kiedy? Chcę wiedzieć absolutnie wszystko!

– Jaki jest w łóżku? – pyta Tom, unosząc znacząco jedną brew.

Śmieję się.

– Nie wiem, naprawdę. W każdym razie nie jestem pewna. Tylko raz poszliśmy do łóżka.

– Tylko raz? – mówi Tom. – Więc co to za seks?

– Tom! – Tanya patrzy na niego groźnie. – To, że ty masz na tym punkcie obsesję, nie znaczy jeszcze, że wszyscy ją mają. Ona może w ogóle jeszcze nie uprawiała z nim seksu. – Tanya odwraca się do mnie. – Uprawiałaś?

– Nie wiem, czy można to tak nazwać. W każdym razie to nie jest zwykły seks.

Oczy Toma rozbłyskują.

– Ho, ho! Brzmi ekscytująco. Opowiedz nam coś więcej.

– To… to niezwykły seks – przyznaję. – Dziwny. Bardzo podniecający, ale dziwny. On o wszystkim decyduje. Ja nie mogę nic zrobić ani nawet go dotknąć, jeśli mi na to nie pozwoli.

– To jakiś seksistowski drań – orzeka Tanya.

– Co kto lubi, Tanyu – stwierdza Tom. – Jeśli Soph to odpowiada, kim jesteśmy, żeby ją osądzać?

– Nigdy nikogo takiego nie znałam – mówię. – Nigdy nic takiego do nikogo nie czułam. Ale… jakaś część mnie każe mi uciekać. To nie wydaje się zdrowe.

– Ale kto to jest? – pyta Tanya. – Znamy go?

Wysuwam do przodu dolną wargę.

– To… nie mogę wam powiedzieć, kto to jest.

– Dlaczego? Jest żonaty czy coś w tym rodzaju? – dopytuje Tanya.

– Coś w tym rodzaju. Powiedzmy, że to zakazane, że nie powinniśmy się spotykać. Nikomu nie możemy powiedzieć, co się dzieje.

– Założę się, że dlatego właśnie to wszystko jest jeszcze bardziej podniecające, co? – mówi Tom i nachyla się, żeby poklepać mnie po udzie.

Oblewam się rumieńcem.

– Tak. To strasznie podniecające, prawdę mówiąc. Ale… to oznacza też, że właściwie nie jest to związek. Jeśli jesteś w prawdziwym związku, nie musisz się z tym kryć. I partnerzy są mniej więcej równi. Ale on… on o wszystkim decyduje. Prawdopodobnie powinnam odejść, ale trudno mi znieść myśl, że to, co mamy, mogłoby się skończyć. Rozumiecie? Naprawdę się zakochałam.

– Rzuć go – mówi Tanya, biorąc garść chrupek od Toma. – Żaden mężczyzna nie powinien cię kontrolować. Im szybciej to skończysz, tym będzie to łatwiejsze.

– Ale myślę, że może gdyby udało mi się do niego bardziej zbliżyć, otworzyć go trochę…

– Poznasz jeszcze wielu mężczyzn – mówi Tanya.

– Ale nie takich. Nigdy nikogo takiego nie spotkałam. – Na myśl o rozstaniu z Markiem czuję się taka pusta. Po prostu nie mogę tego znieść.

– Nie wiem, czy dałabym radę odejść – szepczę. – Chcę więcej. A jeśli tego nie dostanę, zawsze będę się zastanawiała, jak by to było, gdyby…

– Tak właśnie działają mężczyźni tego pokroju – upiera się Tanya. – Zawsze będą ci zostawiali poczucie niedosytu. Zawsze. Odejdź, zanim stanie się to jeszcze trudniejsze.

Kiwam głową, ale Tom dotyka lekko mojego ramienia.

– Soph, kochanie. Chcesz poznać opinię faceta na wózku?

– Tak, proszę.

– Wiesz, ile miałem kobiet? – pyta Tom.

Kręcę głową.

– Żadnej. Rozmawiam z dziewczynami online, wchodzę na strony dla niepełnosprawnych i mam wirtualne związki, ale w takim prawdziwym nigdy nie byłem. Ani razu. I wiesz co? Pewnie nigdy nie będę.

– Och, Tom – wzdycham. – Tak mi przykro. To takie nietaktowne z mojej strony, że…

– Nie, nie, nie. – Tom tylko macha ręką. – Nie potrzebuję współczucia. Nie o to proszę. Chcę tylko powiedzieć, że dałbym wszystko, żeby być na twoim miejscu. Żeby znaleźć się na krawędzi miłości czy żądzy, czy co tak właściwie czujesz, i skoczyć w to, nie myśląc o tym, jak będzie bolał upadek. Żeby móc zaryzykować i sparzyć sobie palce. Za to właśnie oddałbym wszystko. W życiu o to chodzi, żeby sobie parzyć palce. Więc korzystaj z każdej sposobności, bo pewnego dnia możesz już nie mieć okazji. Kto będzie chciał z tobą spać, kiedy staniesz się już stara i brzydka?

– Wielkie dzięki – mówię i żartobliwie uderzam go w nogę.

– Au! – Tom krzywi się teatralnie. – Zakończenia nerwowe ciągle działają, rozumiesz? Tak czy inaczej, to właśnie jest moja rada. Skacz na głęboką wodę. Jestem pewny, że nie utoniesz. A nawet jeśli wszystko pójdzie nie tak, jak byś chciała, wyjdziesz z tego silniejsza. Tylko cokolwiek zdecydujesz się robić, nie zajdź w ciążę.

Uśmiecham się i po raz pierwszy od wielu dni czuję, że pokazuję przy tym zęby. Ściskam Toma mocno, miażdżąc przy okazji chrupki o jego pierś i strącając mu kapelusz na ziemię.

– Chyba na taką radę czekała – rzuca Tanya z uśmiechem i podnosi kapelusz.

Rozdział 44

Kolacja z Markiem Blackwellem. Kolacja z Markiem Blackwellem. Chodzę tam i z powrotem po swojej wielkiej garderobie i czuję, że nie mam co na siebie włożyć.

Wyciągnęłam już wszystkie sukienki i wyłożyłam je na łóżku. Dzięki Bogu, że poszłam z Jen na zakupy, kiedy dostałam stypendium. Zmusiła mnie, żebym kupiła też wyjściowe ciuchy i dała mi radę swojej mamy: kup to, a okazja na pewno się pojawi. Cóż, pojawiła się. I nic nie wydaje się na nią odpowiednie.

Analizuję każdy strój pod każdym względem, od wrażenia, jakie w nim zrobię (pewna siebie? zdesperowana? pruderyjna?), przez to, na ile dobrze w nim wyglądam, aż po buty, jakie mogłabym do niego założyć… Doprowadzam się do szaleństwa.

Dzwonię do Jen przez Skype'a i podnoszę do góry różne zestawy. Jen się śmieje, kiedy zbliżam kamerę do garderoby, w której nie zostały już prawie żadne ubrania.

– Zdaje się, że wywaliłaś wszystko na podłogę – mówi.

– To nie jest śmieszne – mówię, chociaż nie potrafię powstrzymać uśmiechu. – Pomóż mi, proszę.

– Może to za duża sprawa dla nas obu – mówi Jen. – Rozumiesz, to Marc Blackwell, Sophio. To wszystko jest trochę szalone, nie uważasz? Myślałam o tym i… sama nie wiem. On nigdy oficjalnie nie miał dziewczyny, a to, że zabiera się do jednej ze swoich młodszych studentek…

– Jest tylko kilka lat starszy ode mnie – zauważam.

– Tak czy inaczej… w porządku. Słuchaj, normalnie próbowałabym wybić ci coś takiego z głowy. Wiesz, że zwykle można z tobą zrobić, co się tylko zechce.

Śmiejemy się obie. Prawdę mówiąc, tam gdzie w grę wchodzą rzeczy, które naprawdę się dla mnie liczą, wcale nie można ze mną zrobić wszystkiego, ale Jen może mówić o mnie, co chce. Wiem, co ma na myśli. Że jestem ugodowa. Nie lubię się kłócić.

– W każdym razie – ciągnie Jen – już z tego, jak o tym mówisz, widzę, że głęboko w to zabrnęłaś. I nie mogę powiedzieć, że ci się dziwię. Więc pomogę ci, żebyś wyglądała na kobietę seksowną, pewną siebie i panującą nad swoim życiem.

– Przy nim to raczej trudne – mruczę.

– Cóż, spróbujemy – postanawia Jen. – Ta czerwona sukienka… podnieś ją.

– Ta? – Podnoszę czerwoną sukienkę do połowy uda. Z dekoltu spływa luźno czerwony jedwab, jak wodospad, a przy biuście jest przyszyta czerwona róża. Sukienka jest mocno dopasowana, bez ramiączek i wygląda na bardzo kosztowną. – Nadaje się raczej na czerwony dywan.

– Właśnie – zgadza się Jen. – Pewna siebie. Seksowna. Nie będzie wiedział, co dokładnie zrobiło na nim wrażenie. Ale trzeba ją trochę przełamać butami. Botki będą doskonałe. I włóż jakiś duży naszyjnik, żebyś nie czuła się za bardzo rozebrana. Ten ze srebrnych monet.

– No dobrze – mówię, wyciągając naszyjnik z garderoby. Wkładam wszystko i patrzę do lustra.

– Rany – wzdycha Jen, kiedy staję przed kamerą. – Jeśli on nie wybierze cię na swoją dziewczynę, ja to zrobię.

Śmieję się.

– Mówisz, jak prawdziwa przyjaciółka.

– A gdzie właściwie jest jego dom? – pyta Jen.

– Nie mam pojęcia.

– Więc jak się tam dostaniesz?

– Nie mam pojęcia. Marc napisał do mnie wcześniej sms, że mam pójść przez park pod bramę kampusu i tam czekać.

– Cóż za dżentelmen – mówi Jen. – Lepiej, żeby dobrze się tobą opiekował, bo będzie miał ze mną do czynienia.

Rozdział 45

W końcu wybieram strój, w którym czuję się najlepiej – szare dżinsy, czarny sweter oversize i srebrną biżuterię. Wkładam małe błyszczące kolczyki i srebrny łańcuch z różowym kwarcem.

Na dworze jest zimno, kiedy stoję przy bramie i patrzę na przejeżdżające samochody. Przyszłam przed czasem, jak zawsze, i drżę w swoim swetrze. Żałuję, że nie mam płaszcza, ale kiedy wybierałam się z Jen na zakupy, nie było jeszcze kolekcji zimowych, a nie chciałam wkładać swojej starej kurtki.

Tak jak główne wejście na kampus, brama wjazdowa jest z kutego żelaza, gotycka i piękna. Gdybym nie była zdenerwowana, na pewno bym się nią zachwycała. Ale jestem zdenerwowana.

Znowu patrzę na zegarek.

Na drodze widzę długą, czarną limuzynę. Migacz zaczyna mrugać, kiedy zbliża się do akademii i zaczyna zwalniać.

Czy to po mnie?

Patrzę zdumiona, jak limuzyna zatrzymuje się przed bramą.

Szyba tylnego okna opada i w oknie pojawia się twarz Marca.

– Sophia. – Otwiera drzwiczki. – Wsiadaj.

Pochylam głowę i wsiadam do samochodu, zamykając za sobą drzwiczki.

Marc siedzi w środku na skórzanym siedzeniu, ze skrzyżowanymi nogami, i patrzy na mnie. Ma na sobie prosty czarny podkoszulek, czarne dżinsy i trochę podniszczone buty motocyklowe. Jedną stopę opiera na kolanie. Jego usta się nie uśmiechają, ale oczy tak.

Siadam na skórzanym siedzeniu naprzeciw niego i kładę ręce na kolanach. Zauważam barek oświetlony żółtymi lampkami i płaski ekran telewizora. W limuzynie jest ciemno i pachnie skórą.

Marc sięga do barku. Otwiera puszkę z tonikiem i nalewa go do szklanki z lodem i cytryną.

– Proszę – mówi, podając mi drinka. – Za wcześnie jeszcze na szampana.

Patrzę na musujący napój i myślę: czyżby?

– Myślę, że można dodać trochę dżinu – mówię i Marc, o dziwo, wyciąga z barku butelkę gordonsa i wlewa odrobinę do mojej szklanki. Upijam duży łyk.

– Ty nie pijesz? – pytam.

Marc rzuca mi jedno z tych swoich głębokich, przeciągłych spojrzeń, a ja ściskam szklankę mocniej, czując jej chłód na palcach.

– Jeszcze nie.

Samochód rusza i widzę przez przyciemnione szyby malejący za nami budynek akademii.

– Jak ci się podobały zajęcia ze śpiewu? – pyta Marc.

– Bardzo – mówię. – Polubiłam Denise. Rozmawiała ze mną dzisiaj. O tobie.

– Naprawdę? – Marc unosi jedną brew. – Nic jej nigdy nie umknie. – Wygląda przez okno. – Pamiętam, że kiedy byłem nastolatkiem, zdumiewało mnie, jakie rzeczy o mnie wiedziała.

– Och, naprawdę? – Unoszę teatralnie jedną brew. – Jakie rzeczy?

Marc się uśmiecha; jego kości policzkowe wydają się ostre i niebezpieczne.

– Najróżniejsze. Nie byłem najgrzeczniejszym z nastolatków.

– Jak ja się tego domyśliłam? – rzucam, uśmiechając się szeroko. – Mnie powiedziała wiele rzeczy, których o tobie nie wiedziałam. O tym, jak dorastałeś.

Uśmiech znika z twarzy Marca.

– Nie było to najlepsze wychowanie. Gdyby nie Denise, naprawdę mógłbym zejść na złą drogę. Jednym z powodów, dla których tak kocham Londyn, jest to, że ona tu mieszka.

Samochód jedzie teraz Oxford Street; widzę tłumy ludzi, którzy usiłują zajrzeć do limuzyny, kiedy zatrzymujemy się na światłach.

– Czy oni nas widzą? – pytam.

Marc kręci głową.

– Niczego nie mogą zobaczyć. Te szyby są tak specjalnie pomyślane. – Nachyla się do mnie bliżej. – Cieszę się, że tak dobrze układa ci się z Denise. Zdaje się, że nie jestem jedynym nauczycielem, który jest z ciebie bardzo zadowolony. Czy powinienem być zazdrosny? – Uśmiecha się znowu, a ja cała od środka topnieję.

– Może – mówię. – Denise jest znacznie bardziej otwarta niż ty.

– Ach. – Marc odchyla się na skórzane oparcie, które skrzypi pod ciężarem jego ciała. – Otwartość. Nie mam z nią dobrych doświadczeń.

– Przykro mi to słyszeć.

Marc bierze do ręki wisior z różowego kwarcu, który mam na szyi.

– Podoba mi się to. Podkreśla kolor twoich oczu.

– To różowy kwarc – oznajmiam. – Kamień miłości. Noszę go, kiedy chcę się czuć bezpieczna i chroniona.

– A przy mnie się tak nie czujesz?

– Czuję. Ale przy tobie czuję się też zdenerwowana.

Marc wyjmuje szklankę z dżinem z tonikiem z mojej ręki i stawia ją na stoliku z drewna orzechowego. Potem bierze mnie za ręce.

– Nie powinnaś się denerwować.

– Czasami mam wrażenie, że powinnam być chroniona przed tobą – przyznaję. – To wszystko jest takie… intensywne.

Podoba mi się dotyk jego dłoni na moich.

– Ale ufasz mi?

– Ufam.

– A jednak masz przy mnie zahamowania.

Kiwam głową.

– Tak. Przy tobie czuję tak wiele rzeczy. Trudno mi się odprężyć i być do końca sobą.

Marc kładzie dłonie na moich kolanach i odwraca twarz do okna.

– Ten samochód stwarza możliwości, żeby nauczyć się czegoś o zahamowaniach i zaufaniu, nie sądzisz?

– Naprawdę? – Sięgam po dżin i nerwowo upijam łyk. – Jak to?

– Wszyscy ci ludzie, którzy próbują zajrzeć do środka. Sprawiają wrażenie, jakby nas widzieli, prawda?

Kiwam głową.

– Jesteś pewien, że nie mogą?

– Sophio. Czy myślisz, że jeździłbym limuzyną, do której każdy może zajrzeć? I obwoziłbym cię nią po Londynie? Ze mną będziesz bezpieczna, a to znaczy, że bezpieczna będzie też twoja reputacja. Nikt się nie dowie, że spędzasz ze mną czas poza zajęciami. Chyba że zechcesz, by się dowiedzieli.

– W tej chwili nie chcę – mówię. – Wolę, żebyś został na uniwersytecie. Nie chcę, żeby inni studenci byli pozbawieni twoich wykładów.

– Chcę tylko, żebyś wiedziała… – mówi Marc. – Jeśli zacznie ci to ciążyć, to, że się ukrywamy, w każdej chwili mogę przestać uczyć. Wystarczy, że mi o tym powiesz.

– Jak już mówiłam, nie mogę tego zrobić innym.

– Rozbierz się – rozkazuje Marc.

Ręce podskakują mi do piersi.

– Mówisz poważnie?

– Absolutnie. Wydałem ci polecenie. Zdejmij ubranie.

– Ty naprawdę mówisz poważnie? Chcesz, żebym zdjęła ubranie tutaj, w tym samochodzie?

– Wszystko, co masz na sobie. Tutaj, teraz.

– Ale wydaje mi się, że ci ludzie mnie widzą.

– Zgadza się – przytakuje Marc. – I to właśnie miałem na myśli, kiedy wspomniałem o nauce porzucania zahamowań. Traktuję twoje lekcje bardzo poważnie. A teraz rób, co ci powiedziałem, bo inaczej znowu cię związę i wychłoszczę trzciną.

Na sam dźwięk tych słów ogarnia mnie podniecenie i nie jestem pewna, czy mi się to podoba. Zawsze uważałam się za normalną dziewczynę, która ma normalne potrzeby. Ale Marc otworzył przede mną cały nowy świat emocji, z którymi nie całkiem dobrze się czuję.

– No, już – rzuca Marc.

Rozdział 46

Odstawiam drinka i zaczynam zdejmować sweter, powoli, w nadziei, że Marc zmieni zdanie.

– Szybciej, Sophio. Jeśli się nie pospieszysz, w domu czeka na ciebie pantofel.

Zdejmuję sweter, a potem buty i skarpetki. Później powoli zsuwam dżinsy i podkoszulek.

Widzę twarze turystów i ludzi na zakupach, którzy gęstym tłumem suną Oxford Street, i przez chwilę mam ochotę znowu się ubrać. Ale ufam Marcowi, kiedy mówi, że oni nie mogę mnie zobaczyć.

– Bieliznę też – nakazuje, odchylając się na oparcie i nalewając sobie whisky z wodą

sodową z barku. Szklanka jest z rżniętego kryształu i lśni w świetle żółtych lampek.

Rozpinam stanik i zdejmuję majtki. Robię to szybko, jakbym skakała do basenu z zimną wodą. Wydaje mi się, że im szybciej to zrobię, tym mniej będzie to bolesne. Ale teraz, kiedy siedzę na chłodnej skórze zupełnie naga, czuję się bardziej obnażona niż kiedykolwiek.

Limuzyna zatrzymuje się na kolejnych światłach i więcej ludzi zagląda do wnętrza. Nastoletni chłopcy. Turyści, pary – mam wrażenie, że ludzie wszelkich typów i zawodów patrzą na moje nagie ciało.

– Wydaje mi się, że oni wszyscy mnie widzą – szepczę, obejmując się ramionami.

– Może widzą – mówi Marc, odstawiając szklankę. – Ufasz mi, Sophio? Kiedy mówię, że nas nie widzą, czy mi wierzysz?

Kiwam głową.

– Wierzę. Ale czuję się tak, jakby… jakby widzieli.

– Kiedy reżyser prosi cię, żebyś coś zrobiła, może to być wbrew twojemu instynktowi. Ale musisz mu zaufać, wierzyć, że wie, co robi. Co więcej, jest to też lekcja występowania przed wieloma ludźmi naraz. To właśnie będziesz musiała robić, Sophio, jeśli chcesz odnieść sukces jako aktorka.

– Nie wszystkie aktorki się rozbierają.

– Tu nie chodzi o nagość – tłumaczy Marc. – Tu chodzi o obnażanie duszy. Pokazywanie wszystkiego, co jest tutaj. – Przykłada do piersi zaciśniętą pięść. – Dobry aktor zawsze całkowicie nad sobą panuje, ale jest absolutnie obnażony. Dlatego właśnie to taki trudny zawód. Pokazywać duszę milionom ludzi, nie tracąc przy tym siebie. Jesteś naprawdę doskonałą aktorką, ale zahamowaną. Chcę pomóc ci przedrzeć się przez tę ostatnią granicę, żebyś mogła pokazać światu, do czego jesteś zdolna.

Patrzę na przechodniów i z każdą chwilą moja nagość wydaje mi się mniej ważna.

– A teraz – zaczyna Marc – odwróć się twarzą do okna.

Odwracam się, wiedząc, że teraz on patrzy na mój tyłek. Wyglądam przez okno, patrząc na powoli mijane sklepy. Ciągle panuje duży ruch; zatrzymujemy się i ruszamy, zatrzymujemy się i ruszamy.

– Chcę, żebyś przycisnęła piersi do szyby – mówi Marc.

– Co?

– Rób, co mówię, Sophio.

– Ale wtedy wszyscy zobaczą…

– Nikt niczego nie zobaczy. Tak się tylko wydaje.

Niechętnie pochylam się do przodu i przyciskam piersi do zimnej szyby. Jest lodowata, na piersi i ramionach natychmiast występuje mi gęsia skórka.

Czuję, jak Marc rozszerza mi nogi, i widzę opakowanie po prezerwatywie, które spada na siedzenie.

– Co ty robisz? – szepczę.

Słyszę, jak rozpina spodnie, i czuję długie palce na wewnętrznej stronie ud. Rozchyla mi nogi jeszcze bardziej.

– Nie tu, nie w samochodzie – mruczę. – Proszę.

Marc kładzie mi palec na ustach.

– Pozwól, żebym cię czegoś nauczył. Pomógł ci stać się lepszą.

Przysuwa się bliżej i czuję, jak mnie dotyka.

– Marc…

Wchodzi we mnie trochę, a ja jęczę, czując, jaki jest wielki.

Powoli wchodzi we mnie coraz głębiej, aż w końcu jestem jak schwytana w pułapkę, wciśnięta między niego i szybę samochodu.

– Patrz na ulicę, Sophio. Ci wszyscy ludzie zaraz zobaczą, jak masz orgazm.

– Marc, nie. Powiedziałeś, że…

Marc zaczyna poruszać się w przód i w tył. Słowa zamierają mi na ustach.

– Wiem, co powiedziałem, ale co by było, gdyby jednak mogli cię widzieć? Jak byś się z tym czuła?

– Bardzo źle – jęczę i zaczynam poruszać biodrami w tym samym rytmie. – Nie chciałabym, żeby mnie widzieli.

– Więc chcesz, żebym przestał?

– Nie przestawaj. – Słyszę własny głos, a Marc wchodzi we mnie jeszcze głębiej.

– Odpręż się – szepce Marc, poruszając się we mnie. Sięga ręką do przodu i zaczyna pocierać, najpierw powoli, potem szybciej.

– Och – jęczę, kiedy dojeżdżamy do końca Oxford Street.

– Oni wszyscy cię widzą, Sophio. Wszyscy zobaczą, jak masz orgazm. Czy chcesz, żebym przestał?

– Nie – mówię.

– Więc chcesz, żebym pieprzył cię mocniej?

– Tak.

– Tak, sir.

Porusza się coraz mocniej, przyciskając mnie do zimnej szyby. Jest bezwzględny, trzyma mnie w żelaznym uścisku i wchodzi za każdym razem głębiej, aż wszystkich tych ludzi za oknem samochodu zaczyna spowijać mgła.

– Nie obchodzi mnie to. – Słyszę swoje słowa. – Nie obchodzi mnie, czy mnie widzą. Nie przestawaj. Proszę, nie przestawaj.

Marc obejmuje mnie mocno w pasie i wchodzi we mnie do końca.

Krzyczę z rozkoszy i szczytuję w chwili, kiedy mijamy Marble Arch. Fale przyjemności przeszywają całe moje ciało, zaczynając od miejsca, w którym tkwi Marc, ciągle jeszcze twardy. Wychodzi ze mnie, a ja opadam na skórzane siedzenie.

Marc wciąga spodnie, a potem rozmasowuje moje zimne piersi, aż wraca krążenie. Pomaga mi włożyć ubranie.

Kiedy jestem już ubrana, siadam i wbijam wzrok w okno. W końcu mówię:

– Okłamałeś mnie.

Marc kręci głową.

– Nie okłamałem.

– Okłamałeś. Powiedziałeś, że nikt nie może mnie zobaczyć. A potem sprawiłeś, że poczułam się tak, jakby jednak było to możliwe. Zatrzymaj samochód. Chcę wysiąść.

– Jeśli chcesz wysiąść, pozwól przynajmniej, żebym odwiózł cię do akademii. Ale posłuchaj, nikt nie mógł cię zobaczyć, Sophio.

– Wywołałeś wrażenie, że jest inaczej.

– Tylko dla twojego dobra. Zaufaj mi. Robię to tylko w twoim interesie. To małe doświadczenie ci pomoże. Wierz mi. Wyobraź sobie, jak teraz byś się czuła, gdybyś musiała zagrać rolę uwodzicielki.

Zastanawiam się nad tym. W porównaniu z tym, że przed chwilą mogli mnie oglądać wszyscy ludzie na Oxford Street, zagranie kogoś w rodzaju Jennifer nie wydaje się już takim problemem.

– Nadal nie podoba mi się, że to zrobiłeś – mówię. – Czuję się oszukana. Zmanipulowana. Powiedziałeś mi to, kiedy byłam zupełnie bezbronna.

– Bezbronna? – Marc unosi jedną brew. – Tak to nazywasz?

– Kiedy nie mogłam powiedzieć „nie”.

– Mogłaś powiedzieć „nie” w każdej chwili – stwierdza Marc. – Ale nie chciałaś. Jeśli nie masz nad sobą kontroli, może przydałaby ci się jeszcze lekcja na ten temat.

Myślę o sznurach i archiwum i przeszywa mnie dreszcz. Wtedy było to torturą, ale teraz, ilekroć sobie to przypominam, robi mi się na przemian gorąco i zimno.

Chciałabym, żeby mnie objął albo wziął za rękę. Albo pocałował. Mam ochotę usiąść obok niego, ale instynkt podpowiada mi, żebym tego nie robiła. Pociągam długi łyk dżinu z tonikiem.

– Czeka mnie cudowna zabawa z tobą u mnie w domu – mówi Marc, wyciągając ramiona wzdłuż oparcia skórzanego siedzenia. – Tyle rzeczy, których trzeba cię nauczyć, a tak niewiele czasu.

Rozdział 47

Może nie chcę się już dzisiaj uczyć – mówię, ciągle zła, że tak mnie upokorzył.

– Och, chcesz.

Kręcę głową.

– Myślę, że już bardzo dużo się się nauczyłam.

– Doskonale – mówi Marc. – Powiedz jedno słowo, a zawrócimy i odwiozę cię do akademii. Albo, jeśli wolisz, wezwę ci taksówkę. Co tylko chcesz.

– Zraniłeś mnie – mówię, czując łzy pod powiekami.

Marc z niepokojem marszczy brwi. Pochyla się do mnie.

– Sprawiłem ci ból? W sposób, który ci się nie podoba?

Zastanawiam się przez chwilę.

– Czuję się upokorzona – mówię. – Więc tak, na poziomie emocjonalnym zraniłeś mnie.

– Zażenowanie to nie to samo co zranienie – tłumaczy Marc, a jego głos brzmi niemal łagodnie. – Zażenowanie to rodzaj blokady. Nie pozwala ci naprawdę odpuścić. Pomagam ci to przepracować. Posłuchaj. Zjemy kolację. To wszystko, dobrze? Do czasu, aż

będziesz gotowa. Daję ci słowo, że nic więcej nie będziemy dzisiaj robili.

Myślę o tym przez chwilę.

– Dobrze – zgadzam się. Wytrzymam kolację, choć ciągle czuję się bezbronna i obolała.

– Ale zranisz mnie? – pytam. – W końcu?

– Nie – odpowiada Marc.

– Myślę, że to zrobisz – stwierdzam, patrząc w okno.

– Och, Sophio, jak bardzo się mylisz – mówi Marc cicho. – To ja zostanę zraniony. Wiem o tym od samego początku.

Siedzimy w milczeniu, podczas gdy limuzyna sunie długimi, szerokimi ulicami, przy których stoją stare, trzypiętrowe domy. Wzdłuż chodników rosną wielkie dęby.

– Wiesz, gdzie jesteśmy? – pyta Marc.

Kręcę głową.

– W Richmond – mówi. – To moja ulubiona dzielnica Londynu.

Widzę, jak stalowa brama przed jednym z domów rozsuwa się i samochód zjeżdża w dół do wielkiego garażu w podziemiach.

Słyszę szuranie stóp po asfalcie, a potem kierowca otwiera drzwiczki po naszej stronie.

– Ty pierwsza – zaprasza Marc, pomagając mi wysiąść.

Nie jestem w stanie spojrzeć na kierowcę. Czy on wie, co się właśnie stało na tylnym siedzeniu? Nie chcę nawet o tym myśleć.

Na szczęście kierowca nie zostaje długo. Wymienia kilka zdań z Markiem, mówi, że przyjedzie później, a potem znika za drzwiami na tyłach.

Marc prowadzi mnie obok pięciu nieprawdopodobnie lśniących samochodów, które są pewnie bardzo kosztowne. Nie wiem nic o samochodach, ale zauważam, że jeden jest żółtym kabrioletem, tak kanciastym, że można się chyba o niego skaleczyć. W ogóle nie pasuje do Marca i zastanawiam się, czy do niego należy.

– Czy to twój samochód? – pytam.

Marc zatrzymuje się i patrzy na mnie.

– Nie – mówi powoli. – Dlaczego pytasz?

– Nie pasuje do ciebie – odpowiadam.

– Nie pasuje?

– Tak. – Kiwam głową. – Tamten – wskazuję na beżowego rolls-royce'a – tamten pasuje. I tamten. – Pokazuję czarnego jaguara. – Więc czyj jest ten żółty?

– Należał do mojego ojca – rzuca Marc, wchodząc po schodach i otwierając skrzypiące drewniane drzwi.

– Do twojego ojca? Myślałam… myślałam, że nie układa ci się z ojcem za dobrze.

– Nie układa.

– Więc dlaczego…

– Trzymaj wrogów blisko, czy nie tak to się mówi? – Marc nie patrzy na mnie, kiedy odpowiada, a ja czuję, że z tym samochodem wiąże się dużo więcej, niż chce pokazać. – Chodź za mną.

Idę i po chwili znajduję się w holu jego londyńskiego domu. Podłoga jest z białego marmuru, na schodach leży dywan w kolorze głębokiej czerwieni.

Dom jest wspaniały, ale sprawia wrażenie pustego. Nie ma żadnych roślin. Zawsze wydaje mi się, że rośliny wnoszą do wnętrz życie. Na ścianach wiszą zdjęcia historycznych budowli londyńskich – Big Ben, Parlament, katedra Świętego Pawła, i oczywiście Akademia pod Bluszczem.

– Lubisz Londyn – stwierdzam.

– Kocham – odpowiada. – Czuję się tu jak w domu. Budynki, historia. Dla mnie to zdumiewające, po tym jak mieszkałem tak długo w Los Angeles, że budynki mogą stać w jednym miejscu setki lat. Uwielbiam na nie patrzeć. – Zatrzymuje się przy zdjęciu Akademii pod Bluszczem. – Zakorzenione. Od tak dawna. Domyślam się, że ty dlatego tak lubisz rośliny.

Uśmiecham się.

– Lubię rośliny, ponieważ są żywe i reagują. Możesz się nimi opiekować, odżywiać je. Jak często się tu zatrzymujesz?

– Ilekroć jestem w Londynie – mówi Marc.

– Dom jest piękny, ale nie sprawia wrażenia, że ktoś w nim mieszka – zauważam. – Chyba często cię tu nie ma.

– Prawdę mówiąc, odkąd założyłem akademię powiedziałbym, że wręcz przeciwnie – oponuje Marc. – Zwłaszcza w tym roku. – Patrzy na mnie. – Musiałem przemyśleć wiele spraw, a wolę to robić w samotności.

– Panie Blackwell, to pan? – Słyszę kroki na marmurowej podłodze. Szczupły mężczyzna w różowym swetrze, białych spodniach i kwiecistym fartuszku wchodzi do holu. Ma krótkie czerwone włosy i jest w wieku mojego ojca.

– A, Rodney. Poznaj, proszę, mojego gościa, pannę Rose. Panno Rose, to jest Rodney, mój kamerdyner.

– Usłyszałem samochód – mówi Rodney. – Wszystkie potrawy czekają już na tarasie. Proszę na górę. – Patrzy na mnie. – Proszę się nie bać. – Mruga jednym okiem. – Bardziej szczeka, niż gryzie. Przerażał mnie, kiedy zaczynałem dla niego pracować, ale tak naprawdę ma miękkie serce.

Ku memu zdumieniu klepie Marca po ramieniu.

– Wrócę jutro, żeby wszystko posprzątać. Życzę miłego wieczoru wam obojgu.

Rodney znika za wielkimi frontowymi drzwiami, które otwiera i zamyka z pewnym wysiłkiem.

– Pojedziemy windą – mówi Marc, prowadząc mnie do złotych drzwi przy klatce schodowej.

– Ale chciałabym zobaczyć twój dom – rzucam.

– Może innym razem – mówi Marc. – A teraz kolacja.

Rozdział 48

Jedziemy windą cztery kondygnacje w górę i drzwi rozsuwają się, ukazując taras na dachu budynku.

– Rany – wzdycham na widok jasnych świateł Londynu, migocących poniżej. Widać stąd tyle ślicznych, spadzistych dachów i kominów, że czuję się jak w *Mary Poppins*.

Widok jest zdumiewający, ale na tarasie nie ma żadnych roślin ani życia, tylko szara posadzka i złote ogrodzenie. Jest też osłonięty fragment z umywalką, lodówką i grillem, na którym dymi homar.

Na wielkim drewnianym stole stoją białe talerze i lśniące złote sztućce. Krzesła też są drewniane, ale przykryte miękkimi czerwonymi poduszkami. W złotym kubełku tkwi butelka szampana, a na wietrze mrugają dwie wysokie, czerwone świece.

– Wszystko jest złote i czerwone – mówię.

– Lubię czerwień. – Marc prowadzi mnie do stołu. – Jest silna. Złoto to był pomysł mojego kamerdynera. Zdaje się, że pasuje do czerwieni. Osobiście wolę czerń. Usiądź, proszę.

Siadam i patrzę na dachy wokół nas. Jest chłodno i czuję, że drżę.

– Pomyślałem, że możesz tu zmarznąć – zaczyna Marc – więc poprosiłem Rodneya, żeby kupił ci płaszcz. Nie widziałem, żebyś nosiła jakiś w kampusie.

– Nie miałam jeszcze okazji kupić sobie zimowego płaszcza – przyznaję.

– Cóż, może ten ci się spodoba – oznajmia Marc, podchodzi do zadaszonej części tarasu i podnosi dużą kwadratową paczkę, owiniętą w bibułkę i przewiązaną różową wstążką.

– Och… dziękuję – mówię. – To bardzo miło z twojej strony. Tobie nie jest zimno? – Patrzę na jego nagie, muskularne ramiona w czarnym podkoszulku. Wyglądają blado w zimnym jesiennym powietrzu.

– Ja nie czuję zimna.

Ostrożnie otwieram paczkę i znajduję w środku czarny kaszmirowy płaszcz. Nie znam firmy, która go wyprodukowała. Podnoszę go do góry. Jest dopasowany w talii, z wąskimi, ale usztywnionymi ramionami. Wiem, że będzie leżał na mnie doskonale. Dół ma lekko rozszerzany.

– Bardzo mi się podoba – mówię szczerze. – Jest piękny.

Wydaje mi się, że widzę na twarzy Marca cień uśmiechu, ale nie mam pewności.

Wkładam płaszcz, a Marc nalewa mi szampana do kieliszka.

– Pięknie tu – mówię.

– Dla ciebie wszystko jest piękne – mówi Marc, napełniając własny kieliszek.

Uśmiecham się.

Marc podchodzi do zadaszenia i otwiera lodówkę.

– Na przystawkę foie gras – informuje, przynosząc do stołu dwa talerze i stawiając jeden przede mną.

Talerz jest pełny kruszonego lodu, na którym spoczywa szklana miseczka z pasztetem koloru wątróbki. Na drugim talerzu leży cienki tost i coś, co wygląda jak małe naleśniki.

– Bliny – mówi Marc. – Rosyjskie naleśniki. Doskonałe do foie gras.

Patrzę na foie gras. Wiem, jak się je robi – gęsi hodowane na stłuszczone wątroby zmusza się do jedzenia, a potem obwiązuje ich szyje sznurkiem, żeby nie wymiotowały.

Marc, który chce już nałożyć mi bliny na talerz, nieruchomieje.

– Sophio, o co chodzi? – pyta, wyraźnie zaniepokojony.

Kręcę głową.

– Nie mogę tego jeść. I ty też nie powinieneś. – Rzadko bywam zła, ale na myśl o tym, co robi się tym nieszczęsnym gęsiom, ogarniają mnie mdłości. – Wyrzuć to – mówię. – To foie gras. Wyrzuć je. Wiesz, jak się je robi?

Wokół ust Marca pojawiają się drobne zmarszczki, kiedy usiłuje powstrzymać uśmiech.

– Tak, wiem, jak się robi foie gras.

Staram się uspokoić przyspieszony oddech.

– Nie chcę nawet, żeby leżało na stole, przy którym siedzę.

– Sophio. – Marc bierze mnie za rękę. – To nie jest francuskie foie gras. Te gęsi nie były karmione na siłę.

Mój oddech staje się wolniejszy; patrzę na Marca. Jego oczy błyszczą rozbawieniem.

– Nadal mi się to nie podoba – mówię. – To, jak to może wyglądać. I co symbolizuje.

Marc podnosi talerz, odchodzi pod zadaszenie i wrzuca wszystko razem do kosza na śmieci, a potem otrzepuje ręce.

– Już. Lepiej?

Kiwam głową.

– Dziękuję.

– Produkowane w sposób humanitarny foie gras o wartości trzystu funtów – do kosza, na pani żądanie, panno Rose.

– Przykro mi – mamroczę. – Po prostu dla mnie to jest ohydne.

– Nie musi ci być przykro. – Marc kuca przy lodówce, zginając długie nogi. – No dobrze. Mam tu trochę kawioru. Może być? Masz jakieś zastrzeżenia do hodowli ryb?

Parskam śmiechem.

– Nie. Kawior brzmi dobrze.

Marc wraca do stołu i nakłada kawior łyżką na mój talerz. Czekam, aż usiądzie i nałoży porcję dla siebie. Potem nakładam kawior na mały naleśnik.

Odgryzam kawałek. Jest pyszny.

– Nie spodziewałam się, że będzie miał taki smak – mówię.

Następne danie to grillowany homar z sosem szampańskim, i jest równie pyszne. Deser to cienki kawałek tortu czekoladowego z odrobiną waniliowej bitej śmietany na górze.

– Więc lubisz architekturę? – pytam, wkładając do ust kawałeczek tortu i patrząc na morze dachów.

– Kocham wszystko, co tkwi w jednym miejscu przez długi czas – stwierdza Marc. – Drzewa, góry, jeziora. Dorastałem w niepewności. Gdziekolwiek ojciec znalazł dla mnie pracę, tam wyjeżdżaliśmy.

– Więc jak radziłeś sobie ze szkołą? – pytam.

– Nie chodziłem do szkoły. Poza czasem, który spędziłem z Denise.

– Naprawdę? Ale jesteś taki… wykształcony. A przynajmniej takie sprawiasz wrażenie.

– Kształciłem się sam. – Marc też przesuwa wzrokiem po dachach okolicznych budynków. – Jako młody chłopak dużo czytałem. Głównie klasykę. Dickensa, Thomasa Hardy'ego, Hemingwaya. Zwłaszcza Dickensa.

Ryzykuję:

– Zdaje się, że miałeś trudne dzieciństwo.

– Nie trudniejsze niż wielu innych – oznajmia Marc, ale jego oczy chmurnieją. Czuję, że chce zmieć temat.

Jemy i rozmawiamy o sztukach i filmach, które widzieliśmy, o tym, co myślimy o Londynie, o moim życiu w akademii… o normalnych sprawach. Po chwili zaczynam mieć wrażenie, że jesteśmy po prostu dwojgiem ludzi, którzy miło spędzają czas przy kolacji i coraz lepiej się poznają.

Marc, w czym nie ma nic zaskakującego, woli mroczniejsze filmy niż ja. *Apokalipsę*, *Ojca chrzestnego*, *Obywatela Kane'a*. Ja przyznaję się, trochę zawstydzona, że uwielbiam Disneya, a Marc przewraca oczami i mówi, że mógł się tego domyślić, ale cały czas się uśmiecha.

Opowiadam mu o swojej rodzinie i o tym, że czuję się winna, bo nie pojechałam do nich na wekend. Wyjaśniam, że tata i Genoveva potrzebują mojej pomocy w domu i przy Samuelu.

Po deserze drugi kieliszek szampana dodaje mi odwagi.

– Opowiedz mi o swoim ojcu – mówię. – Dlaczego zatrzymałeś jego samochód?

Marc zaciska zęby.

– Nie zatrzymałem go. Został mi przekazany po śmierci ojca i jeszcze nie zdążyłem go sprzedać.

– Twój ojciec zmarł? Tak mi przykro.

Marc kiwa głową.

– Cztery lata temu. Nie poszedłem na pogrzeb.

– Nie poszedłeś? – Czuję, że wkraczam na grząski teren, ale prę dalej. Nie mogę się powstrzymać. – Dlaczego?

Marc wstaje, podnosi swój kieliszek z szampanem i wychyla go jednym haustem.

– Nie widziałem powodu, żeby tam iść. Pogrzeb ma być okazją, żeby pożegnać kochaną osobę. On jednak nie był kochany.

Kiwam głową.

– Chyba nie układało się między wami dobrze.

Marc odstawia kieliszek i zahacza kciuki o kieszenie dżinsów.

– Nienawidziłem go – mówi z prostotą.

Rozdział 49

Och. – Nie wiem, co powiedzieć.

– Był tyranem i okrutnikiem i nie żal mi, że zmarł. Czy otworzyłem się już wystarczająco jak na twoje potrzeby?

– W porządku – mówię, a potem wstaję i obejmuję go ramionami. – Nie musisz mi nic mówić. Po prostu zapytałam. Chciałam się trochę do ciebie zbliżyć.

Patrzy na mnie, wyraźnie zmieszany. Potem także mnie obejmuje.

– Dlaczego musisz być moją studentką? Dlaczego to musiało się stać w taki sposób?

– Nie wiem – mówię. – I nie wiem, jak to będzie z robieniem wszystkiego tylko na twoich warunkach.

Marc przytula mnie do siebie mocniej i czuję, jak bije mu serce.

– Powinnaś ode mnie odejść, Sophio. Uciekłabyś, gdybyś posłuchała swojego rozsądku. Nie powinienem był niczego z tobą zaczynać, ale jest w tobie coś, czemu nie potrafię się oprzeć. W żaden sposób.

– Czy to dlatego, że jestem twoją studentką? – pytam, krzywiąc się w głębi ducha. – Czy to cię podnieca? Bo lubisz mieć władzę? – Nie jestem pewna, czy rzeczywiście chcę znać odpowiedź.

– Nie – zaprzecza Marc. – To dzieje się mimo, że jesteś moją studentką. Wolałbym, żebyś nią nie była. Prawdę mówiąc, zachwyciłaś mnie, zanim nią zostałaś. Już na wstępnym przesłuchaniu. Gdyby zależało to ode mnie, nie dałbym ci miejsca w akademii. To zbyt niebezpieczne. Ale lubię mieć władzę i nie mogę udawać, że ta sytuacja mi nie odpowiada. Czy podoba ci się, że mam władzę?

Kiwam głową.

– Ale… czuję, że nie powinno mi się to podobać.

– Nigdy nie zrobiłbym niczego, co tak naprawdę by ci się nie podobało.

– Ale w limuzynie…

– Nie podobało ci się to?

– Podobało, ale zostałam upokorzona. Odebrałeś mi kontrolę. Doprowadziłeś mnie do stanu, w którym nie byłam w stanie powiedzieć „nie”, a potem powiedziałeś coś, co sprawiło, że stałam się bezbronna.

– Ale tak naprawdę ani przez chwilę nie byłaś bezbronna – mówi Marc. – W każdej chwili mogłaś przecież powiedzieć „nie”.

– Ale przez ciebie czułam się bezbronna – mówię.

– Sophio – mówi Marc. – Uczę cię, jak się otworzyć. Pokazywać się setkom, tysiącom ludzi. Ponieważ szczerze wierzę, że masz potencjał, by dotrzeć do milionów.

– Naprawdę?

– Tak – potwierdza Marc.

Srebrny księżyc wisi wysoko nad Londynem i po raz pierwszy przychodzi mi do głowy, jakie to cudowne, mieć całą tę architekturę i wszystkich tych ludzi w jednym miejscu.

– Ale, Marc, jak możesz mówić o tym, że chcesz otworzyć mnie, skoro sam jesteś taki zamknięty?

– Jako aktor jestem otwarty – mówi Marc z prostotą. – Nawet jeśli w życiu osobistym

jest to dla mnie trudne, kiedy gram, także jestem otwarty.

– Ale… widziałam film, w którym zagrałeś, kiedy byłeś młodszy – mówię. – W twoich oczach, w twojej twarzy było coś znacznie delikatniejszego. Pociągało mnie to dużo bardziej niż twoje mroczniejsze filmy.

Marc marszczy brwi.

– To było kiedyś. Kiedy ktoś inny miał nade mną władzę. Teraz to ja panuję nad swoim życiem, i niech mnie diabli, jeśli najmroczniejszych głębi mojej duszy nie można zobaczyć na ekranie. Daję z siebie wystarczająco dużo. Daję z siebie mnóstwo. Dostałem sporo nagród na dowód, że tak jest.

Nagle rozbłyska jakieś białe światło, jak błyskawica, ale nie słychać grzmotu ani nie pada deszcz. Niebo jest czyste.

Marc narzuca mi płaszcz na głowę i odciąga mnie od ogrodzenia tarasu w stronę windy.

Rozdział 50

Paparazzi – mówi, wciągając mnie przez złote drzwi do kabiny. – Byli na dole, więc nic nie mają. Ale to oznacza też, że czekają przed domem.

Wciska guzik i drzwi się zasuwają. Winda zjeżdża na dół, a Marc chodzi po kabinie tam i z powrotem.

– Chryste, te pasożyty. Zawsze w najgorszych chwilach.

Winda otwiera się piętro niżej; widzę czerwony dywan i korytarz pełen zamkniętych drzwi.

– Tutaj – rzuca Marc, otwierając jedne z nich. W środku stoi wielkie łoże z czterema kolumienkami z ciemnego drewna. Łoże jest tak wysokie, że prowadzą do niego drewniane schodki.

Pod jedną ze ścian stoi biblioteczka z różanego drewna, pełna książek. Jedną z półek zajmuje kolekcja powieści Dickensa, ale, ku memu zdumieniu, książki wyglądają na zupełnie nowe. Nietknięte.

– Okna w tym pokoju mają lustrzane szyby – wyjaśnia Marc. – Nikt nie może zajrzeć do środka. – Przeczesuje włosy palcami. – Nie mogę tu z tobą zostać. Nie po tym, co ci obiecałem w samochodzie. Nie byłbym w stanie się powstrzymać, Sophio, gdybyśmy dzielili łóżko.

– Może to tobie przydałaby się lekcja samokontroli – mówię z uśmiechem.

– Przy tobie nawet na pewno – stwierdza Marc, podnosząc mnie i sadzając na łóżku. Powoli przesuwa dłonią wzdłuż mojego ciała. – Powiedz, że nie masz na nic ochoty. Powiedz, żebym wyszedł. Powiedz, żebym przestał.

Kręcę głową.

– Nie chcę, żebyś przestał.

– W limuzynie powiedziałaś, że nie chcesz już dzisiaj robić nic więcej.

– Może zmieniłam zdanie.

Marc kręci głową.

– To nieakceptowalne. Zaczekaj tu.

Podciągam się wyżej na łóżku i opieram o gigantyczne kremowe poduszki.

– Czy to twoja sypialnia? – pytam.

– Czasami – mówi Marc i podchodzi do drewnianej szafy, wysokiej od podłogi do sufitu. Otwiera drzwi i sięga do górnej półki.

– Często przyprowadzasz tu dziewczyny? – dopytuję z wymuszonym uśmiechem.

Marc nieruchomieje z wyciągniętą do góry ręką.

– Czasami.

Mam wrażenie, że uchodzi ze mnie powietrze.

– Ile razy? – chcę wiedzieć.

– Kilka – odpowiada i zdejmuje z półki parę pantofli.

– Kim one są?

– Odwróć się. Mam zamiar zbić cię pantoflem.

Patrzę na niego z niedowierzaniem. Najpierw trzcina, teraz pantofel.

– Ty naprawdę poważnie traktujesz tę całą sprawę z nauczycielem i uczennicą – stwierdzam.

– Nie pyskuj – nakazuje Marc, wchodzi po schodkach na łóżko i przewraca mnie na brzuch. Rozpina mi dżinsy i ściąga je w dół.

Znowu czuję chłodne powietrze na pośladkach, ale nie widzę, gdzie jest Marc, co jest przyjemną torturą. Słyszę szelest materiału, kiedy zdejmuje spodnie i podkoszulek.

– Marc?

Czuję, że sunę po łóżku, kiedy przyciąga mnie do siebie. Moje nogi podrywają się do góry, na jego nagie uda i nagle leżę na jego kolanie. Czuję ciepło bijące od jego torsu i napiętą skórę.

– Marc, co ty…

Uderza mnie mocno podeszwą pantofla.

Odbiera mi mowę. Doznanie jest miłe, w rodzaju „przyjemnego bólu”, a kiedy uderza mnie drugi raz, krzyczę.

– Nie wypieprzę cię – szepcze Marc. – Obiecałem. – Zsuwa mnie na łóżko, brzuchem na dół. – Czy od tej chwili będziesz robiła to, co ci każę?

– Tak – jąkam się.

– Powiedz „tak, sir” – warczy Marc.

– Tak, sir.

Znowu jęczę, bo kolejny raz obrywam pantoflem.

– Odwróć się – rozkazuje.

Robię to i moja twarz znajduje się na wprost nagiej piersi Marca. Sa na niej drobne blizny – takie same, jak na jego rękach.

– Daj mi rękę – mówi. – A teraz rozepnij mi spodnie.

Nareszcie. Będę mogła go dotknąć. Rozpinam guzik i zamek błyskawiczny. Potem pochylam się i biorę go do ust.

Spodziewam się, że będzie chciał mnie powstrzymać, ale on wydaje tylko cichy jęk.

Poruszam się w górę i w dół, w górę i w dół, i czuję narastające w nim napięcie. Znowu słyszę jęk i przyspieszam, a później obejmuję jego penis dłonią i zaciskam palce.

Chwyta mnie za nadgarstek.

– Przestań – dyszy. – Za blisko. – Unosi mój podbródek i siada na łóżku, próbując uspokoić oddech.

– Co było za blisko? – pytam.

– Ja. Ciebie. Jeszcze kilka sekund i bym się spuścił.

– Co w tym takiego złego? Chcę, żebyś to zrobił. Chcę dzielić z tobą…

Marc kręci głową.

– Tego, czego ode mnie chcesz, nigdy nie będę mógł ci dać.

– Co ty mówisz? Że nigdy nie będziesz miał przy mnie wytrysku? – pytam. – Nie rozumiem. Dlaczego?

Marc wciąga spodnie.

– Nie chcę tracić kontroli w ten sposób. Nigdy.

– Ale mówiłeś, że w aktorstwie najważniejsza jest bezbronność. A ty jesteś wspaniałym aktorem.

– W aktorstwie najważniejsza jest kontrola – wyjaśnia Marc i schodzi z łóżka. – Zawsze, kiedy gram, obnażam duszę, ale w pełni to kontroluję. Ty zostaniesz tu dzisiaj. Jest tu łazienka, ręczniki, wszystko, czego możesz potrzebować. Dopilnuję, żeby nikt tu na ciebie nie czekał, kiedy będziesz jutro wyjeżdżała. Ja wychodzę wcześnie rano. Rodney przyniesie ci wszystko, czego będziesz potrzebowała.

– Nie zostaniesz tu ze mną?

Marc kręci głową.

– Będzie bezpieczniej, jeśli prześpię się w pokoju obok.

Wychodzi i zamyka za sobą drzwi.

Leżę na wielkim łożu, jak Alicja w Krainie Czarów, spowita w miękką puchową kołdrę, i myślę o tym, co się właśnie wydarzyło.

Jakaś część mnie cieszy się, że tak bardzo działam na Marca. Inna część odczuwa smutek, że nie mogę być tak blisko niego, jak bym chciała. Że nie mogę dać mu tego, co on daje mnie.

Patrzę na srebrny księżyc za lustrzaną szybą. Musi być już po północy. Myśli kłębią mi się w głowie, niektóre dobre, inne złe.

Wstaję, piję trochę wody z kranu w łazience i spryskuję nią twarz. Łazienka jest równie wspaniała jak sypialnia; z wielką jak basen, okrągłą wanną i dwiema różnymi umywalkami do wyboru.

Myślę o Marcu, który jest za ścianą. Trochę mi chłodno w samej bieliźnie, więc zakładam sweter i skradam się do pokoju obok. Drzwi otwierają się z głośnym skrzypnięciem; przystaję bez ruchu i nasłuchuję. Potem wystawiam głowę na korytarz.

Drzwi pokoju obok mojej sypialni są lekko uchylone, domyślam się, że tam właśnie śpi Marc.

Podkradam się do nich i popycham je lekko. W środku widzę kolejne gigantyczne łoże.

Na kołdrze leży jakaś śpiąca postać. Dostrzegam piękny profil Marca. Jest całkowicie

ubrany w swój czarny podkoszulek i dżinsy, i leży na plecach, a jego pierś ledwie dostrzegalnie podnosi się i opada. Brązowe włosy spadają miękko na poduszkę, po obu stronach jego nosa rysują się delikatne linie.

Podchodzę bliżej. Na widok Marca serce zaczyna mi bić mocniej.

Kiedy się zbliżam, jego pierś zaczyna poruszać się szybciej; czuję jego zapach i widzę pory na jego skórze. To zdumiewające być tak blisko niego. Móc patrzeć na drobne szczegóły jego przystojnej twarzy, widzieć brązowy zarost na policzkach.

Cały składa się z linii prostych, uświadamiam sobie nagle. Prosty nos, prosty zarys żuchwy, proste zęby. Jedyne krzywe to zarys warg i powieki, wygięte linie przy nosie i zagłębienia policzków. Usta ma rozchylone bardzo lekko, a ja mam wielką ochotę nachylić się i pocałować je.

Wchodzę na łóżko, słuchając jego oddechu. Kusi mnie, żeby położyć się obok i objąć go ramieniem, ale to byłoby zbyt łatwe.

Zamiast tego wspinam się ostrożnie na jego ciało i siadam na nim, obejmując je nogami. Oboje jesteśmy ubrani, ale zaczynam poruszać się do przodu i do tyłu.

Czuję, jak twardnieje pode mną i serce zaczyna mi bić szybciej. Czy powinnam to robić? Znam odpowiedź. Na chwilę wracam do rzeczywistości i uświadamiam sobie, że właśnie zakradłam się do sypialni Marca Blackwella i teraz na nim siedzę. Ale on staje się coraz bardziej twardy, więc poruszam się dalej.

Marc zaczyna jęczeć przez sen, a ja czuję, że się uśmiecham.

A jeśli wypowie czyjeś inne imię? – przychodzi mi nagle do głowy. Ale to takie przyjemne, poruszać się na nim w taki sposób i patrzeć, jak jego powieki drżą z podniecenia.

Przyspieszam i Marc jęczy głośniej.

Trzepocze powiekami i nagle patrzę prosto w jego niebieskie oczy, ciągle poruszając się do przodu i do tyłu.

– O Boże! – krzyczy Marc. – Och, Sophio! Nie!

– Nie chcę przestać – mówię. – Chcę tylko sprawić, żebyś poczuł się tak, jak ja się czuję dzięki tobie.

– Nie. – Marc kręci głową i zaciska zęby. Rzuca mnie na łóżko i przez chwilę wydaje mi się, że jest naprawdę na mnie wściekły. Ale on nagle sięga do moich majtek i wsuwa mi palce do środka.

– Ty to zaczęłaś – mówi. – Teraz ja to skończę. – Wyciąga prezerwatywę z szuflady nocnej szafki i zdejmuje spodnie. Potem zakłada prezerwatywę i zdejmuje ze mnie bieliznę.

Wpycha mi kolana między nogi i wchodzi we mnie. Jest ciasno, więc wchodzi tylko do połowy. Czuję, jak mnie wypełnia, a kiedy zaczyna się poruszać, dotyka wszystkich właściwych miejsc.

– Och, Marc – jęczę.

– Czy byłem dobrym nauczycielem? – pyta szeptem.

– Tak, sir – dyszę.

Wchodzi we mnie głębiej, a ja wpycham rękę do ust, żeby nie krzyczeć.

– Podoba ci się, że jestem w tobie?

– Tak, sir. – Patrzę na niego. – I nie wyjdziesz?

Kręci głową.

– W tej chwili nie mógłbym, nawet gdybym chciał.

Nie przestaje się poruszać, aż wszystko wokół eksploduje i zmienia się w setki spadających gwiazd, a ja czuję się tak, jakby ktoś zanurzył mnie w ciepłej kąpieli.

Marc jęczy i porusza się dalej.

– Marc, zatrzymaj się, proszę – mówię.

Ale on nie przestaje się poruszać.

W pierwszej chwili doznania wydają mi się zbyt intensywne. Jego członek we mnie tuż po tym, jak miałam orgazm – jestem zbyt wrażliwa i miękka. Ale czuję też narastającą przyjemność i wkrótce znowu słyszę własny krzyk.

Widzę pot na czole Marca i czuję, jak jego ręka chwyta i ściska moje pośladki. Szczytuję znowu, czując, jak Marc wchodzi we mnie głębiej, niż kiedykolwiek mogłabym uznać za możliwe.

– O Boże, Sophio! – krzyczy. Czuję, jak jego ciało uderza we mnie; przywiera do mojego, oplatając mnie silnymi kończynami.

Czy miał wytrysk? Nie. Ciągle jest twardy.

Leżę pod nim, czując się rozgrzana i bezpieczna, i zastanawiam się, co się właśnie stało. Bo w nim coś się zmieniło – wiem o tym.

Marc przetacza mnie na bok, tak że teraz leżymy obok siebie, ale on nadal we mnie jest, twardy i pulsujący. Potem wysuwa się ze mnie, dysząc ciężko. Naciąga na nas kołdrę i obejmuje mnie ramionami, a ja zapadam w głęboki sen.

Rozdział 51

Kiedy budzę się następnego ranka, Marc obserwuje mnie, wsparty łokciem na poduszce.

– Dzień dobry – mamroczę sennie, zawstydzona. Nie wygląda na rozgniewanego. Zastanawiam się, jak dobrze pamięta wczorajszy wieczór.

– Dzień dobry – wita się cicho, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Myślałam, że musisz wcześniej wyjść.

– Bo muszę – odpowiada, wstając z łóżka. Wychodzi z pokoju i wraca ubrany w czarne spodnie, czarną koszulę, z czarną marynarką przerzuconą przez ramię.

– Rodney przyniesie ci śniadanie. – Zakłada marynarkę i rusza w stronę drzwi.

– Marc, zeszłej nocy…

– Sytuacja wymknęła się spod kontroli – kończy Marc z dłonią na klamce, po czym wychodzi z pokoju.

Co jest grane? Zmęczona i urażona, przykrywam się grubą, puchową kołdrą, pragnąc, żeby wrócił.

Kiedy słyszę odgłos zamykanych drzwi frontowych i odjeżdżającego samochodu,

przecieram oczy i wychodzę z łóżka. W kącie pokoju zauważam dwa kartonowe pudła, ustawione jedno na drugim.

Nie pasują do ascetycznego domu Marca. Ruszam w ich stronę. Chcę dowiedzieć się czegoś więcej o mężczyźnie, dla którego straciłam głowę, a ponieważ nie opowiada mi wiele o sobie…

Pierwsze pudło jest pełne książek, ale nie sztywnych i nowych, jak te w sypialni, jak z *Alicji w Krainie Czarów*. Te są stare, podniszczone i wyraźnie zaczytane. Wśród sterty klasyków widzę *Olivera Twista* i *Z dala od zgiełku*. W przeciwieństwie do tomów w twardych oprawach na regale w sąsiednim pokoju, te mają miękkie okładki i kolorowe ilustracje. Jest wśród nich kieszonkowe wydanie *Romea i Julii* w zielonej okładce i z wytartymi stronicami. Otwieram książkę i widzę na marginesach setki notatek długopisem.

Marc. Przesuwam palcem po zapiskach, próbując go przez nie poczuć. Nie pytajcie skąd, ale wiem, że to jego pismo. Jest takie kanciaste i ostre, tylko od czasu do czasu pojawia się artystyczny zawijas. Wszystkie dopiski dotyczą jego interpretacji sztuki.

Czytam: „Kocha ją w tej scenie, ale jeszcze o tym nie wie". Na chwilę przyciskam książkę do piersi. Potem zdaję sobie sprawę, gdzie jestem i że w każdej chwili może tu wejść Rodney.

Odkładam książkę do pudła. Potem ostrożnie podnoszę pierwszy karton i zaglądam do tego pod spodem.

W środku są oprawione w ramki fotografie jakiejś kobiety.

Z gardła wyrywa mi się stłumiony okrzyk, prawie upuszczam pierwsze pudło. Delikatnie odstawiam je na bok i przyglądam się uważniej zdjęciom. Kobieta, szatynka, jest bardzo ładna, a po bliższych oględzinach dostrzegam, że ma nos Marca i jego wysokie czoło.

Na jednym ze zdjęć pozuje, uśmiechnięta, w obskurnym domu z parapetami obstawionymi puszkami po piwie, w ramionach trzyma niemowlę o brązowych włosach. To dom w Anglii – poznaję po kominku. Mały. Pewnie szeregowy. Zwyczajny, rodzinny dom.

Na dnie pudła leży luzem kilka zdjęć. Na jednym jest ta sama szatynka; uśmiecha się, ale spojrzenie ma smutne. Trzyma w ramionach jasnowłose niemowlę, ma na sobie różową sukienkę. Stoi obok wysokiego, gniewnego mężczyzny, a u ich stóp siedzi maluch o brązowych włosach.

To zdjęcie rodzinne, ale nikt nie wygląda na nim na szczęśliwego. Bije z niego wyczuwalne napięcie, to oczywiste dla każdego obdarzonego choć odrobiną empatii.

Odwracam zdjęcie i widzę spłowiały podpis: Rodzina Blackwellów, Joan, Mike, Marc i Emily.

Szatynka jest matką Marca. Ale dlaczego trzyma jej zdjęcia zamknięte w pudle? Marc twierdził, że spędza w tym domu dużo czasu. Dlaczego nie powiesił zdjęć matki na ścianach?

Ostrożnie odkładam wszystko na miejsce, w głowie mam mętlik. Ubieram się i idę do kuchni, zwabiona zapachem kawy i świeżych wypieków.

W kuchni jest Rodney, który wyciera marmurowe blaty z wyrazem zabójczej

determinacji na twarzy. Podnosi wzrok, gdy wchodzę.

– Och! Sophia. – Wrzuca ścierkę do zlewu i myje ręce. – Przygotuję ci śniadanie.

– Nie musisz – protestuję. – Naprawdę.

– Nie, Marc zostawił mi szczegółowe instrukcje. – Przynosi miseczkę owsianki z ziarenkami granatu i musli na wierzchu. – Są też ciastka – mówi, otwierając piekarnik i wyciągając z niego tacę ślimaczków z syropem klonowym. – I kawa.

Nalewa mi filiżankę. Wolałabym gorącą czekoladę, ale ta kawa pachnie pysznie.

– Dziękuję – mówię, siadając przy barze. – Wygląda wspaniale.

Rodney promienieje.

– Miło jest mieć gości. Marc bywa tu tak rzadko… – Urywa. Czy to oznacza, że nocuje u jakichś kobiet? Nie podoba mi się ta myśl.

– Dobrze ci się dla niego pracuje? – pytam.

– To najlepszy pracodawca, jakiego miałem – odpowiada Rodney. – Najsympatyczniejszy i najbardziej hojny. I nigdy, przenigdy, nie dał mi odczuć, że jestem kimś gorszym. Jesteśmy równi. W Londynie ze świecą takich szukać. Pewnie dlatego, że dorastał bez tego wszystkiego. – Zatacza ręką łuk wokół siebie.

– Naprawdę? – pytam, upijając łyk kawy i myśląc o zdjęciach. – Ten jego sposób bycia… myślałam, że ma zamożną rodzinę.

– Nic z tych rzeczy – zapewnia Rodney. – Wszystkiego dorobił się sam. Dorastał w zwykłym szeregowym domku w Londynie.

– Tak? – Opieram się łokciami o blat, zaintrygowana.

Rodney kiwa głową.

– Jego matka zmarła, kiedy był jeszcze dzieckiem, biedactwo. Ubóstwiał ją. Kiedy odeszła, ojciec zabrał Marca i jego siostrę do Ameryki. Dostrzegł talent aktorski syna i postanowił zrobić z niego supergwiazdę.

– Biedny Marc. – Kiwam głową. – Moja matka też zmarła, kiedy byłam mała. – Przez chwilę zastanawiam się, czy to dlatego Marca coś do mnie ciągnie. – Mogę spytać… jak zginęła?

Rodney bierze ścierkę i zaczyna wymiatać pajęczynę z okna.

– Jeśli kiedykolwiek się dowiesz, daj mi znać. Na ten temat Marc milczy jak grób. Na twoim miejscu nie pytałbym go o to.

– Jasne. – Pociągam kolejny łyk kawy.

– Przykro mi z powodu twojej matki – mówi Rodney. – Tobie też musiało być ciężko.

– Czasami – przyznaję. – Dorastając, zazdrościłam innym dzieciom. Zawsze odczuwałam jakiś brak. No i musiałam zaopiekować się ojcem. Po śmierci matki przechodził trudny okres.

Rodney kiwa głową, odwiesza ścierkę i nalewa sobie kawy.

– Nie miałaś lekko.

– W pewnym sensie – mówię. – Ale tak naprawdę, czuję się szczęściarą. Mam ojca, który mnie kocha i który wyszedł z ciężkiej depresji. Ma teraz nową dziewczynę i jest szczęśliwy. Mam najlepszą przyjaciółkę, która jest dla mnie jak siostra, a jej mama troszczyła się o mnie, kiedy byłam mała, udzielała mi dobrych rad i kupowała dziewczyńskie rzeczy.

– Jak ci się układa z nową dziewczyną ojca? – pyta Rodney.

Zastanawiam się nad tym.

– Raczej za mną nie przepada, chyba że sprzątam i zajmuję się maluchem.

– Maluchem?

– Mój tata i jego dziewczyna mają synka. Samuela. Jest cudowny. Ma sześć miesięcy.

Rodney się uśmiecha.

– Moje dzieci są już dorosłe, ale pamiętam ten wiek. Są wtedy urocze, co?

Kiwam głową i wyciągam telefon.

– To on. – Pokazuję mu setki zdjęć Samuela, uśmiechniętego, poważnego, jedzącego.

– Jak poznałaś Marca? – pyta Rodney.

– Ja… chodzę na jego zajęcia w Akademii pod Bluszczem.

– Jesteś jego studentką?

Kiwam głową ze wzrokiem wbitym w kawę.

Rodney nic nie mówi, ale jego milczenie jest aż nadto wymowne. W końcu stwierdza:

– Lepiej pójdę posprzątać łazienki.

W ciszy, jaka zapanowała w kuchni, popijam kawę i rozmyślam. Rodney najwyraźniej bardzo lubi Marca, ale jego reakcja na fakt, że jestem jego uczennicą, była całkowicie normalna. A nawet pełna zrozumienia, zważywszy na to, jak bardzo jest mu oddany. Co nas czeka? Nawet jeśli Marc zmięknie – nawet jeśli uda mi się go zmiękczyć – wszyscy będą nas osądzać, i to niebezpodstawnie. To nie jest normalny sposób wejścia w związek.

Wyglądam przez drzwi balkonowe do ogrodu Marca. Jest zarośnięty, głównie bluszczem. Uśmiecham się. Pozwolono mu zdziczeć, ktoś powinien o niego zadbać. Korci mnie, żeby wyjść na dwór i się nim zająć, ale drzwi na patio są zamknięte na klucz.

Nagle czuję, że tu nie pasuję. Jestem kimś obcym w tym wielkim domu. Nie wiem jednak, jak go opuścić, żeby nie wypatrzyli mnie paparazzi.

– Rodney! – wołam w górę schodów. – Jak mam się stąd wydostać?

Rodney staje u szczytu imponującej klatki schodowej.

– Dziennikarzy już nie ma – mówi. – Nigdy nie zostają pod domem, jeśli Marc właśnie wyszedł. Wiedzą, że nie będzie go cały dzień.

– Więc mogę po prostu wyjść frontowymi drzwiami? – pytam.

– Nie – odpowiada Rodney. – Marc zostawił ci swojego kierowcę. Czeka w garażu. Zabierze cię, dokąd tylko zechcesz. Marc wspominał, że możesz mieć ochotę zobaczyć się dzisiaj z rodziną.

– Naprawdę?

Rodney kiwa głową.

– Wiesz, jak trafić do garażu?

– Tak – odpowiadam, omijając schody. – Dziękuję.

Rozdział 52

W garażu czeka limuzyna. Pukam w okno kierowcy i widzę siwowłosego mężczyznę w okrągłej czapce z daszkiem. Opuszcza szybę i słyszę ze środka informacje o korkach na dwójce.

– Sophia?

Uśmiecham się.

– Tak. A pan jak się nazywa?

– Keith. Dokąd chciałabyś dziś pojechać?

– Do domu – odpowiadam. – Do mojej wioski. Chciałabym spotkać się z moim tatą i braciszkiem.

– A gdzie to jest?

– Halstead. Essex.

– Więc niedaleko. Wskakuj. Jedziemy. – Wysiada z samochodu i otwiera mi drzwi pasażera.

– Ma pan coś przeciwko temu, żebym usiadła z przodu? – pytam. – Sama z tyłu będę się czuła zagubiona.

– Oczywiście, że nie – odpowiada Keith, a wokół jego oczu pojawiają się kurze łapki. – Nie mam nic przeciwko towarzystwu. Miło mi poznać przyjaciółkę Marca. – Obiega samochód i otwiera mi drzwi. – Wskakuj.

Droga do domu trwa krócej, niż myślałam; jedziemy głównie autostradami, mijając słupy energetyczne i tunel Dartford.

Rozmawiamy z Keithem przez całą drogę. Pracuje u Marca od prawie dziesięciu lat. Marc jest najwyraźniej bardzo lojalnym chlebodawcą. Lubi mieć wokół siebie tych samych ludzi. Keith był świadkiem, jak Marc z bożyszcza nastolatek przeobrażał się w gwiazdę filmową i zdobywcę Oscara.

Pytam o dziewczyny Marca i Keith uśmiecha się znacząco.

– Chcesz dowiedzieć się czegoś o jego życiu miłosnym, co?

Rumienię się.

– Tak. Można to tak ująć.

– Nigdy nie spotykał się z nikim na poważnie – mówi Keith. – Przynajmniej odkąd go znam. Pojawiają się jakieś kobiety, ale żadna nie została nigdy na noc. Ty jesteś pierwsza. – Zerka na mnie z ukosa i uśmiecha się.

– Naprawdę? – Robi mi się ciepło na sercu. To niewiele, ale zawsze coś. Coś, co poprawia mi humor po nagłym wyjściu Marca rano.

– Tak – potwierdza Keith, skręcając w wiejską szosę prowadzącą do mojej wsi. Jak zwykle jedzie nią traktor, za którym musimy się wlec piętnaście kilometrów na godzinę. Keith wciska klakson i traktor zjeżdża na bok, żeby nas przepuścić.

Wjeżdżamy na główną ulicę, a później bocznymi drogami dojeżdżamy do mojego domu rodzinnego. Wszyscy odprowadzają nas wzrokiem – taki wóz to rzadki widok w tych stronach.

Dzwonię do Jen, żeby sprawdzić, czy da radę urwać się na godzinę z pracy i przyjechać do nas, ale Jen nie może. Zapewniam ją, że nic nie szkodzi i że następnym razem

spróbuję uprzedzić ją wcześniej.

Kiedy zajeżdżamy pod dom taty, czuję się strasznie dziwnie wysiadając z takiej bryki.

Dziewczyna taty, Genoveva, otwiera drzwi z Samuelem na ręku. Wygląda na wyczerpaną, a Samuel płacze, ale nie jest aż tak zmęczona, żeby nie zrobić wielkich oczu na widok limuzyny. Kiedy wysiadam, mam wrażenie, że oczy zaraz wyskoczą jej z orbit.

– Sophia! – woła. – Co jest grane, u licha?

– Przyjechałam zobaczyć się z tobą, tatą i Samem – odpowiadam, podchodząc do Samuela i całując go w główkę. Sam wyciąga do mnie łapki.

– Przyjadę po ciebie za kilka godzin i zabiorę cię na uczelnię! – woła Keith. – Do tego czasu znikam.

– Chce pan wejść na herbatę? – pytam.

– Nie, nie. To spotkanie rodzinne, nie chciałbym przeszkadzać. – Keith odjeżdża.

Genoveva przytula Samuela i widzę, że chłopczyk urósł przez ten krótki czas, kiedy mnie nie było.

– Muszę przyznać, że nam ciebie brakowało – mówi Genoveva. – Ojciec ciągle o tobie opowiada. Padam z nóg. Myślałam, że przyjedziesz w poprzedni weekend. Umówiłam się do fryzjera. Musiałam odwołać wizytę.

– Przepraszam – mówię. – Chciałam przyjechać, ale tato nalegał, żeby została, i cieszę się, że się zgodziłam. Musiałam się zorganizować na miejscu.

– Widzę – odpowiada Genoveva, patrząc za odjeżdżającą limuzyną.

– Spróbuję przyjeżdżać przynajmniej co drugi weekend – obiecuję. – Tęsknię za wami wszystkimi. Mogę potrzymać Samuela?

Genoveva podaje mi dziecko, a ja biorę je i obsypuję pocałunkami jego blond główkę.

– Sams, ale jesteś wielki! Urosłeś!

Chłopczyk wtula się we mnie.

– Pomożesz mi zrobić pranie? – pyta Genoveva, przeczesując dłonią długie włosy barwy karmelu. – Samuel nie ma w czym chodzić. Nie wiem, od czego zacząć. Nazbierało się tego od twojego wyjazdu. I prawie skończyło się nam mleko. Twój tata się stara, ale…

– Wiem. – Uśmiecham się. – Kompletnie sobie nie radzi z obowiązkami domowymi. Lepiej nie pozwalaj mu się do niczego dotknąć, bo będziesz miała dwa razy więcej pracy. Odkryłam to lata temu.

Wchodzę do środka, kołysząc Samuela na biodrze. Dom wygląda jak po wybuchu bomby. W zlewie piętrzą się brudne naczynia, wokół pralki leżą sterty ubrań, po podłodze walają się zabawki Samuela. Nad naczyniami bzyczy mucha, a przy kuble stoją trzy zawiązane worki na śmieci. Sądząc po zapachu, przynajmniej jeden z nich jest pełen pieluch.

– Weź go. – Oddaję Genovevie Samuela, który kwili cichutko. Biorę worki na śmieci i idę do kontenera na dworze. Potem odkładam na półki suszące się naczynia, ale połowa z nich jest oblepiona zaschniętym jedzeniem. Trzeba je będzie umyć jeszcze raz.

Wyjmuję całe pranie z pralki i krzywię się, odkrywając, że część ubrań się skurczyła, a część jest uszkodzona. Pranie zalatuje pleśnią, więc wpycham je z powrotem do bębna razem z kostką przeciw pleśni i biorę się do zmywania.

Samuel podpełza do mnie i szarpie mnie za nogę. Genoveva opada na kanapę, skarżąc się na ból głowy. Czuję się tak, jak gdybym nigdy stąd nie wyjeżdżała, i w jakiś dziwny sposób nawet się cieszę, że wciąż jestem potrzebna.

Godzinę później, gdy skończyłam już zmywać, zaparzyłam Genovevie herbaty i zabieram się do sprzątania salonu, do domu wchodzi tata.

– Skarbie! Co za niespodzianka! Nie masz zajęć?

– Dziś mamy czas na naukę indywidualną – wyjaśniam.

– Siadaj, siadaj, nie musisz sprzątać, kiedy nas odwiedzasz.

– O, to żaden kłopot – zapewniam.

– Cała ty! Dostałaś fantastyczne stypendium w Londynie, a pierwsze, co robisz po powrocie do domu, to zabierasz się do sprzątania. Usiądź, zrobię ci herbaty.

Tata nie potrafiłby zaparzyć herbaty, nawet gdyby zależało od tego jego życie. Właściwie jestem prawie pewna, że raz lekko się strułam herbatą, którą mi zrobił.

– Nie trzeba – mówię z uśmiechem. – Siadaj, ja to zrobię.

– Zawsze troszczysz się o innych – stwierdza tata, mierzwiąc mi włosy. – Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił. Brakowało nam ciebie.

Widzę, jak siedząca na kanapie Genoveva ściąga usta w wąską kreskę.

– Wiesz, jak mnie męczą te migreny.

– Wiem – mówi tata. – Po prostu cieszę się, że Sophia wróciła, to wszystko.

Siadamy w pokoju dziennym, sadzam sobie Samuela na kolanach i śpiewam mu piosenkę.

– Opowiedz nam o uczelni – prosi tata.

– Jest… zupełnie inaczej.

– Zaprzyjaźniłaś się z kimś?

– Tak – odpowiadam. – Na zajęcia chodzą najróżniejsi ludzie.

– Jacy są wykładowcy?

Waham się.

– Świetni – mówię. – Kobieta, która uczy nas śpiewu, jest naprawdę cudowna.

– A Marc Blackwell? – pyta Genoveva, nachylając się do przodu.

– Tak, jaki on jest? – pyta tata.

– Jest niesamowitym aktorem – odpowiadam. – I… bardzo interesującą osobą. Wciąż nie jestem pewna, co o nim myśleć. Jeszcze nie zdecydowałam.

– No jasne – przyznaje tata. – Sprawia wrażenie aroganckiego, tak przynajmniej można przeczytać, ale czy w rzeczywistości jest inny?

– Tak – odpowiadam. – Zdecydowanie tak.

Sam wpełza mi na kolana, a my z tatą pijemy herbatę i nadrabiamy zaległości. Zlikwidowano jedną z linii autobusowych, to zła wiadomość dla miejscowych nastolatków. A kilka dni temu obrabowano pocztę.

Jakąś godzinę później z dworu słychać klakson i dociera do mnie, że na podjeździe czeka Keith.

– Muszę już lecieć – mówię. – Muszę wracać na kampus.

Rozdział 53

W drodze powrotnej co chwilę sprawdzam, czy nie przyszedł SMS od Marca. Nie przyszedł. Myślę o tym, jak chłodno potraktował mnie rano, i czuję ukłucie w sercu. A jeśli to koniec? Jeśli naprawdę przeholowałam i już nigdy się z nim nie spotkam?

Kiedy jestem już z powrotem w swoim pokoju, rozważam wysłanie mu wiadomości.

Nie bądź głupia, podpowiada mi jakiś głos. Tylko pogorszysz sprawę. Jeśli traktuje cię ozięble, bo za bardzo się do niego zbliżyłaś, absolutnie nie powinnaś naciskać.

Ale to czekanie jest istną torturą. Nie jestem w stanie się powstrzymać. Wystukuję kilka słów: „Dziękuję za ostatni wieczór, mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy". Skasować, skasować, skasować. Zbyt rozpaczliwe. Próbuję jeszcze raz: „Świetnie się wczoraj bawiłam. Dzięki za panoramę miasta". Nie. Zbyt grzecznie, nie ma też nic, co mogłoby go skłonić do odpowiedzi. Ech. Jakie to trudne. Piszę: „Spotkamy się?"

I zanim zdążę się rozmyślić, wciskam „wyślij". Kolejną godzinę spędzam jak na mękach, czekając na odpowiedź. Gdy nie nadchodzi, przez następną godzinę czytam raz po raz wysłaną wiadomość, zastanawiając się, jak mógł ją odebrać.

Dzwonię do Jen i razem analizujemy całą sytuację. Pomijam kilka kluczowych szczegółów, jak jego upodobanie do kar fizycznych, ale mówię jej, że uprawialiśmy wczoraj seks i że Marc wyszedł z samego rana.

– Wygląda na to, że za bardzo się do niego zbliżyłaś – stwierdza Jen. – Ten SMS to nie był chyba najlepszy pomysł. Jeśli facet nie odpisuje przez godzinę, lepiej, żeby miał naprawdę dobry powód. W przeciwnym wypadku spław go, nieważne, kim jest. Mam w nosie to, że jest wielką gwiazdą filmową.

– Ja też – mówię. – To mnie w ogóle nie obchodzi. Dla mnie liczy się tylko, jaką jest osobą, to dlatego się w nim zakochałam.

– Soph… serio? – W głosie Jen słychać niepokój.

– Chyba tak – przyznaję. – Jeszcze nigdy się tak nie czułam. Kiedy jesteśmy razem… trudno to opisać, ale jest tak, jak gdybyśmy… pasowali do siebie.

– No, no. Naprawdę się zabujałaś.

– To coś więcej – tłumaczę. – Czuję, że jestem pod dobrą opieką. On… jest dla mnie dobry. Sprawdza mnie, sprawia, że jestem silniejsza, lepsza.

Jen prycha.

– Jesteś pewna, że po prostu nie napaliłaś się na wyjątkowo seksownego aktora?

– Nie chodzi tylko o seks. A przynajmniej tak mi się wydaje. Przy nim nauczyłam się wiele o sobie samej.

– No jasne.

– On pomaga mi przezwyciężyć moje ograniczenia. Być lepszą aktorką. Uwierzyć w siebie.

– Nie widzę w tym nic złego – przyznaje Jen. – Kiedy się znów zobaczycie?

– Jutro rano mam z nim zajęcia. To istna męka. Po co wysłałam mu tego głupiego SMS-a? Pewnie właśnie zmyka, gdzie pieprz rośnie.

– Musiałaś to zrobić. Męczyłabyś się jeszcze bardziej, gdybyś go nie wysłała. Teraz

chociaż już wiesz. A przynajmniej się domyślasz. On spanikował. Daj mu spokój. Może wróci, może nie. A ty tymczasem dobrze się baw. Szkoda, że nie mogę być z tobą. Mogłabym…

– Masz pracę – przerywam jej. – Nie martw się. Nic mi nie będzie.

Choć jest dopiero wczesne popołudnie, wpełzam pod kołdrę. Jeszcze nigdy w życiu nie czułam się tak samotna i pusta. Życie bez Marca – nie ma w nim magii. Ekscytacji. Nie mogę tego znieść. Po prostu nie mogę.

Wpatruję się w telefon, siłą woli starając się sprawić, żeby zadzwonił, żeby przyszła wiadomość. Ale nic z tego.

Po południu mam lekcję śpiewu z Denise, ale nie dam rady na nią pójść. Jestem zbyt zmęczona po wczorajszej nocy i emocjonalnie wyczerpana po dzisiejszym dniu. Wpycham komórkę pod poduszkę i leżę, wpatrując się w sufit, myśląc, myśląc, myśląc.

Oglądam filmy na moim nowym laptopie, usiłując zapomnieć o Marcu, ale stale coś mi o nim przypomina. W *To właśnie miłość* – potajemny romans premiera i jego asystentki… W *Pretty Woman* – związek starszego, bogatego mężczyzny z młodą dziewczyną… Wszędzie widzę Marca.

Gdy zapada zmrok, wiem, że nie dam rady pójść na kolację z Tomem i Tanyą. Od razu zorientują się, że coś jest nie tak, a ja nie mam siły, żeby ich okłamywać. Jestem w stanie myśleć wyłącznie o tym, że jutro spotkam Marca.

Czuję się rozdarta. Część mnie rozpaczliwie pragnie się z nim spotkać. Druga połowa się boi. A jeśli to koniec?

O dziesiątej wieczorem nakrywam głowę kołdrą i zapadam w niespokojny sen.

Rozdział 54

Następnego dnia rano mam ochotę pójść na wagary. Ale wiem, że Tom i Tanya nie daliby mi spokoju, więc ubieram się i czekam przed salą wykładową ze ściśniętym żołądkiem, bo z nerwów znów nie byłam w stanie nic przełknąć na śniadanie. Nic nie jadłam od wczorajszego lunchu, jestem słaba i wystraszona.

Podskakuję przy każdym odgłosie kroków

– Cześć. – Czuję czyjąś dłoń na łokciu. To Tom.

– Cześć, Tom.

– Wyglądasz na wyczerpaną, skarbie. Późno poszłaś spać? – Unosi znacząco brew. Ma dziś na głowie czarny kowbojski kapelusz i różową kowbojską koszulę haftowaną na ramionach.

– Nie. – Uśmiecham się. – A szkoda.

– Nie możesz się doczekać dzisiejszego wykładu? Dobrze, że już wrócił, co?

Mam właśnie odpowiedzieć, gdy słyszę w korytarzu kroki. Odwracam się i widzę Marca idącego w stronę sali wykładowej.

Serce podchodzi mi do gardła, mocniej ściskam książki. Dziwnie się czuję, nie witając się z nim po tym, co między nami zaszło, ale w tej chwili wydaje mi się to niestosowne. I niechciane.

– Dzień dobry, panie Blackwell – mówi Tom swoim radosnym, tubalnym głosem. – Jak się pan dziś miewa?

– Dziękuję, dobrze. – Marc mija go i wchodzi do sali, nawet nie zaszczycając mnie spojrzeniem. Znów to samo. Ignoruje mnie. Wiem, że zaraz się rozpłaczę, i choć część mnie pragnie, żeby Marc zauważył, jaka jestem nieszczęśliwa, ta druga część nie chce, żeby widział moje łzy, jeśli to ma być koniec.

– Na razie – rzucam do Toma i puszczam się biegiem.

– Nic ci nie jest?! – woła za mną.

– Nie.

Wypadam na dwór i biegnę przez trawnik w stronę lasu. Kiedy jestem już wśród drzew, rzucam książki na chłodną, wilgotną ziemię i wybucham szlochem. Potem siadam na ziemi i oddycham głęboko: wdech, wydech. Widok przyrody i jej zapachy uspokajają mnie i pomagają mi dojść do siebie.

Pomiędzy drzewami dostrzegam wysoką sylwetkę idącą przez pokryty rosą trawnik. Szybko ocieram łzy i wstaję.

To Marc. Zauważa mnie i przyspiesza kroku. Zbieram książki z ziemi i ruszam w przeciwną stronę, w kierunku akademika.

– Sophio! – woła Marc.

Zaczynam biec, przyciskając książki do piersi.

– Zaczekaj. – Jest zaraz za mną i łapie mnie za łokieć. – Sophio, czekaj. Muszę z tobą porozmawiać.

Wyrywam rękę.

– Nie ma o czym rozmawiać. Za bardzo się do ciebie zbliżyłam i nie spodobało ci się to.

– Wracaj na zajęcia. Potem porozmawiamy. Nie lubię, kiedy jesteś tu sama.

– Wśród drzew nic mi nie grozi – uspokajam go. – To tego mężczyzny w sali wykładowej powinnam się bać.

Marc spuszcza głowę.

– Boisz się mnie?

– Oczywiście. – Ocieram łzy z policzków. – Boję się, że mnie zranisz. Już mnie zraniłeś.

Marc kładzie obie dłonie na moich ramionach.

– Przepraszam.

Znów czuję pod powiekami wzbierające łzy.

– Przestań – proszę, odsuwając się. – Nie tutaj.

– Wracaj na zajęcia – mówi Marc. – Potem porozmawiamy.

– Dobrze. Będę siedzieć na zajęciach, notować i udawać, że nic się nie stało, że nic do ciebie nie czuję. – Odwracam się i ruszam w stronę audytorium.

– Przepraszam – powtarza Marc, idąc obok mnie. – Nie chciałem cię zranić, ale to dla mnie nowe terytorium. Jeszcze nie jestem pewny, jak się z tym uporać.

– W porządku – mówię z poczuciem pustki i klęski. – Wiedziałam, że nasz związek nie ma przyszłości. Oboje o tym wiedzieliśmy. Wiedziałam, że musi się skończyć i wiedziałam, że będzie bolało.

– To nie musi być koniec.

– Doprawdy? Jasno dałeś mi do zrozumienia, co czujesz. Bądźmy realistami, Marc. Sam mówiłeś, że nie możesz dać mi tego, czego pragnę. – Przyspieszam kroku.

Rozdział 55

Kiedy wracam do sali wykładowej i przeciskam się na swoje miejsce, wszyscy się na mnie gapią. Mam zaczerwienione oczy, więc na pewno domyślają się, że płakałam, a może nawet kilka osób domyśla się, że powodem tych łez jest pan Blackwell. Pewnie uważają, że się w nim zakochałam, a on kazał mi o tym zapomnieć.

Marc staje przed audytorium i rozpoczyna wykład na temat języka ciała. Jest taki silny i opanowany. Wczoraj udało mi się do niego dotrzeć, ale teraz znów ma się na baczności.

Staram się słuchać wykładu, staram się widzieć w Marcu inteligentnego, opanowanego nauczyciela, w którego się wciela. Ale teraz widzę więcej – za tą wyprostowaną sylwetką i przenikliwym spojrzeniem kryje się bezbronność. Wrażliwość, która została podeptana i teraz on boi się ją znów okazać.

Uświadamiam sobie, że naprawdę jestem w nim zakochana – w nim całym. W niesamowitym, charyzmatycznym, inteligentnym aktorze, którego wszyscy widzą, i we wrażliwym chłopcu, którego stara się ukryć. Tak bardzo mnie boli, że nie możemy być razem. Ale przecież zawsze wiedziałam, że tak się to skończy.

Kiedy wszyscy wychodzą, ja też zbieram się do wyjścia. Nie mam ochoty wysłuchiwać mowy pożegnalnej Marca, wolę zakończyć to z godnością. Ale ktoś łapie mnie za łokieć, a gdy się odwracam, widzę Marca. Wzrok ma zamglony, a nad nosem dwie pionowe zmarszczki.

– Sophio, mogę z tobą porozmawiać? – Głos ma miękki, nie ma w nim charakterystycznej dla niego gwałtowności. Czuję ból w piersi. Studenci wychodzą z sali, zostajemy tylko on i ja. Sami.

– Posłuchaj, nie oczekuję oficjalnego zerwania – mówię. – Rozumiem. Nie chcesz tego samego, co ja. Zatem… rozejdźmy się każde w swoją stronę.

– Nie. – Marc kręci głową.

– Myślę, że powinniśmy to skończyć, zanim będę jeszcze bardziej cierpieć.

– Naprawdę chcesz to skończyć? – Marc ściąga grube brwi.

– Tak – odpowiadam, choć to nieprawda. Staram się być silna, ale pod spojrzeniem Marca opuszczają mnie prawie wszystkie siły.

– Więc powtórz to – mówi Marc, przysuwając się do mnie. – Powtórz, że powinniśmy z tym skończyć, a już nigdy nie będę ci się narzucał.

– Uważam, że powinniśmy – szepczę.

– Co powinniśmy? – pyta cicho, przysuwając twarz do mojej.

Odwracam wzrok. Marc ujmuje mnie pod brodę, żebym spojrzała na niego.

– Uważasz, że co powinniśmy?

Skończyć z tym, dopowiadam w myślach. Ale słowa grzęzną mi w gardle, a w następnej sekundzie Marc całuje mnie i zatracam się w czystym, ostrym zapachu jego skóry, ucisku jego dłoni na moich ramionach. W jego przymkniętych oczach o nieco zbolałym spojrzeniu i długich rzęsach, które trzepoczą, gdy mnie całuje.

Unosi mnie i sadza na ławce.

– Powiedz, że mnie nie pragniesz – szepcze mi w szyję. – A już nigdy cię nie dotknę. – Przyciąga mnie bliżej. – Powiedz, że nie możemy być razem.

Próbuję wypowiedzieć te słowa, ale tylko otwieram i zamykam usta.

Zadziera mi spódnicę do góry.

– Nie mogę być teraz bez ciebie. – Marc odsuwa mi na bok figi. Zauważam paczuszkę prezerwatyw, foliowe opakowanie drapie mnie w udo. – Masz w sobie coś… co mnie odmieniło. I nie potrafię stać się z powrotem taki jak dawniej.

Wtulam się w jego ciało. Protest, jaki rodzi się w mojej głowie, zostaje stłumiony przez poryw serca, który przyciąga mnie do niego. Ale wciąż mam wątpliwości.

– Byłeś taki chłodny dziś rano – bąkam.

Marc wsuwa się we mnie i moje protesty milkną.

– Och – jęczę, gdy porusza się delikatnie w przód i w tył.

– Jesteśmy sobie przeznaczeni – mówi. – Nie jestem w stanie myśleć o niczym prócz ciebie.

– Nie… przestawaj. – Słyszę własne słowa, w miarę jak w moim podbrzuszu narasta rozkosz.

Ruchy Marca stają się szybsze i mocniejsze. Łapie mnie za pośladki i przyciąga do siebie. Jęczę głośniej.

– Miałem ochotę wziąć cię na tej ławce od chwili, gdy weszłaś dziś rano do sali. Wiedziałaś o tym? Wiesz, jak trudno mi było nie pożerać cię wzrokiem?

Nie jestem w stanie odpowiedzieć. Jestem zbyt pochłonięta tym, co czuję. Marc nie przerywa, wsuwając się coraz głębiej.

– Myślałem, że nie dam rady – szepcze. – Po wczorajszej nocy myślałem, że nie dam rady. Ale później myśl, że mógłbym cię stracić… kiedy wybiegłaś rano z zajęć, uświadomiłem sobie, że tak naprawdę boję się, że cię stracę.

W tej chwili jego słowa nie robią na mnie wrażenia. Doznania narastają. Wypełnia mnie całkowicie, pod każdym względem. Im mocniejsze są jego pchnięcia, tym jest mi lepiej.

Dochodzę i osuwam się na niego. Trwamy tak przez chwilę, obejmując się ramionami, dopóki nie dociera do mnie, gdzie jesteśmy.

– Ktoś może wejść – mówię.

Wysuwa się ze mnie, widzę, jak zdejmuje prezerwatywę i zawiązuje ją. Wkłada członek z powrotem w spodnie, widzę, jak opina się na nim materiał.

– Jak możesz to znieść? – pytam. – Nie rozumiem. Chcę, żebyś czuł to, co ja.

– Muszę czuć, że panuję nad sytuacją – tłumaczy Marc, chodząc tam i z powrotem. – Choć muszę przyznać, że robi się to coraz trudniejsze.

– Więc przestań się hamować.

Marc kręci głową.

– To byłoby nie w porządku. Zwłaszcza że wciąż jestem twoim nauczycielem. No właśnie. Masz kolejne zajęcia… – zerka na zegarek – …za jakieś dziesięć minut, zgadza się? Śpiew, z cudowną Denise.

– Tak – potwierdzam, pragnąc znów poczuć wokół siebie jego ramiona. Pragnąc spędzać z nim każdą chwilę. Kiwam głową.

– Więc powinnaś już iść – stwierdza Marc. Przesuwa dłonią po moich włosach. – Zobaczymy się po południu na wycieczce do teatru.

Kiwam głową. Kompletnie zapomniałam o wycieczce.

– Nie wiedziałam, że też się wybierasz.

– Organizuję wyjścia co semestr – wyjaśnia. – I jak zwykle biorę w nich udział. Muszę mieć pewność, że moi studenci wyniosą z nich jak najwięcej.

– Okej – mówię – ale kiedy znów się spotkamy jak należy?

Marc się uśmiecha.

– Wkrótce.

Rozdział 56

Nauka śpiewu to czysta przyjemność i myślę, że Denise domyśla się, że jestem szczęśliwa. Od czasu do czasu posyła mi uśmiech, a mnie cieszy jej troska.

Po zajęciach z Denise i lunchu ruszamy do teatru Globe uczelnianym minibusem. Teatr znajduje się na brzegu Tamizy, jest wietrznie i pada. Drżąc z zimna, czekam razem z resztą studentów na naszą przewodniczkę. Minibus podrzucił nas do teatru odrobinę za wcześnie i przed nami jeszcze dziesięć minut czekania.

Marc przyjechał osobno i jest już w teatrze, gdzie stara się przyspieszyć nasze wejście. Tanya uważa, że schował się w środku, żeby uniknąć napastowania przez wielbicieli, którzy czekają na brzegach Tamizy. Zamknęli teatr specjalnie dla naszej grupy i rozeszła się plotka, że w środku jest Marc Blackwell.

Teatr jest wielki, okrągły i piękny. Ściany ma białe i gładkie, opasane drewnianymi belkami, dach kryty jest strzechą. Wpatruję się w słynny budynek, wyobrażając sobie, jak musieli czuć się ludzie oglądający tu aktorów w czasach Szekspira. To nie jest oryginalna budowla, tylko bardzo zbliżona rekonstrukcja, ale to wystarczy, żebym mogła puścić wodze fantazji.

Podchodzi do nas kobieta w zielonej kurtce, z naciągniętym na głowę kapturem.

– Witam studentów Akademii pod Bluszczem. – Ma na nosie druciane oprawki, koralowa szminka rozmazała jej się na zębach. – To zaszczyt móc was tu gościć. Mam

was oprowadzić po teatrze. Zapraszam do środka.

Idziemy za nią do głównego wejścia, przewodniczka otwiera kluczem drzwi, za którymi czeka na nas w lobby Marc. Przystojny jak zawsze, jest ubrany w dżinsy i koszulkę z krótkim rękawem. Jakim cudem nie jest mu zimno?

Kąciki jego ust unoszą się nieznacznie na mój widok, wytrzymuje moje spojrzenie. Odwracam wzrok, usiłując powstrzymać uśmiech.

– Pan Blackwell! – mówi bez tchu przewodniczka. – To dla mnie wielki zaszczyt. – Dyga niezgrabnie. – Jak to miło, że przyszedł pan ze swoimi studentami.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiada Marc, potrząsając jej dłonią.

– Zaprowadzę was prosto do teatru – mówi przewodniczka, przyciskając dłoń do policzka. – A potem przejdziemy do muzeum, gdzie będziecie mogli dowiedzieć się więcej o tym niezwykłym budynku.

Prowadzi nas na wielką, otwartą przestrzeń w kształcie okręgu, o chropowatej podłodze, otoczoną drewnianymi siedzeniami i balustradami. Miejsca siedzące znajdują się na trzech poziomach, widzę też część słomianej strzechy, która chroni siedzenia przed żywiołami.

Pod otwartym sklepieniem mży, więc przewodniczka prowadzi nas do zadaszonych siedzeń.

Tonya, Tom i ja czekamy, aż wszyscy zajmą miejsca, żebyśmy mogli wnieść Toma po schodach w górę i ustawić na końcu przejścia. Marc pomaga nam i upewnia się, że hamulec jest zaciągnięty.

– Doskonale pamiętam, jak to jest na wózku – mówi Marc. – Grając, parę razy zapomniałem o hamulcu i prawie skręciłem kark.

Tom kiwa głową z uśmiechem.

– Jak widać, Szekspir nie dbał o udogodnienia dla niepełnosprawnych. Co za drań.

Stajemy z Tanyą po obu stronach Toma, ale ku mojemu zdziwieniu, Marc się nie rusza. Staje ze mną.

Przewodniczka wygląda, jak gdyby było jej przykro, że Marc już jej nie towarzyszy, ale szybko dochodzi do siebie i zaczyna nam opowiadać, z jaką pieczołowitością odtworzono teatr na podstawie historycznych rycin i dokumentów. Opowiada nam o scenie i wskazuje drewniany balkon nad nią.

– Współcześni aktorzy odgrywają na tym balkonie Julię wołającą swojego Romea – wyjaśnia. – Ale w czasach Szekspira sadzano na nim ważnych gości, takich jak rodzina królewska. W tamtych czasach bardziej liczyło się to, co słychać, niż to, co widać. Więc z najlepszych miejsc w teatrze wcale nie widać było aż tak dobrze aktorów.

Czuję na szyi oddech Marca, gdy przewodniczka opowiada nam o historii teatru. Staram się jej słuchać, ale całe moje ciało jest napięte. Jestem w stanie myśleć wyłącznie o tym, że Marc jest tak blisko. Czuję ciepło jego ciała.

Kiedy przewodniczka opowiada nam, jak zbudowano nowy teatr, czuję dłoń na pośladkach.

Rzucam Marcowi jadowite spojrzenie, mające oznaczać „nie tutaj”, ale on posyła mi ten swój dziwny uśmieszek, a potem ściska pośladek palcami. Muszę zacisnąć wargi, żeby nie wydać z siebie żadnego dźwięku.

Znów się odwracam i zerkam na niego. Uśmiecha się prawie niezauważalnie, gdy napotyka mój wzrok, ale poza tym ma całkowicie obojętną minę, gdy tak stoi, opierając się nonszalancko jedną ręką o drewnianą belkę, a drugą masując moją pupę.

Uśmiecham się i kręcę głową. Zaciska zęby ze wzrokiem wbitym przed siebie.

Nie mogę ustać spokojnie, gdy tak miętosi i ugniata mi pośladki. Czuję ulgę, gdy przewodniczka kończy wykład i czas przejść do muzeum.

Klasa schodzi po stopniach w dół i dłoń Marca opada. Teraz, gdy jej nie czuję, brakuje mi jej ciepła. Marc znosi Toma po schodach, a my z Tanyą czekamy na nich. Potem wszyscy ruszamy w stronę muzeum, ale gdy dochodzę do drzwi, Marc łapie mnie za rękę.

Staję, patrząc niemądrze za oddalającymi się plecami Toma i Tanyi.

– Chodź ze mną – prosi Marc.

– Co to za gierki? – warczę. – Ktoś mógł nas zobaczyć.

– Ja tylko pomagam ci grać – odpowiada Marc z tym swoim drwiącym uśmieszkiem. – Chodź.

– Dokąd? – pytam, patrząc, jak drzwi muzeum zamykają się z kołysaniem.

– Tam. – Ściska moją dłoń i prowadzi mnie po drewnianych stopniach na scenę teatru Globe.

– Wolno tu wchodzić?

– Mnie tak – mówi Marc. – Jestem mecenasem tego teatru. – Prowadzi mnie przez jedne z zaokrąglonych drzwi i w górę po skrzypiących stopniach. Nagle jesteśmy na balkonie nad sceną, skąd mamy widok na cały amfiteatr.

– To niesamowite – stwierdzam, patrząc na puste miejsca. – Wyobraź go sobie przy pełnej widowni.

– Niesamowity budynek – zgadza się Marc. – Idealna rekonstrukcja, tak idealna, jak to tylko możliwe. – Unosi mi podbródek. Rozgląda się na boki. – Podejdź do balustrady.

Podchodzę, łapię gładkie drewno i omiatam wzrokiem teatr. Jest naprawdę niezwykły. Mogłabym tu spędzić cały dzień.

Marc przekłada mi włosy z jednej strony karku na drugą, na moich ramionach pojawia się gęsia skórka. A potem wpija mi się ustami w szyję, wyrywając z mojej piersi stłumiony okrzyk.

– Marc, co ty wyrabiasz? Nie wiesz, gdzie jesteśmy? – Zaciskam palce na balustradzie.

– Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, gdzie jesteśmy, panno Rose. To idealne miejsce, aby kontynuować twoją edukację. – Jednym płynnym ruchem unosi mi sukienkę i podciąga stanik do góry, odsłaniając piersi. Potem zakrywa je dłońmi i przyciska się do mnie.

– Mam dziś zamiar przetestować twoje granice.

Rozdział 57

Spoglądam na pusty teatr.

– Myślę, że już wystarczająco je przetestowałeś.

– O, nie sądzę. – Marc jedną ręką zsuwa mi figi i rozpina rozporek. Potem wsuwa mi palec między pośladki.

– Czy ktoś kiedyś wziął cię w ten sposób? – pyta, wsuwając palec głębiej, aż zaciskam pośladki.

– O mój Boże – szepczę, gdy ściska mi dłonią pierś. – Nie. Nigdy. Nigdy czegoś takiego nie robiłam, Marc…

Próbuję się odwrócić, żeby zobaczyć, co robi, ale zmusza mnie, żebym dalej patrzyła przed siebie.

– Marc, to nie jest… och!

Wsuwa mi się między pośladki i czuję, że ma wzwód, ale jest znacznie bardziej śliski niż zwykle.

– Co ty robisz?

– Coś, czego musisz spróbować – odpowiada Marc. – Nie martw się. Mam specjalną prezerwatywę. Na pewno nie pęknie.

– Marc, naprawdę nie jestem na to gotowa. Proszę. To nie jest odpowiednie miejsce.

– To idealne miejsce. – Wsuwa się coraz głębiej między moje pośladki.

– Nie wiem jak…

– Więc pozwól, że ci pokażę. – Jednym szybkim ruchem wdziera się we mnie – inną mnie. Mnie, w której nikt jeszcze nigdy nie był.

Zaciskam dłonie na balustradzie.

– Zrobię to powoli – szepcze. – Zaufaj mi, Sophio. Doskonale wiem, jak daleko mogę się posunąć. To odpowiednia próba na dziś.

– Już wystarczy – mamroczę, czując opór.

Marc wsuwa się głębiej.

– Jeszcze nie. Dasz radę. Zaufaj mi. – Zaczynam odczuwać ból i słyszę stłumiony okrzyk – mój własny.

– Obiecuję, że będzie ci przyjemnie. Po prostu się rozluźnij. – Wsuwa mi dłoń między nogi i zaczyna poruszać nią w przód i w tył, jednocześnie wbijając się coraz głębiej.

Jest taki twardy, a ja tak strasznie ciasna. Zaczyna poruszać się coraz szybciej.

Och. Och.

Z początku czuję się tak dziwnie, że chcę go poprosić, żeby przestał, ale dzięki posuwistym ruchom jego dłoni zaczynam odczuwać przyjemność.

Jęczę, gdy wbija się coraz głębiej. Ściskam balustradę i świat rozmazuje mi się przed oczami. Jestem w stanie myśleć wyłącznie o Marcu i o tym, co ze mną robi. Jest mi tak dobrze.

– Podoba ci się? – pyta Marc, przyspieszając. – Wiedziałem, że tak będzie. – Jego dłoń przesuwa się w przód i w tył, coraz szybciej. Słyszę jego jęk i to jest w tym najprzyjemniejsze.

– O Boże – jęczy, z każdym pchnięciem wbijając się coraz głębiej. – Jesteś bardzo pojętną uczennicą. Tak, bardzo pojętną.

Czuję, że wszedł już we mnie prawie w całości, uginają się pode mną kolana i dochodzę, wołając jego imię.

Gdy moim ciałem targają spazmy rozkoszy, wsuwa się we mnie do końca i przyciska całym ciałem do moich pośladków.

– O Boże… och, Sophio.

Czuję, jak się we mnie wbija.

Opada mi na ramiona, obłapiając za piersi i przyciągając do siebie. Obejmuje mnie przez dłuższą chwilę, a potem wysuwa się ze mnie. Widzę, że wciąż ma erekcję, i jestem rozczarowana. Nie doszedł.

Wrzuca kondom do plastikowego woreczka i wtedy dociera do mnie, że musiał to wcześniej zaplanować.

– Zaplanowałeś to – mówię.

Marc kiwa głową.

– Nazwij to przygotowaniem do zajęć.

– Nie wiem, co mam myśleć o tym, co się stało – stwierdzam, obciągając sukienkę. – I gdzie.

Bierze mnie w ramiona.

– Nie myśl tyle. Skorzystasz na tym, obiecuję. Lepiej wracaj do reszty. Dogoń wycieczkę.

– A ty?

– Nie chcę, żeby ktoś nabrał podejrzeń. Nadal muszę mieć wzgląd na twoją reputację. Wyjdę wyjściem przeciwpożarowym i spotkamy się później.

– Okej. – Przełykam ślinę, martwiąc się, jak zejdę po tych skrzypiących schodach. Wciąż mam miękkie kolana. – Gdzie?

– Zaplanowałem coś – mówi Marc. – Naszą ponadprogramową wycieczkę. Za dwie godziny pod bramę kampusu przyjedzie po ciebie samochód. A teraz idź. – Wskazuje schody. – Bo zaczną coś podejrzewać.

– Okej. – Ostrożnie schodzę na dół. Przechodzę przez scenę i odwracam się, żeby zobaczyć Marca stojącego na balkonie. Wpatruje się we mnie, głęboko zamyślony. Kiedy zauważa, że patrzę na niego, przez jego twarz przemyka wyraz czułości, od którego mięknie mi serce.

– Nie będzie mi łatwo czekać – rzuca.

– Wiem – odpowiadam. – Co my zrobimy, Marc?

Przeczesuje ręką włosy.

– Właśnie się nad tym zastanawiam.

Rozdział 58

Po zwiedzaniu muzeum razem z Tomem i Tanyą pijemy herbatę w teatralnej restauracji.

Z okien widać Tamizę, przyglądamy się jej skłębionym szarym wodom, smaganym deszczem i wiatrem.

– Uwielbiam to miejsce – mówi Tom. – Jeśli nie liczyć braku podjazdu dla wózków, to było wspaniałe wyjście. I ile się nauczyliśmy! Wstyd, że się tak guzdrałaś, Soph! Wycieczka po muzeum była główną atrakcją.

– Uważam, że była dosyć nudna – wtrąca Tanya. – Soph miała dobry pomysł, by zostać w teatrze i lepiej mu się przyjrzeć. Co za niezwykły budynek.

– To prawda – przyznaję.

– Podobała ci się scena? – pyta Tanya. – Wiesz, że Marc występował na niej, prawda?

– Tak – odpowiadam cicho. – Bardzo mi się podobała. – A Marc znów dziś na niej wystąpił.

– Cóż – mówi Tom, popijając cappuccino. – Co powiecie na krótką wycieczkę po Londynie? Przespacerujemy się do akademii, podziwiając po drodze widoki?

– Wiesz, jak daleko stąd na uczelnię? – pyta Tanya.

– Oczywiście. Dorastałem w Londynie. Chcesz powiedzieć, że ponieważ jestem na wózku, nie zajadę daleko?

– Nie – mówi Tanya. – Chcę powiedzieć, że nie zajedziesz daleko, bo jesteś niewiarygodnym leniem. Marudzisz, kiedy masz przejechać przez trawnik na kampusie, a to tylko kilka metrów. Pewnie skończy się to tak, że albo ja, albo Sophia będziemy musiały cię pchać przez większość drogi.

– Rozumiem – odpowiada Tom. – Będziecie się kłócić, która z was ma pchać sławnego Toma Davenporta. Nie kłóćcie się, drogie panie. Możecie mnie pchać na zmianę. Musi być jakaś sprawiedliwość.

Wszyscy troje wybuchamy śmiechem.

– Nie mam nic przeciwko temu, żeby cię pchać – stwierdzam.

– Ja też nie – potakuje Tanya.

– No to na co czekacie? Po południu nie mamy żadnych zajęć, zgadza się? Więc mamy tyle czasu, ile dusza zapragnie.

– Prawdę mówiąc, za godzinę muszę być z powrotem na kampusie – oznajmiam, zerkając na zegarek.

– Naprawdę? – Tom unosi brew. – Gorąca randka z tym starszym facetem?

– Coś w tym rodzaju – przyznaję.

– Sophia, uważaj na siebie – ostrzega Tanya. – Jest starszy od ciebie i… znasz moje zdanie. O ile właściwie jest starszy?

– Pięć lat – mówię.

– To prawie żadna różnica – stwierdza Tom. – Randkuję online z trzydziestopięcioletnią rozwódką.

– Tak, ale to co innego – tłumaczy Tanya. – To się dzieje w realu. Po prostu nie chcę, żeby cię wykorzystał, to wszystko. Poznał już jakichś twoich znajomych?

– W pewnym sensie.

Tom unosi brwi.

– W pewnym sensie? Intrygujące. – Przez chwilę milczy i prawie jestem w stanie zobaczyć trybiki obracające się w jego głowie. – Pan Blackwell dość szybko się dziś

ulotnił, nie uważasz?

– Naprawdę? – Drapię się po głowie. – Nie zauważyłam.

– Ty też nagle zniknęłaś… – Tom wpatruje się we wzburzoną wodę. – Starszy gość. Władczy. Pięć lat różnicy…

Wpatruję się w Toma, błagając go spojrzeniem, żeby za dużo o tym nie myślał. Ale jest już za późno.

– Pan Blackwell.

Tanya gapi się na Toma.

– Co ty wygadujesz? – A potem, z przymglonym wzrokiem, sama dodaje dwa do dwóch. – Och. Nie, to niemożliwe. Prawda? Soph?

Wbijam wzrok w kubek z gorącą czekoladą.

– Soph? – powtarza Tanya.

Tom odchrząkuje i kładzie rękę na ramieniu Tanyi, kręcąc głową. Potem zwraca się do mnie:

– W porządku, moja droga. Nie zdradzimy twojej tajemnicy.

– Proszę, nie mówcie nikomu – szepczę. – Sama nie wiem… co o tym wszystkim myśleć.

Tom i Tanya kiwają z powagą głowami.

– Ale to prawda. Pan Blackwell i ja jesteśmy… kimś więcej niż nauczycielem i uczennicą.

– Nic nie mów! – woła Tanya i zdziela Toma w ramię.

– Ciszej, bo zaraz wszyscy w tej cholernej restauracji nas usłyszą – szepcze Tom.

– Przepraszam. – Tanya zakrywa usta dłonią. – Sophio, masz moje słowo. Nikomu nic nie pisnę. Obiecuję.

– Ani ja – zapewnia Tom. – Ale musisz nam zdradzić, jaki nasz hollywoodzki amant jest w łóżku. Cały jest taki biały?

Śmieję się.

– Z tego, co zdążyłam zobaczyć, to tak. A widziałam niewiele.

– Intrygujące – stwierdza Tom.

Kiwam głową, wciąż wpatrując się w czekoladę.

– W przypadku Marca nic nie jest proste i zwyczajne. Czasem mam wrażenie, że udało mi się do niego zbliżyć. Innym razem czuję się… sama nie wiem. Dziwnie. To wszystko jest jakieś dziwne.

– Masz rację – przyznaje Tanya. – Dziwne i niestosowne. Nie powinien zadawać się z uczennicą.

– Wiem – mówię. – Ale czasem… nigdy nie pociągała cię nieodpowiednia osoba?

– Nigdy. – Tanya kręci głową. – Nie pozwoliłabym sobie na to. Nie mam w oprogramowaniu takiej opcji.

– Ludziom zdarza się zakochać w nieodpowiedniej osobie – mówię. – A kiedy już się zakochasz, co możesz zrobić?

– Robisz, na co masz ochotę, i martwisz się o konsekwencje, kiedy wszystko trafi szlag – mówi Tom.

– Panujesz nad sobą i nie wdajesz się w romans – dodaje Tanya.

Czuję, że prawidłowa odpowiedź leży gdzieś pomiędzy. Nie jestem tylko do końca pewna, jak powinna brzmieć.

Rozdział 59

O szóstej znów stoję przed wejściem do kampusu, ale tym razem nie dygocę. Opatulona kaszmirowym płaszczem, który kupił mi Marc, obserwuję rudzika skaczącego po bramie z kutego żelaza.

Podjeżdża czarny samochód, ale tym razem nie jest to limuzyna. To opływowy mercedes o przyciemnianych szybach. Keith wysiada z miejsca kierowcy i otwiera mi drzwi.

– Dziękuję – mówię, wsiadając. – Jak się pan ma?

– Nieźle – odpowiada Keith, poprawiając lusterko. – A ty, młoda damo? Czy pan Blackwell traktuje cię jak należy? Mam nadzieję. Jeszcze nigdy nie zachowywał się tak w stosunku do kobiety.

– Nie mam pojęcia, jak zazwyczaj traktuje kobiety – mówię, wyglądając przez okno. – Ale nie wydarzyło się między nami nic, co pozwoliłoby mi się poczuć kimś wyjątkowym.

– Zdziwiłabyś się. – Widzę, że Keith się uśmiecha.

Gdy samochód wjeżdża do garażu, zauważam Rodneya czekającego obok beżowego rolls-royce'a. Otwiera mi drzwi.

– Pan Blackwell kazał mi odprowadzić panią do swojego gabinetu – informuje, otwiera drzwi domu i rusza po schodach w górę.

– Dziękuję – mówię, idąc za nim. – Do widzenia, Keith.

Keith macha mi na pożegnanie, a ja wkraczam do jaskini smoka. Hol pachnie pastą do podłóg i sokiem cytrynowym, a oprawione w ramki zdjęcia Londynu lśnią.

– Gabinet znajduje się na pierwszym piętrze – wyjaśnia Rodney, prowadząc mnie po szerokich schodach. – Próbowałem namówić pana Blackwella, żeby powiesił na ścianach plakaty ze swoich filmów albo zdobyte nagrody. Coś, co świadczyłoby o tym, kim jest, co osiągnął. Powinien być dumny ze swojej kariery. Ale pan Blackwell nie lubi się afiszować. Wszystko musi być dyskretne. Te wszystkie czarne ubrania.

Podchodzi ze mną do zamkniętych drzwi.

– Jest w środku – oznajmia, pukając. – Panie Blackwell! Pański gość już jest.

Otwieram drzwi i widzę pokój pełen skórzanych kanap, czerwonych dywanów i szklanych stolików. Marc siedzi na sofie, z jedną nogą wyciągniętą wzdłuż mebla. Jak zwykle cały jest ubrany na czarno – czarna koszulka, czarne dżinsy i czarne skarpetki. W ręku trzyma zielone wydanie *Romea i Julii*, które widziałam w jego pokoju; na mój widok zamyka ostrożnie książkę.

– Dobry wieczór, Sophio.

– Dobry wieczór.

– Jadłaś już kolację?

Na szklanym stoliku zauważam wybór przystawek. Kuleczki mozzarelli ze świeżą bazylią, paluszki chlebowe zawinięte w szynkę, pomidorki koktajlowe na wykałaczkach, płatki parmezanu. Za jedzeniem stoją dwie butelki czerwonego wina, a w kubełku z lodem chłodzi się szampan.

Kręcę głową.

– Nie. Jeszcze nie. Miałam dzisiaj sporo do przemyślenia. Nie chciało mi się jeść.

– Kazałem przynieść na górę kilka przekąsek, które mogą ci smakować.

– Pomyślałeś, że lubię włoskie jedzenie? – Zauważam, że parmezan wygląda bardzo świeżo, a mozzarella jest rozkosznie kremowa, taka, jaką można dostać tylko we Włoszech.

– To najlepsze jedzenie na świecie.

– Moja mama pochodziła z Włoch. Czasem tam jeżdżę. To prawda. Mają tam niesamowite jedzenie.

Na ustach Marca pojawia się cień uśmiechu.

– Jesteś w połowie Włoszką?

Kiwam głową.

– Powinienem był się domyślić. Usiądź.

– Dziękuję. – Siadam na kanapie i od razu czuję znajome działanie bliskości Marca. Drżenie kolan, lekkie nudności i przemożne podekscytowanie.

– Wyglądasz na zdenerwowaną – zauważa Marc, odkładając książkę na duży szklany stolik kawowy na środku pokoju. – Niepotrzebnie. Po dzisiejszym dniu będę wyrozumiały, okej? – Stolik jest pusty, jeśli nie liczyć złotego otwieracza do butelek, pilota od telewizora i butelki Peroni. – Wina?

– Jestem zdenerwowana – przyznaję. – I napiłabym się piwa, jeśli masz.

Marc uśmiecha się szeroko, a ja czuję, że się rozpływam.

– Piwa? A więc nie jesteś jednak aż taka delikatna. – Podnosi poręcz kanapy i widzę w środku sześć butelek piwa. Otwiera jedną i podaje mi. Gdy muska mnie palcami, wzdrygam się. Piwo jest zimne, więc zgaduję, że schowek w poręczy kanapy musi być lodówką.

– Dzięki – mówię, pociągając długi łyk.

– A więc… – Marc siada prosto. – Na pewno zastanawiasz się, co zaplanowałem na dziś wieczór.

Kiwam głową.

– Tak. Trochę się denerwuję.

– Usiądź obok mnie, Sophio.

Spełniam jego polecenie. Skórzana sofa skrzypi, gdy się przesiadam, nasze spojrzenia spotykają się. Marc bierze głęboki oddech i zamyka oczy. Odnoszę wrażenie, że zaciąga się moim zapachem. Otwiera oczy.

– Boże, jesteś taka piękna – mówi. – Tak niesamowicie piękna. Od stóp do głów.

– Dziękuję – mamroczę. – Nigdy… to znaczy, nigdy tak o sobie nie myślałam.

– A powinnaś.

Upijam kolejny łyk piwa. Napięcie w pokoju narasta. Wiem, że oboje to czujemy.

Pragnę, żeby mnie dotknął, ale jak zwykle to on dyktuje tempo. Jestem prawie pewna, że jeśli spróbuję go dotknąć, powstrzyma mnie.

Marc odwraca się w stronę telewizora i bierze do ręki pilota.

– Na razie uczyłem cię, jak wyzbyć się zahamowań – mówi. – Pokazałem ci, jak przestać się kontrolować. Dziś przyjmiemy nieco inną perspektywę.

– Marc, cała ta zabawa w nauczyciela i uczennicę… Nie możemy zachowywać się normalnie? Tylko dzisiaj? Dopóki… nie wiemy, na czym stoimy?

Marc zastanawia się chwilę.

– Chcę, żebyś czegoś spróbowała, Sophio. Uważam, że dobrze ci to zrobi.

– Co masz na myśli z tą „inną perspektywą”?

– Chcę, żebyś obejrzała film, na którym inni pozbywają się zahamowań – odpowiada po prostu Marc.

– Co takiego? – Boję się. Co on ma na myśli? Boję się, że chce mi pokazać filmy z innymi kobietami, które miał. – Chyba nie jestem na to gotowa – mówię, przełykając kolejny łyk piwa. – Jeśli chcesz, żebym oglądała twoje kobiety…

– Nie chcę tego. – Marc zaprzecza gestem.

– Więc co mam obejrzeć?

– Coś, co – mam nadzieję – pozwoli ci się jeszcze bardziej otworzyć.

Ściskam butelkę piwa niczym koło ratunkowe.

– Myślałam, że zbliżyliśmy się do siebie – oznajmiam. – W dobry sposób. Jako… para. Marc, czy tobie zawsze będzie o to chodziło? O to, żeby mnie seksualnie zdominować? Potrzebuję czegoś więcej.

– I dostaniesz to – szepcze Marc, owijając na palcu kosmyk moich włosów. – Obiecuję. Bardzo się staram, żeby do tego doszło. Ale na razie pozwól, że będę działał po swojemu.

Wciska guzik pilota i na ekranie pojawia się klasa. Przy tablicy stoi mężczyzna w czapce uniwersyteckiej i czarnej, zamaszystej todze. Jest ubrany zgodnie ze stereotypem staromodnego nauczyciela, ale jest młody, przystojny i opalony.

Do klasy wchodzi dziewczyna w mundurku w stylu Britney Spears, jedząca lizaka. Ma tlenione blond włosy i obfite piersi ściśnięte pod białą bluzką. Na pewno nie jest nastoletnią uczennicą, zgaduję, że tak naprawdę jest kilka lat starsza ode mnie.

Kamera robi najazd na jej usta, filmując, jak ssie lizaka. Oblizuje go językiem, po czym wydyma usteczka do nauczyciela.

O mój Boże.

– Chcesz, żebym oglądała z tobą porno? – pytam z bijącym sercem. Pocą mi się dłonie, a żołądek kurczy się, jak gdybym najadła się soli. Nie podoba mi się to. Ani trochę.

– Nie bój się – mówi Marc. – Oglądanie ci nie zaszkodzi, obiecuję. Nigdy wcześniej nie oglądałaś pornografii?

Kręcę głową.

– Raczej nie. A przynajmniej… nie na poważnie.

– Nawet ze swoimi chłopakami? A co ze świerszczykami? Nie miałaś nigdy chłopaka, który czyta pisemka pornograficzne?

– Być może – odpowiadam. – Ale nigdy mi ich nie pokazywali.

– Usiądź tutaj. – Sadza mnie sobie na udzie. Pomiędzy nogami czuję twarde mięśnie.

Obejmuje mnie w talii.

– Wszystko w porządku – szepcze. – Jeśli naprawdę ci się nie spodoba, powiedz tylko, a wyłączę telewizor.

Uczennica siada na biurku przed nauczycielem. Plisowana, mikroskopijna spódniczka podjeżdża do góry, ukazując pończochy.

– Czy chce mnie pan zerżnąć? – pyta, trzepocząc długimi, sztucznymi rzęsami. Unosi spódniczkę, pokazując figi bez kroku i nagą, ogoloną skórę.

Przełykam ślinę i upijam kolejny łyk piwa. Jestem zażenowana oglądaniem tego filmu i Marc musi zdawać sobie z tego sprawę. Ale jednocześnie robi mi się gorąco i wciąż czuję udo Marca między nogami.

Nauczyciel chodzi tam i z powrotem po klasie, a potem bierze packę z półki pod tablicą.

– Jak śmiesz zachowywać się w taki sposób wobec nauczyciela?! – krzyczy z rozwianą togą. – Zasługujesz na lanie.

Dziewczyna piszczy, gdy przekłada ją sobie przez kolano, unosi spódnicę i uderza ją mocno w pupę.

– Jesteś bardzo niegrzeczną dziewczynką.

– Jak się czujesz? – pyta Marc.

– Nie wiem – odpowiadam. – Zdezorientowana. Trochę mi niedobrze.

– W ogóle cię to nie kręci?

Rumienię się.

– Tak. Odrobinę. Często oglądasz takie filmy?

– Nie. Ten kupiłem specjalnie dla ciebie.

Jestem jeszcze bardziej zażenowana.

– Dla mnie? Myślałeś, że mi się spodoba?

– Scenka z nauczycielem i uczennicą to taki żarcik z mojej strony. Ale owszem, pomyślałem, że dobrze ci zrobi oglądanie ludzi, którzy nie mają zahamowań seksualnych.

– Sam pewnie nie musisz oglądać takich filmów – stwierdzam. – Jest cała masa kobiet, które naprawdę zrobiłyby dla ciebie wszystko.

Marc uśmiecha się blado.

– To prawda. Ale to nie znaczy, że zawsze z tego korzystam. Życie potrafi być bardzo nudne, kiedy zawsze dostajesz to, czego pragniesz, uwierz mi.

Na ekranie nauczyciel przewraca uczennicę na plecy.

– Proszę tego nie robić. Jestem dziewicą.

– Powinnaś była pomyśleć o tym, zanim zachowałaś się jak dziwka.

Nauczyciel uprawia seks z kobietą na biurku, lecz choć ta krzyczy „nie, nie”, na zbliżeniu jej twarzy widać, że zaczyna jęczeć z rozkoszy.

Jestem jeszcze bardziej zawstydzona, nie wiem, gdzie podziać oczy, ale muszę być ze sobą szczera – oglądanie tego filmu naprawdę mnie podnieca. Wolałabym, żeby Marc nie obserwował mnie w tej chwili. Nie wiem, czego ode mnie oczekuje. Czy robi to, żeby mnie upokorzyć?

Czuję, jak jego dłonie zaciskają się na mojej talii, zaczyna przesuwać mnie w przód i w tył wzdłuż swojego uda.

Rozdział 60

Próbuję nie oglądać filmu, ale Marc odwraca mi głowę w stronę telewizora. Teraz uczennica klęczy, a nauczyciel przyciska sobie jej głowę do krocza. Rozpina jej koszulę, pod spodem jest naga.

Nie podoba mi się, że Marc ogląda tę nagą kobietę. Czuję się napastowana. Ale pocieranie między nogami sprawia, że jestem coraz bardziej napalona. Czuję, że płonę.

– Stop – mówię, zrywając mu się z kolan. – Nie mogę tego dłużej oglądać. To… to jest niewłaściwe.

– Dlaczego? – pyta Marc, wyłączając telewizor. – Chodzi o relację nauczyciel–uczennica?

– Nie. – Kręcę głową.

– Wiem, że ta scenka cię podnieciła – mówi Marc. – Czułem twój przyspieszony oddech…

– Nie podobało mi się oglądanie go z tobą. Nie lubię, kiedy oglądasz inne kobiety nago.

Marc się śmieje.

– To o to chodzi? Zazdrość?

Uśmiecham się, gdy dociera do mnie, że ma rację.

– Okej, przyznaję. A jak byś się czuł, gdybym oglądała nagiego faceta?

Marc wzrusza ramionami.

– Nie miałbym nic przeciwko. Obchodzi mnie tylko to, czy jesteś podniecona, czy nie. – Wsuwa mi rękę za pasek dżinsów. – A czuję, że jesteś.

Wywijam mu się.

– A gdybym była z innym mężczyzną? Czy to by ci przeszkadzało?

Marc posępnieje, krew odpływa mu z warg.

– Nie zniósłbym tego.

Czuję ciepło w sercu.

– Naprawdę?

Marc kiwa głową.

– Cieszy mnie to – mówię.

Marc bierze z powrotem pilota.

– Gotowa na ciąg dalszy?

– Dla mnie chyba już na dzisiaj wystarczy.

– Mhm. – Marc dopija piwo. – To znaczy, że dobrze wykonuję swoją pracę. Musisz poczuć dyskomfort. Inaczej nigdy nie dorośniesz. Zaczekaj.

Wychodzi z pokoju, a ja piję piwo wielkimi haustami. Czuję się coraz bardziej zażenowana i taka mała w tym wielkim gabinecie. Kiedy wraca, z jego palca zwisa szkolny mundurek.

– Załóż to – rzuca.

– Chyba żartujesz. – Kręcę głową.

– Dobra aktorka przymierza w swoim życiu różne kostiumy – mówi Marc, biorąc mnie

za ręce i podnosząc z sofy. – A ja wiem, że jesteś dobrą aktorką. Załóż go. Sprawdź, jak się w nim czujesz.

Waham się. Co on ma takiego w sobie, że robię dla niego rzeczy, których normalnie bym nie zrobiła? Czuję się z nim bezpiecznie, muszę to przyznać. Choć testuje moje granice, mam przeświadczenie, że nigdy mnie nie skrzywdzi.

– Tutaj?

Marc kiwa powoli głową.

– Tutaj.

Zsuwam buty i ciasne dżinsy, przez cały czas czując na sobie jego wzrok. W pokoju jest przyjemnie ciepło, ale i tak drżę. Zdejmuję sweter i koszulkę i zostaję w samej bieliźnie. Obejmuję się rękami, czekając, aż Marc poda mi mundurek.

– Nie zasłaniaj się, chcę cię widzieć całą.

Opuszczam ręce wzdłuż ciała.

– Zdejmij bieliznę. – Jego głos staje się surowy. – Nie będę powtarzał.

Ściągam stanik i figi i rzucam je na podłogę. Marc wyciąga do mnie szkolny mundurek, a ja zakładam granatową plisowaną spódniczkę, bluzkę z krótkim rękawem i krawat w szaro-czerwone pasy. Marc przygląda mi się przez chwilę w milczeniu.

– Jak się czujesz? – pyta.

Spoglądam na siebie. Już od dawna nie miałam na sobie szkolnego mundurka, który opina się na mnie we wszystkich strategicznych miejscach. Widzę pod bluzką zarys moich nagich, pełnych piersi, spódniczka opina ciasno biodra i pupę.

– Dobrze – odpowiadam.

– Co byś poczuła, gdybym ci powiedział, że w tym stroju chciałby cię mieć każdy facet w tym kraju?

Wzruszam ramionami.

– To jednocześnie przyjemne i nieprzyjemne.

– A gdybym poprosił, żebyś odegrała rolę z filmu?

– Masz na myśli rolę seksownej uczennicy?

– Tak.

– Byłabym… zdenerwowana. To chyba o krok za daleko.

– W porządku, w takim razie go zdejmij.

Jestem zaskoczona. Myślałam, że będzie uprawiał ze mną seks w tym mundurku, i nie mogłam się już doczekać.

– Nic… nic ze mną nie zrobisz? – pytam.

– A chcesz?

Potakuję. Marc kręci głową.

– Nie dzisiaj. Po dzisiejszym popołudniu… chyba nie byłbym w stanie nad sobą zapanować.

– Ale ja nie chcę…

– Ale ja chcę – ucina Marc. – I dopóki jestem twoim nauczycielem, to ja decyduję. Nie możemy się zbliżyć dziś wieczór, ale… proszę. – Z obudowy skórzanej kanapy wysuwa szufladę, w środku widzę wielki czarny wibrator i – jak zgaduję – inne erotyczne gadżety. Są wśród nich miękkie różowe przedmioty, czarne kolczaste kulki i sznur korali.

Marc podaje mi wibrator.

– Co mam z nim zrobić? – pytam, zawstydzona.

– Chcę, żebyś go sobie włożyła i udawała, że to ja – mówi Marc. – A ja będę cię obserwował. Ale na dystans.

Zdejmuje otwieracz do butelek i pilota z wielkiego szklanego stolika.

– Wejdź na stolik.

– Szklany stolik? Stłucze się.

– Nie stłucze. – Marc kręci głową. – Jest zrobiony na zamówienie.

Kładzie na stoliku dwie poduszki i unosi mnie w górę. Klękam na poduszkach i biorę wibrator, ważąc go w dłoni. Wygląda dość ponuro, czuję się dziwnie i obco od samego trzymania go w ręku.

Marc wyjmuje coś jeszcze z szuflady, a potem bez wysiłku wślizguje się pod stolik, jak gdyby robił to już wiele razy. Nie podoba mi się ta myśl, ale gdy widzę go pod szkłem, te ciemnoniebieskie oczy wpatrzone we mnie, nie jestem w stanie myśleć o niczym oprócz niego.

Chcę go dotknąć, więc przykładam dłoń do szyby. Jest zimna.

– Wsuń wibrator do środka – rozkazuje Marc, przyciskając dłoń do szyby tak, że spotyka się z moją dłonią. – Będę cię obserwował, ale nie będę mógł cię dotknąć.

Wsuwam wibrator do pochwy. Jest zimny i gruby i w ogóle nie przypomina dotyku Marca. Oczy Marca ciemnieją. A potem ściska coś, co trzyma w doni, i wibrator zaczyna bzyczeć.

– Och! – Zaskoczył mnie tym. – Jak to zrobiłeś?

– Mam pilota – mówi Marc. – Wsuń go głębiej.

Robię, o co prosi, a wtedy Marc znów wciska jakiś guzik. Wibrator wibruje jeszcze intensywniej i zaczyna się obracać.

– Och – jęczę. – O Boże. – Wibrator wciąż się obraca i jest to cudowne uczucie. Patrzę Markowi w oczy i mam wrażenie, że w nich tonę.

Marc znów wciska przycisk, zwiększając obroty. Prawie spadam ze stolika, ale udaje mi się przytrzymać. Natychmiast dochodzę, napierając całym ciałem na wibrator.

Marc wysuwa się spod stolika. Owija mnie czerwonym kocem i bierze na ręce. A potem zanosi mnie po schodach na drugie piętro, do sypialni, gdzie spaliśmy poprzednim razem.

– Czy to twoja sypialnia? – mruczę.

Marc kiwa głową.

– Kładziesz mnie do swojego łóżka?

Znów kiwa głową.

– Położysz się ze mną?

– Będę z tobą, dopóki nie zaśniesz. – Układa mnie pod jedwabną kołdrą i sam kładzie się obok mnie. Moja głowa opada na jedwabną poduszkę i przypomina mi się, jak wcześniej leżała na niej głowa Marca, jego piękna twarz pogrążona w spokojnym śnie.

– Z iloma dziewczynami już to robiłeś? – pytam.

– Co takiego? – szepcze Marc.

– No wiesz, na stoliku kawowym.

– Z jedną – odpowiada, a mnie ściska się serce.

– A ten szkolny mundurek? Co z nim?

– Kupiłem go specjalnie dla ciebie. Taki żarcik z mojej strony. Ale pomyślałem, że to ci dobrze zrobi.

Nie wiem, czy mnie to cieszy, czy wręcz przeciwnie. Zamykam oczy w jego objęciach.

– Opowiedz mi, jak poznałaś Denise – proszę. – Ona tak cię lubi.

Zapada milczenie i przez chwilę myślę, że Marc nie odpowie. Ale w końcu mówi:

– A ja lubię ją. Gdyby nie ona, byłbym zupełnie inną osobą. Zaopiekowała się małym, trudnym chłopcem, kiedy nikt inny go nie chciał. Była dla mnie jak matka.

– Moja mama umarła, kiedy byłam mała, tak jak twoja – wyznaję.

Słyszę, jak Marc wciąga gwałtownie powietrze, jego pierś przyciśnięta do moich pleców się unosi. Powoli wypuszcza powietrze z płuc.

– Wiem. A w zasadzie domyśliłem się. Z informacji, jakie zamieściłaś w podaniu na studia, i z twojego sposobu bycia. Niezależna, ale krucha.

– Dziś czuję się wyjątkowo krucha – przyznaję. – Czuję, że to dla mnie zbyt wiele. Za głębokie wody. Ty jesteś taki doświadczony. I ta twoja obsesja na punkcie kontroli.

Marc wybucha śmiechem.

– Wcale nie jestem taki wyjątkowy, uwierz mi. – Głaszcze mnie po włosach. – I podobało ci się to. Wiedziałem, że ci się spodoba, inaczej bym tego nie proponował.

– Może – mruczę, coraz bardziej śpiąca. Walczę z sennością. Nie chcę stracić ani chwili z Markiem, a to jedna z naszych najmilszych wspólnych chwil. Czuję dotyk jego nagiej skóry na plecach i kłucie jego zarostu, kiedy mówi. – Jak straciłeś matkę? – pytam.

– W wypadku samochodowym – odpowiada Marc, ale niezwykły ton jego głosu każe mi wątpić w prawdziwość tego wyznania. Przypominam sobie jego słowa w szpitalu i papuguję go:

– Też jestem aktorką, wiesz. Wiem, kiedy ktoś kłamie.

Marc się śmieje.

– Okej. To nie był wypadek. Guz mózgu. Długa, powolna i bolesna śmierć. Patrzyłem, jak moja matka zmienia się w szary cień kobiety, a mój ojciec z dumnego, władczego człowieka w tyrana.

Nagle przechodzi mi cała senność.

– To okropne – stwierdzam, odwracając się do niego. Ucieka wzrokiem.

– Jako mały chłopiec zawsze czułem, że mogłem ją uratować – ciągnie. – Ale… przeszedłem terapię. Nie mogłem nic dla niej zrobić. Z logicznego punktu widzenia.

– Twój ojciec musiał to strasznie przeżyć – mówię. – Mój tata wpadł w straszny dołek po śmierci mamy. Nie mógł jeść. Nie mógł spać. Musiałam pilnować, żeby w domu było co jeść i żebyśmy mieli czyste ubrania.

– Mały Kopciuszek – mówi Marc, głaszcząc mnie po włosach.

– Robiłam to z radością – tłumaczę. – To pomogło mi stanąć na nogi.

– Rozumiem.

– A co z twoim ojcem? – pytam. – Jak on to zniósł?

– Zastraszał i tyranizował siostrę i mnie – mówi Marc. Owija mnie kołdrą.

– Marc?

– Tak?

Zerkam w róg pokoju i dostrzegam pudła.

– Muszę ci się do czegoś przyznać.

– Tak?

– Zajrzałam do twoich pudeł.

Następuje długa cisza i przez chwilę żałuję, że się przyznałam.

– Chciałam tylko dowiedzieć się o tobie czegoś więcej. Gniewasz się?

Marc oddycha głęboko.

– Nie. Nie gniewam się. Jestem… rozczarowany, że musiałaś to zrobić. Że nie potrafię otworzyć się przed tobą tak, jakbyś chciała. Jeszcze nie.

– Widziałam zdjęcia twojej mamy – ośmielam się powiedzieć i nagle cały pokój zastyga. Marc przestał oddychać. – Dlaczego nie powiesisz ich na ścianach?

– Idź spać. Jutro czeka nas wielki dzień.

– Wielki dzień? Marc…

– Śpij.

Rozdział 61

Kiedy budzę się następnego ranka, Marc siedzi na brzegu łóżka i obserwuje przez okno wschodzące słońce. Widzi, że się poruszam, i odwraca się do mnie.

– Chciałem się upewnić, że nie zaśpisz. Musimy zaraz wychodzić.

– Prawie nigdy nie zdarza mi się zaspać – mówię, przeciągając się. – Kocham poranki.

– Rodney kupił ci trochę ubrań. Leżą w nogach łóżka. Ubierz się, a potem zejdź do garażu. Śniadanie zjemy w limuzynie, po drodze na lotnisko.

– Na lotnisko? A co z uczelnią?

– Nie czytałaś programu zajęć? Dziś i jutro macie próbne występy i uwierz mi, będziesz miała okazję do ćwiczeń. Nie zadawaj zbyt wielu pytań. – Całuje mnie szybko w głowę, po czym wychodzi z pokoju. – Ubierz się. Spotkamy się na parterze. Bez dyskusji. Prysznic. Włóż to, co dla ciebie przygotowałem.

Spoglądam na łóżko i widzę na narzucie lekką, białą sukienkę i parę sandałów na korkowej podeszwie. Jest też jedwabny stanik bez ramiączek, sznurowany z tyłu, stringi do kompletu i granatowy kardigan.

Jest przecież jesień, myślę, przyglądając się skąpemu strojowi. Sukienka i kardigan są od Prady, buty od Kurta Geigera. Bielizna to Agent Provocateur.

Biorę prysznic, wycieram się do sucha ręcznikiem i zakładam bieliznę, w której czuję się niesamowicie. Zasznurowany biustonosz wydaje się modelować całe moje ciało, zaś stringi znikają pod sukienką, przez co wyglądam, jak gdybym nic pod nią nie miała. Zwykle nie noszę wysokich obcasów i trochę się w nich chwieję przy chodzeniu, ale udaje mi się opanować tę umiejętność, zanim dotrę do garażu. Światła limuzyny już się

palą.

Wskakuję na tylne siedzenie, gdzie siedzi już Marc, rozparty na skórzanej kanapie w luźnych, szarych bojówkach i w czarnej koszulce z krótkim rękawem – jak zwykle. W środku jest ciepło. Wręcz gorąco. Pachnie świeżą kawą i ciastkami, nad lodówką z drinkami zauważam parujący srebrny dzbanek. Obok stoi koszyk pełen świeżych croissantów. Marc nalewa mi kawy.

– Wyglądasz przepięknie.

– Dziękuję – odpowiadam, odbierając filiżankę. – A teraz powiesz mi, dokąd lecimy? Zamarznę na śmierć w tej sukience.

– Myślisz, że pozwoliłbym ci zamarznąć? – pyta Marc.

– Nie – odpowiadam. – Chciałabym tylko wiedzieć, co to za miejsce, gdzie nie potrzeba ciepłych ubrań i gdzie nie będą nas filmować ani robić nam zdjęć. To znaczy tobie. Ze mną.

– Wszystkiego dowiesz się w swoim czasie.

Rozdział 62

Dojeżdżamy na lotnisko i limuzyna podjeżdża prosto pod prywatny odrzutowiec, który stoi na początku pasa startowego.

– Co z fotografami? – pytam.

Marc kręci głową.

– Nikogo tu nie będzie. Korzystam wyłącznie z usług firm, które mogą mi zapewnić dyskrecję.

Coś mi przychodzi do głowy.

– To dlatego w gazetach zawsze piszą, że nie masz dziewczyny? Bo jesteś taki dyskretny?

Keith otwiera drzwi i pomaga mi wysiąść. Marc wysiada za mną.

– Gazety mają rację – mówi, gdy docieramy do stopni samolotu. – Nie miewam dziewczyn. Jesteś kimś najbardziej zbliżonym do dziewczyny, kogo miałem od dłuższego czasu.

Kimś zbliżonym do dziewczyny? Co to znaczy? Nie wiem, czy mam się czuć szczęśliwa, czy urażona.

Trochę się chwieję w nowych butach i Marc bierze mnie za rękę.

– Pozwól, że ci pomogę.

Ten gest sprawia, że moje serce wywija salto i kręci mi się w głowie, gdy wchodzę do samolotu.

Całe wnętrze kabiny jest obite beżową skórą. Przy ogromnych, luksusowych fotelach czekają na nas dwie zmrożone margarity, udekorowane solą i limonkami.

– Trochę za wcześnie na drinki. – Marc marszczy brwi.

– Nie wydaje mi się – mówię, gdy Marc prowadzi mnie na moje miejsce. – Chyba potrzebuję się napić. – Pociągam łyczek cierpkiego napoju, czując, jak alkohol uderza mi do głowy.

Marc wyjmuje mi kieliszek z ręki.

– Mówiłem już – strofuje mnie. – Jest za wcześnie. – Zerka na zegarek. – Będziesz mogła go wypić za godzinę. Merile zrobi ci następnego.

– Kto to jest Merile?

– Będzie się o nas troszczyć podczas lotu. Serwować przekąski.

Drzwi samolotu zamykają się, słychać odgłos włączanych silników.

– Czy teraz powiesz mi, dokąd lecimy? – pytam. – A jeśli lecimy gdzieś daleko, czy wystarczy mi jeden strój? – I jeden komplet bielizny.

– Poleciłem Rodneyowi kupić ci nową garderobę – informuje Marc. – Letnią. Będziesz miała z czego wybierać.

– Nie musiałeś tego robić.

– Dopóki jesteś ze mną, będę się o ciebie troszczył – oznajmia Marc. – To proste.

Samolot podskakuje i czuję, że zaczyna kołować.

– Trochę się boję latać – przyznaję. – Tylko raz w życiu leciałam samolotem.

– Nie martw się – uspokaja mnie Marc, pochylając się, żeby zapiąć mój pas. – To bezpieczniejsze niż jazda samochodem.

Wciska jakiś guzik i przed jego fotelem pojawia się płaski ekran i klawiatura, które wysunęły się z tajemniczego schowka w beżowej tapicerce.

– W trakcie lotu muszę zaplanować rozkład prac remontowych w akademii. Całe wschodnie skrzydło budynku wymaga renowacji, dach również. Akademia ma dofinansowanie, więc to skomplikowana sprawa, ale nie mogę z tym dłużej zwlekać. Nie martw się, Merile się tobą zajmie.

– Okej – mówię, patrząc, jak stuka w klawiaturę. Marszczy brwi i wkrótce jest całkowicie pochłonięty pracą.

I to by było na tyle, jeśli miałam nadzieję dowiedzieć się o nim czegoś więcej podczas podróży. Ale i tak spędzę z nim kilka kolejnych godzin na ograniczonej przestrzeni. Mam ochotę mu poprzeszkadzać, ale po jego minie widzę, że chce, żeby dać mu spokój. A ja mam zapięte pasy. Chyba nie byłby zachwycony, gdybym je rozpięła.

Rozdział 63

Pół godziny po starcie przeglądam właśnie wybór filmów na własnym płaskim laptopie, gdy z przodu samolotu wychodzi piękna Azjatka. Ma długie, czarne włosy upięte w ciasny kok i jest ubrana w bluzkę i ołówkową spódnicę. Kłania się i podaje mi dymiący ręcznik o cytrynowym zapachu. Kiedy sięgam po niego, masuje mi nim dłonie.

– Proszę się rozluźnić – mówi. – Proszę się wygodnie oprzeć. – Robię, o co prosi, a

wtedy kładzie mi ręcznik na twarzy, po czym delikatnie układa mi dłonie na kolanach. – Pan Blackwell prosił, żebym zrobiła pani manikiur i pedikiur. Ale może najpierw chciałaby pani coś zjeść albo czegoś się napić?

Waham się, zerkając spod oka na Marca.

– Czy mogę dostać coca-colę? – pytam, czując, że by tego nie pochwalił.

Merile kłania się i znika, a gdy wraca, niesie zimną butelkę coli i szklankę z lodem i cytryną. Nalewa drinka i stawia go na stoliku obok mnie.

– Teraz zrobię pani manikiur. – Ze skrytki bagażowej nad moją głową wyjmuje czarne pudełko i otwiera je. W środku znajdują się kosmetyki pielęgnacyjne Neal's Yard i dwadzieścia różnokolorowych lakierów do paznokci.

– Bardzo dziękuję – mówię. – Jeszcze nigdy nie miałam manikiuru. – Spoglądam na moje niechlujne, obgryzione paznokcie. – Ale tego się pewnie pani domyśliła.

Merile uśmiecha się i zaczyna nacierać mi dłonie, skórki i paznokcie różnymi olejkami i balsamami. Pachną obłędnie. Potem odsuwa skórki, podcina i opiłowuje paznokcie. Poleruje każdy paznokieć, a potem wyciąga trzy odcienie lakieru – granatowy, ciemnozielony i srebrny.

– Uważam, że te będą najbardziej pasowały.

– Podoba mi się ten ciemnozielony – oznajmiam, myśląc o bluszczu w ogrodzie Marca.

Merile nakłada na każdy paznokieć dwie warstwy lakieru, a potem przyklęka u moich stóp i zdejmuje mi nowe buty. Masuje obie stopy, a potem przynosi miskę z gorącą wodą i ostrożnie wkłada je do kąpieli o zapachu lawendy.

Odwracam się do Marca, który obserwuje mnie, uśmiechając się półgębkiem.

– Proś Merile, o co tylko zechcesz – mówi. – Skończę, zanim wylądujemy.

– Jak długo będziemy jeszcze lecieć? – pytam.

– Jeszcze jakieś osiem godzin – odpowiada Marc. – Pilot leci najszybciej, jak się da, ale… zobaczymy.

Po zrobieniu paznokci Merile przynosi mi lunch, składający się z sałatki krabowej oraz najlżejszego i najdelikatniejszego sufletu cytrynowego, jaki kiedykolwiek jadłam. Jem, trochę drzemię, oglądam filmy i – częściej, niż wymagałaby tego przyzwoitość – obserwuję Marca. Mijamy strefę nocy, a potem słońce znów wschodzi i zafascynowana wpatruję się w horyzont. Jeszcze nigdy nie oglądałam wschodu słońca dwa razy tego samego dnia.

Na obiad jem cienkie plastry steku, który dosłownie rozpływa się w ustach, a na deser gotowaną gruszkę.

A potem samolot zaczyna schodzić do lądowania i dociera do mnie nagle, że jestem tysiące mil od domu i nie mam pojęcia, dokąd lecimy. Ta myśl powinna napawać mnie strachem, a jednak… ufam Marcowi. Całkowicie. Choć potrzebuje być panem sytuacji, wiem, że nigdy nie pozwoliłby, żeby stała mi się krzywda.

Samolotem zaczyna trząść. To chyba turbulencje. Z nerwów robi mi się niedobrze. Oddycham coraz szybciej, aż w końcu zaczyna mi brakować tlenu.

Marc zerka na mnie z ukosa.

– Sophio, nic ci nie jest?

Kiwam głową.

– Trochę… się boję. I trochę… mi niedobrze. – Zakrywam usta dłonią i wyglądam przez okno. Marc rozpina swój pas i klęka obok mnie. Bierze mnie za rękę.

– Sophio, spójrz na mnie.

Patrzę na niego, oddychając coraz szybciej. Z każdym oddechem coraz bardziej brakuje mi tlenu. Zaczynam łapać spazmatycznie powietrze.

– Oddychaj głęboko – mówi Marc. – Merile!

Merile przybiega z przedniej części samolotu.

– Panie Blackwell… Powinien pan zapiąć pasy.

– Przynieś apteczkę – rozkazuje Marc – a potem wracaj na miejsce.

Merile kiwa głową i po chwili wraca z białą skrzynką.

– Panie Blackwell… Pozwoli pan, że ja to zrobię.

Marc kręci głową.

– Wracaj na swoje miejsce.

Merile niechętnie wykonuje jego polecenie, ale skoro pracuje dla Marca od jakiegoś czasu, wie, że nie ma sensu się z nim sprzeczać. Wraca na przód samolotu.

– Wszystko w porządku, Sophio – uspokaja mnie Marc, otwierając apteczkę. – Masz lekki atak paniki. Mam tu tlen, ale to chyba nie będzie konieczne. Oddychaj. Oddychaj. Powoli i spokojnie.

Oddycham głębiej, a Marc ściska moją dłoń. Samolot podskakuje i Marc zatacza się w tył, ale udaje mu się złapać równowagę.

– Siadaj – mówię między oddechami. – Powinieneś zapiąć pasy.

– Oddychaj.

Uspokajam się, czując uścisk jego dłoni, mimo że samolot obniża lot, podskakując gwałtownie. Widzę słońce wysoko na niebie, rozmigotane morze i biały piasek. Po chwili, która wydaje mi się wiecznością, samolot siada na pasie do lądowania i hamujemy z szumem powietrza.

Marc trzymał mnie za rękę przez cały ten czas.

– Dziękuję – szepczę, gdy otwierają się drzwi. – To naprawdę nie było konieczne. Miałam głupi atak paniki.

– Sophio, to ja cię tu zabrałem – przypomina Marc. – Dałem ci moje słowo, że będę się tobą opiekował.

Do samolotu wdziera się gorące powietrze, wstaję chwiejnie.

– Gdzie jesteśmy?

– Sama zobacz. – Marc prowadzi mnie do schodów, skąd widzę betonowy pas, wieżę kontroli lotów, a dalej zielone drzewa, plażę i ocean. Niebo jest jasnoniebieskie, a powietrze przypomina ciepłą kąpiel. Na drzewach ćwierkają ptaki, w oddali dostrzegam obły budynek ze szkła.

– Tu jest pięknie – oznajmiam, wdychając słodką woń kwiatów.

– Jesteśmy na Karaibach – oznajmia Marc. – To miejsce jest całkowicie odosobnione. Żadnych dziennikarzy. Tylko my.

– Tylko my – szepczę, czując na skórze ciepłe powietrze. – Ale wciąż nie wiem, gdzie jesteśmy.

– Jesteśmy na mojej prywatnej wyspie – mówi Marc.

Rozdział 64

Czytałam już kiedyś, że Marc ma swoją wyspę. To był artykuł w gazecie o celebrytach zarabiających miliony. Pamiętam, że jakaś sławna osoba, nie pamiętam kto, miała całą kolekcję odrzutowych plecaków. Ale Marc ma wyspę. Całą wyspę.

– Twoja wyspa – szepczę, schodząc po schodach na płytę lotniska. – Spójrz na tamte drzewa. Są niesamowite.

Marc się uśmiecha.

– Rosną tu najróżniejsze rośliny. Nie tylko bluszcz.

Uśmiecham się.

– Marzę o przechadzce po tamtym lesie – mówię, wskazując plamę zieleni.

– Później – mówi Marc. – Najpierw zabiorę cię do siebie.

Wielki rolls-royce zawozi nas bocznymi drogami do owalnego szklanego budynku, który widziałam z samolotu. Przechodzimy przez szklane drzwi i wchodzimy szklanymi schodami na szklany balkon, skąd rozpościera się widok na morze. Ponieważ prawie cały budynek jest jak jedno wielkie okno, czuję się tak, jak gdybyśmy unosili się w lesie nad plażą, stanowiąc część przyrody.

Dom jest umeblowany skórzanymi sofami i futrzanymi dywanami, ale znów mam wrażenie, że przydałoby mu się więcej osobistych drobiazgów. Pełno tu płaskich telewizorów, pilotów oraz różnych gadżetów, i – tak jak w londyńskim domu – jest też regał pełen literatury klasycznej w sztywnych, niepopękanych okładkach.

– Jak ci się podoba? – pyta Marc, podchodząc do okna wychodzącego na morze.

– Jest piękny – mówię – ale przypomina mi twój dom w Londynie. Brakuje mu ciepła.

Marc odwraca się do mnie, kąciki jego ust się unoszą.

– Ciepła?

– Przedmiotów, które wprowadzą domową atmosferę. Może roślin.

– Będziesz musiała zrobić mi wykład na ten temat.

– I te książki – nie przeczytałeś żadnej z nich. Wyglądają na zupełnie nowe.

Na twarzy Marca pojawia się szeroki uśmiech.

– Czy sugeruje pani, panno Rose, że nie czytałem Dickensa?

– Ależ skąd – odpowiadam, mając w pamięci zaczytane tomy w jego sypialni. – Mówię tylko, że te książki wyglądają tak, jak gdyby nikt ich nigdy nie czytał. Zupełnie jakbyś trzymał je tutaj na pokaz.

– Czuję się bezpiecznie, gdy mam je pod ręką – tłumaczy Marc, podchodząc do regału i przesuwając dłonią po okładkach. – Masz rację, nie czytałem akurat tych egzemplarzy. – Ściąga brwi, jak gdyby coś sobie uświadomił. – Zgaduję, że widziałaś egzemplarze, które przeczytałem. Te w miękkich okładkach.

Łowi moje spojrzenie, a mnie jest wstyd.

– Tak.

– Można powiedzieć, że w tych pudłach ukryte jest moje prawdziwe ja. A wystawiam na pokaz tylko to… czego nie obawiam się ujawnić.

– Przepraszam za wścibstwo.

Marc kiwa głową.

– W porządku. Ja testuję twoje granice. To sprawiedliwe, że ty testujesz moje.

– Przywoziłeś tu już swoje dziewczyny… jakąś kobietę? – pytam, choć chyba nie mam ochoty poznać odpowiedzi.

– Raz – odpowiada Marc, spoglądając na morze. – Lata temu.

– To była jedna z tych dziewczyn, których tak naprawdę wcale nie masz? – pytam z uśmiechem.

– Nie była moją dziewczyną – odpowiada Marc, ale nie uśmiecha się. – Była dziewczyną przyjaciela i przywiezienie jej tu okazało się błędem.

– Dlaczego?

– Chciała zrealizować pewną fantazję dotyczącą mnie i mojego przyjaciela.

Przełykam ślinę.

– To znaczy?

– To znaczy, że chciała się kochać z dwoma facetami naraz, i to ja byłem tym drugim szczęściarzem. Ale mój przyjaciel wcale nie był tym zachwycony i od tamtej pory nie miałem z nimi kontaktu.

– Och. – Czuję się niezręcznie, żałuję, że w ogóle poruszyłam ten temat. Prawdę mówiąc, jest mi niedobrze. Marc odwraca się do mnie z uśmiechem.

– Nie spodobała ci się ta odpowiedź, co?

– Nie.

– Słyszałaś o puszce Pandory?

Kiwam głową.

– Czasem lepiej nie wiedzieć zbyt wiele. Jeśli zadajesz za dużo pytań, może nie spodobać ci się to, co odkryjesz. Nie jestem, jak by to ująć, przyzwoity. Mam przeszłość. Niezbyt chlubną.

Przechodzi do otwartej kuchni i otwiera srebrnego smega. Na drzwiach lodówki stoją butelki szampana, wyjmuje jedną i wystrzela korek.

– Uważam, że powinniśmy uczcić twój przyjazd. – Bierze dwa kieliszki i nalewa szampana.

Biorę kieliszek do ręki.

– Ten dom należy wyłącznie do ciebie? – pytam.

Marc kiwa głową.

– Sprawia wrażenie niezamieszkanego – stwierdzam. – Tak samo jak dom w Londynie. Wydaje się… nieco pusty.

– Cóż, może to ja jestem pusty – mówi Marc, upijając łyk szampana. – Z pewnością jestem pozbawiony skrupułów, jeśli wziąć pod uwagę wybór towarzyszki podróży.

– Nie sądzę – mówię. – Nie chciałeś tego wszystkiego. Miałeś zamiar odejść na samym początku, ale ja ci nie pozwoliłam.

– Jestem od ciebie pięć lat starszy, Sophio – mówi Marc. – Powinienem był powiedzieć „nie”, bez względu na to, co do ciebie czuję. Porządny człowiek nie pieprzy swoich studentek. Choćby nie wiem jak się w nich… – Urywa, pociąga łyk szampana i spogląda w morze. – Posłuchaj. Chcę przez to powiedzieć, że normalnie się tak nie zachowuję, okej? Nigdy, przenigdy nie sądziłem, że coś takiego mi się przydarzy. Nigdy wcześniej

nie miałem romansu ze swoją studentką i już nigdy nie będę miał. Ale to nie oznacza, że moralnie jestem w porządku. Powinienem był powiedzieć „nie”.

– Mówisz tak, jak gdybym nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia – sprzeciwiam się. – To był w równym stopniu mój wybór. A nawet w większym. Ty próbowałeś odejść. Ja nie chciałam. I nie jesteś pozbawiony skrupułów. Ale to miejsce… – Zataczam ręką łuk wokół siebie. – Nie ma w nim miłości. Tylko przedmioty.

– Nie jestem stworzony do miłości – warczy Marc. – Wszystkie twoje fantazje mogą się tu spełnić. Mogę zaspokoić wszystkie twoje pragnienia.

– Chcę, żebyś pozbył się swoich zahamowań.

– Nie mam w seksie żadnych zahamowań – odpowiada Marc. – Pieprzyłem kobiety w każdy możliwy sposób. Nie ma dla mnie barier.

– Ale czy kiedykolwiek doszedłeś z kobietą?

– Kilka razy. Gdy byłem młodszy.

Jego odpowiedź jest jak uderzenie obuchem w głowę. Nie wiem, czego się spodziewałam. Boli mnie myśl, że dzielił z innymi kobietami coś, czego nigdy nie dzielił ze mną.

– Ale ze mną nigdy…

– Bardzo szybko nauczyłem się panować nad sobą. Taka intymność prowadzi do różnych sytuacji, na które nie mam ochoty. Nie miałem ochoty. Ale z tobą… – Patrzy na mnie z taką czułością, że mam ochotę rzucić mu się w ramiona.

– Pragniesz większej bliskości ze mną? – pytam.

– Jeszcze z nikim nie byłem tak blisko jak z tobą – odpowiada Marc. – Ty tego wydajesz się nie rozumieć.

– Mimo że nigdy ze mną nie doszedłeś?

– To, co czuję do ciebie… to coś innego. A co, jeśli nie jest możliwa większa bliskość między nami? Jeśli nie jestem w stanie dać ci więcej?

Zastanawiam się nad tym. Gdybym wierzyła, że Marc nie ma mi nic więcej do zaoferowania – okazywaną od czasu do czasu czułość, po której następuje chłód mrożący mnie do szpiku kości – odeszłabym. Ale nie wierzę w to. Wiem, że w głębi duszy pragnie przestać się hamować, ale nie potrafi. Jest zbyt wystraszony.

Marc sączy szampana, po czym odstawia kieliszek. Podchodzi do mnie i bierze mnie za ręce.

– Nie przywiozłem cię tutaj, żeby rozmawiać. Wiesz o tym, prawda?

Czuję ciepło w dole brzucha, moje uda się zaciskają.

– Domyślałam się tego – mówię.

Rozdział 65

Marc prowadzi mnie do jednego z pokoi.

– Mam zamiar całkowicie cię zdominować. Gdy tylko wziąłem cię w schowku na materiały biurowe, wiedziałem, że chcesz więcej. Pragniesz, by całkowicie tobą zawładnąć.

– Nie byłabym tego taka pewna.

– Ale ja jestem – szepcze Marc, otwierając jakieś drzwi. Za nimi widzę okrągłe łoże ustawione na samym środku pokoju. Nie ma zagłówka, tylko białą pościel, ale zauważam wokół niego obręcze przykręcone w równych odstępach do podłogi.

Na pościeli leży sznur. Obok niego packa, którą Marc uderza się w dłoń.

– Nie mogłaś oderwać od niej oczu, kiedy oglądaliśmy tamten film – mówi. – Nie myśl sobie, że nie zauważyłem. Mam ich więcej. Packi. Packi nabijane ćwiekami. Pejcze.

– Naprawdę? – O mój Boże. A ja już myślałam, że zaczyna się robić normalnie. – Marc, nie możemy po prostu…

– Milcz – rozkazuje Marc, upuszczając packę. – Rozbierz się i wejdź na łóżko.

Jego głos, tak głęboki, że czuję go prawie w stopach, jak zwykle mnie podnieca. Zdejmuję ubranie i wspinam się na łóżko, przez panoramiczne okno widzę ptaki lecące nad oceanem.

– Odwróć się – mówi, podchodzi od tyłu i przywiązuje mi ręce do obręczy w podłodze. Ściąga koszulkę przez głowę i rzuca ją na ziemię. Widzę miękkie włosy pod jego pachami i na muskularnej klatce piersiowej. Kocham jego klatkę piersiową. Marc chodzi tam i z powrotem, z rękami na biodrach, przyglądając mi się.

Jestem w pułapce. Bezbronna. Może ze mną zrobić, co tylko zechce.

Wyciągam szyję, gdy krąży wokół łóżka. Znów bierze do ręki packę.

– Chcesz ją poczuć na pupie?

Moje ramiona są skrępowane.

– Uderzysz mnie?

– Uderzę, zbiję, nazwij to, jak chcesz.

– Czy to będzie bolało?

Przeciąga kciukiem po brzegu packi.

– Tak. Lekko. Co by to była za zabawa, gdyby nie bolało?

Przełykam ślinę, a on przyciska mi brzeg packi do pośladków.

– Chcesz spróbować? – szepcze.

– Tak – mówię.

– Tak – co?

– Tak, sir.

Mocno uderza mnie packą w pupę, dwukrotnie.

– Au…

– Przyjemnie?

– Tak – przyznaję.

– Ładnie się zarumieniłaś – stwierdza, wymierzając mi kolejnego klapsa. Krzyczę.

– Zostaniesz tu, dopóki z tobą nie skończę.

Widzę jego opiętą spodniami pupę, gdy wychodzi wolnym krokiem z sypialni, i słyszę odgłos nalewania szampana. Wraca z pełnym kieliszkiem i butelką, którą stawia na stoliku nocnym.

– Rozsuń dla mnie nogi – rozkazuje, stawiając mi kieliszek na pupie. – Ale już.

– Co zamierzasz zrobić?

– Rób, co każę.

Z wahaniem rozsuwam nogi. Marc bierze butelkę szampana i odstawia kieliszek na miejsce. A potem wpycha mi zimne szkło butelki między uda.

Wydaję z siebie zduszony okrzyk.

– Przyjemnie?

– Zimno – bąkam.

– Szerzej – nakazuje Marc.

Rozsuwam nogi najszerzej, jak potrafię, jestem napalona i brakuje mi tchu. Marc wsuwa we mnie koniuszek butelki i obraca zimne szkło.

– Oooch – jęczę, gdy wpycha szyjkę głębiej,

Wtedy odrzuca butelkę na bok i podchodzi do szklanej szafki. Wyjmuje z niej cienki, srebrny wibrator.

– Wsunę ci go w tyłek, a jeśli choć piśniesz, znów dostaniesz klapsa.

– Nie dam rady – mamroczę, wzdrygając się lekko. – Nie dam rady być cicho.

– Spróbuj.

Podchodzi do mnie od tyłu i kładzie mi dłoń na pośladkach, jednocześnie wpychając we mnie wibrator. Zagryzam wargę, usiłując być cicho, ale kiedy włącza wibracje, zaczynam jęczeć. Wtedy bierze packę i wymierza mi pięć razów, a ja jęczę coraz głośniej.

– Proszę, Marc – mówię, czując się coraz bardziej pełna.

Marc znów daje mi klapsa, tym razem mocniej, a ja pragnę go tak rozpaczliwie, że dłużej tego nie zniosę.

– Proszę, zerżnij mnie – błagam wśród odgłosów wymierzanych mi klapsów.

Marc podchodzi do wezgłowia łóżka i widzę, że zdążył zdjąć spodnie. Mam przed nosem jego nabrzmiałą męskość. Potem okrąża mnie, a ja znów odwracam głowę, żeby sprawdzić, gdzie się podział. Czuję, jak wspina się na łóżko za mną i wchodzi we mnie.

– O Boże, Marc. Proszę. To dla mnie za wiele. Nie zniosę tego.

Wibrator wsuwa się głębiej, gdy Marc zaczyna się poruszać w przód i w tył.

Wbija się we mnie coraz mocniej, wchodzi coraz głębiej. Narasta we mnie żar, tak bardzo chciałabym się sama popieścić, że szarpię więzy.

Nagle Marc kładzie się na mnie, wciskając mnie w łóżko i przy każdym ruchu pocierając mną o pościel. Cała płonę, czuję usta i język Marca na karku, jego dłonie we włosach i na pośladkach, wibrator i jego członek w sobie. Posuwa mnie z wprawą, starając się utrzymać mnie na krawędzi, wycofując się, gdy tylko wedrze się za głęboko. Jak gdyby moje ciało stało się częścią niego i wiedział dokładnie, co ma robić.

Gdy te rozkoszne doznania osiągają apogeum, Marc wsuwa mi dłoń głębiej we włosy i czule wplata w nie palce. Przysuwa mi usta do ucha i szepcze:

– Jesteś teraz moja. Cała moja.

Świat wybucha kolorem, rozkosz rozlewa się po całym moim ciele. Jęczę i napieram na niego pupą, czując, jak liny wrzynają mi się w nadgarstki.

– Marc! – wołam, dochodząc, a on oplata mnie ramionami.

Oddycham ciężko w pościel, nie wiem, czy kiedykolwiek odzyskam oddech. Czuję na

plecach ciepło jego ciała i chcę, żeby ta chwila trwała wiecznie.

Marc delikatnie rozwiązuje liny i obraca mnie, przerzucając sobie moje nogi przez klatkę piersiową. Wsuwa mi rękę między pośladki i wyjmuje wibrator, ale przez cały czas tkwi we mnie. Kiedy spoglądam mu w twarz, porusza się powoli, patrząc mi prosto w oczy.

– Chcę dojść w tobie – mówi. – Ale nie mogę. Nie mogę znów stracić kontroli. Jeszcze nie.

Kiwam głową, odgarniając z oczu niesforne kosmyki.

Marc pada na łóżko, pociągając mnie w swoje objęcia. Leżymy tak aż do rana.

Rozdział 66

Kiedy budzę się rano, miejsce obok mnie jest puste. Siadam i wyglądam przez panoramiczne okno na tropikalny raj. Jest piękny. Czuję przez szyby ciepło słońca, mimo że klimatyzacja chłodzi powietrze w domu.

Ubieram się i schodzę na dół. Znajduję Marca na siłowni, gdzie okłada pięściami worek treningowy. Wygląda zabójczo – jak ktoś, kto potrafi wyrządzić krzywdę – i żal mi osoby, która zajęłaby miejsce tego worka. Nigdy się nie waha ani razu nie przystaje, żeby oprzeć się o worek i odzyskać oddech. Boksuje i boksuje, wyprostowany, z zaciętą miną. Jego szara koszulka i dresowe spodnie są przesiąknięte potem.

W końcu staje i chwyta worek, żeby przestał się bujać. Zrzuca rękawice, wyciera twarz ręcznikiem i wtedy zauważa mnie w drzwiach.

– Wcześnie wstałaś – mówi z tym swoim chłodnym, niewzruszonym spokojem.

– Mówiłam ci – odpowiadam z uśmiechem. – Jestem rannym ptaszkiem. I to samo mogłabym powiedzieć o tobie.

Marc przerzuca sobie ręcznik przez ramię.

– Mogłabyś. I miałabyś rację. Na dziś zaplanowałem wycieczkę. – Ściąga koszulkę. Zauważam, że jego ramiona znów nabierają masy mięśniowej, i zgaduję, że przygotowuje się do kolejnego filmu akcji. Jest taki zdyscyplinowany. Potrafi zmienić swoje ciało na żądanie.

– Jaką wycieczkę? – pytam.

– Na zakupy – odpowiada Marc. – Merile zabierze cię na pobliską wyspę, gdzie są sklepy. Mam na myśli jeden w szczególności – bardzo znany sklep z bielizną. Znam właścicielkę. Dobierze ci, co tylko zechcesz.

O rany.

– Nie płyniesz z nami? – pytam.

Marc kręci głową.

– Muszę trenować. Poza tym nie chcę, żeby sfotografowali cię ze mną. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby dopadła nas prasa.

– Wiem, wiem. – Ogarnia mnie smutek. – Moja reputacja i tak dalej. Ale może… Marc, jeśli zostaniesz na uczelni i będziesz wykładał dla reszty studentów, nie będę się tym przejmować. Tak jak ty się tym nie przejmujesz. Może obchodzisz mnie tylko ty.

– Nie wiesz, co mówisz – protestuje Marc. – Trudno jest należeć do mojego świata, ale zważywszy na to, jak się poznaliśmy… pismaki nigdy nie zostawią cię w spokoju.

– Poradzę sobie.

– Nie chcę, żebyś musiała sobie z tym radzić – mówi Marc. – Chcę, żebyś była szczęśliwa.

– Jestem szczęśliwa, kiedy jestem z tobą – odpowiadam. – Nie jestem szczęśliwa, gdy muszę się ukrywać, nie wiedząc, kiedy znów cię zobaczę.

Nad nosem Marca pojawiają się dwie zmarszczki. Rozkłada ręce, jego błękitne spojrzenie wydaje się zagubione.

– Nie wiem, jak to w tej chwili rozwiązać. Nie martw się. Chodź do mnie.

Obejmuje mnie, przyciskając do gorącej, wilgotnej piersi. Cudownie pachnie. Przyciskam policzek do jego ciała i wzdycham głęboko. Ja też nie wiem, jak z tego wszystkiego wybrnąć. Więc równie dobrze mogę się nim nacieszyć, dopóki to możliwe.

W sklepie z bielizną oświetlenie jest przytłumione, wszędzie stoją aksamitne sofy i migoczące świece. Pachnie jak w spa. Kiedy wyjaśniam, że przysłał mnie Marc Blackwell, dama w fioletowej sukni prosi, żebym usiadła na kanapie i częstuje mnie koktajlem z brandy i miażdżonych wiśni.

– Znaleźliśmy modelkę o podobnych wymiarach i budowie – wyjaśnia, wskazując kotarę z gniecionego weluru. – Zademonstruje naszą najnowszą kolekcję, a pani wybierze to, co się pani spodoba.

Teraz jestem zadowolona, że nie ma ze mną Marca. Nie chciałabym, żeby oglądał modelkę paradującą w samej bieliźnie.

Modelka wyłania się zza kotary. Jest piękna, ma szczupłą talię i długie, smukłe nogi i ręce.

– Ma podobne wymiary i budowę? – pytam. – Jest pani pewna?

– Całkowicie – odpowiada kobieta w fioletowej sukni. – Macie bardzo podobne kształty.

Pierwszy komplet bielizny jest uszyty z białego jedwabiu i naszywany dziesiątkami błyszczących czarnych kamyków. Jest piękny, ale nie pasuje do mnie. Następny komplet to bajeczna kombinacja zielono-niebieskich kawałków materiału połączonych siateczką, haftowana w gotyckie, czarne drzewa.

– Przepiękny – mówię, a kobieta w fiolecie daje znak, żeby zapakować komplet.

Oglądam jeszcze z tuzin kompletów w różnej stylistyce, także z pończochami i podwiązkami, i wybieram granatowy komplet z falbankami i siateczką, figi z falbanką z tyłu oraz czarny pas do pończoch wyszywany w małe krzyżyki.

Kiedy wracam do szklanego domu, Marc ogląda moje zakupy. Wybiera bajkowy komplet i każe mi go od razu założyć. Potem wręcza mi scenariusz.

– Odegrasz tę scenę w bieliźnie – wyjaśnia.

Patrzę na scenariusz. To sztuka pod tytułem *Dzienniki erotyczne* – niesławna z powodu nagości i faktu, że opisuje seksualne ekscesy londyńskich małżeństw.

– Wiesz, że nigdy nie zgłosiłabym się na przesłuchanie do takiej sztuki – mówię. – Jeszcze nie.

– No właśnie – potwierdza Marc. – Ale mam nadzieję, że razem uda nam się temu zaradzić. Chciałbym, żebyś odegrała scenę, która zaczyna się na stronie pięćdziesiątej drugiej. Jesteś Georgią. Ja zagram Harry'ego.

Mogłam się domyślić. Scena symulowanego seksu, w której Georgia, mężatka w średnim wieku, uwodzi podczas przyjęcia Harry'ego, męża przyjaciółki, w sypialni na piętrze. W sztuce kończy na scenie zupełnie naga.

Biorę głęboki oddech, rozluźniam ramiona, starając się wejść w rolę. Próbuję poczuć w sobie Georgię. Jej pewność siebie i ekshibicjonizm.

Co by teraz zrobiła? Uśmiechnęłaby się. Uśmiecham się do Marca.

– Wiesz – zaczynam, starając się nadać głosowi głębię i wyrafinowanie – jeśli chcesz uprawiać ze mną seks, wystarczy poprosić.

Marc unosi brew. Po jego minie poznaję, że jest wciąż Markiem.

– Zapamiętam to sobie. I dodam tylko, że gdybym chciał uprawiać z tobą seks, byłbym bardziej bezpośredni. Chcę, żebyś przećwiczyła tę rolę, z ważnych powodów. Pomoże ci się rozwinąć aktorsko.

– Aha.

– A ponieważ jesteś już w bieliźnie, uznałem, że ta rola pomoże ci przekroczyć własne granice i pozbyć się zahamowań.

– Tego, co z nich zostało – poprawiam go.

Marc wybucha śmiechem i trzymając mnie za biodra, przesuwa w stronę okna.

– Tutaj. Wyglądasz przez okno. – Podaje mi scenariusz i otwiera go na stronie pięćdziesiątej. – Zacznij od tej kwestii.

Po odkaszlnięciu odczytuję:

– Skarbie, właśnie się ubierałam. Nie masz nic przeciwko? – Staram się jeszcze bardziej rozluźnić.

– Dlaczego miałbym mieć coś przeciwko? – Marc odczytuje kwestię Harry'ego z wazeliniarską pewnością siebie, przeistaczając się w żonatego maklera, z którym Georgia ma romans. To niesamowite. Jego twarz się zmienia. Jego postawa się zmienia. Staje się inną osobą.

– Koniec końców, pod ubraniem wszyscy jesteśmy nadzy – mówię.

– To prawda – odpowiada Marc.

Zerkam do scenariusza.

– Pomożesz mi? – W didaskaliach jest napisane: „Georgia trzyma za plecami zapięcie stanika. Harry odpina stanik. Ona odwraca się, zdejmuje stanik i pokazuje Harry'emu swoje nagie piersi". Normalnie miałabym opory. Ale po tylu doświadczeniach z Markiem wydaje się to proste.

Czuję, jak Marc staje za mną i odpina stanik. Ale nie tak, jak sam by to zrobił. Ruchy ma szybsze i lekko niezgrabne. Czuję się tak, jak gdybym była z kimś, komu wcale nie zależy na moim dobru, i jest to odrobinę niepokojące.

Zastanawiam się, czy kiedykolwiek będę w stanie odegrać taką scenę publicznie. Łapię stanik, a potem zsuwam go w dół i odwracam się.

Rozdział 67

Podejrzewam, że tak wyglądały kiedyś cycki twojej żony – mówię, starając się brzmieć jak pewna siebie, dumna *femme fatale*. – Ładniutkie, co?

– Bardzo ładne – mówi Marc, podchodzi i obejmuje mnie. I znów, to nie Marc mnie obejmuje, lecz Harry. Niesie mnie na sofę i rzuca na nią, a twarz, na którą patrzę, jest chciwa i pełna pożądliwości.

Zerkam do scenariusza. „Harry podnosi Georgię i kładzie ją na łóżku. Uprawiają seks w rytm muzyki. Kurtyna".

Marc porusza się rytmicznie między moim nogami, w przód i w tył. Poruszam się wraz z nim, ale widzę, że bardzo stara się nie podniecić. Gra i jak zawsze jest profesjonalistą w każdym calu.

– Bardzo dobrze – szepcze.

– Dziękuję – odpowiadam.

– Lepiej się ubierz. Bo dziś wieczór naprawdę odegrasz tę rolę w teatrze na głównej wyspie. Więc lepiej naucz się kwestii.

– Żartujesz sobie.

– Nie, nie żartuję. Tak się składa, że mam dziś gościnny występ jako Harry i chcę, żebyś była moją Georgią. To tylko mała rólka. Uprzedzałem, że zmuszę cię do przekraczania granic. Postawię przed tobą nowe wyzwania. Zmuszę do wyjścia poza strefę komfortu i zrobię z ciebie lepszą aktorkę. I to właśnie robię.

– Ale ja nie mogę zagrać tej roli. – Zaraz się rozpłaczę. – Nie publicznie. Topless na scenie? Na żywo przed widownią…

– Niektóre role wymagają nagości – tłumaczy Marc. – Kiedy grałem króla Leara, byłem zupełnie nagi. A teatr to pestka w porównaniu z filmem, kiedy kamera robi zbliżenie na nagie ciało, a potem wyświetla je na wielkim ekranie, żeby mogły je obejrzeć miliony ludzi.

– Może publiczny występ nago stanowi dla mnie barierę nie do pokonania.

– Nie rozumiesz – mówi Marc, kręcąc głową. – Tu nie chodzi o nagość. Tu chodzi o otwartość. O to, żeby całkowicie się odsłonić. Jeśli nie jesteś gotowa odegrać roli, jak należy, wszystko się zamyka. Twoje ciało stanowi środek wyrazu. Jeśli jesteś zbyt wstydliwa, żeby pokazać swoje ciało, nie jesteś w stanie w pełni wyrazić siebie.

– I kto tu mówi o otwartości.

– Już o tym rozmawialiśmy…

– Nie dam rady, Marc.

Unosi mi podbródek do góry.

– Dasz. A teraz ubierz się i naucz roli. O piątej łódź zabierze cię na główną wyspę, a potem samochód zawiezie do teatru. Ja będę już tam czekał. Spotkamy się na scenie. – Całuje mnie w nos i przyciąga do siebie. – Wierzę w ciebie.

Rozdział 68

W drodze do teatru jestem kłębkiem nerwów. Mam ochotę uciec, schować się, nawrzeszczeć na Marca za to, że zmusza mnie do zrobienia czegoś, co przekracza moje umiejętności. Ale w głębi duszy wiem, że ma rację. Rzeczywiście powinnam poćwiczyć tego typu role. Nawet jeśli już nigdy nie wystąpię nago, pomogą mi się rozwinąć aktorsko.

Wóz zatrzymuje się na tyłach nowoczesnego teatru – szarej betonowej kostki, przed którą czekają w kolejce ludzie. Co za szczęście, że w Londynie mamy takie piękne, zabytkowe budowle.

Zostaję zaprowadzona do garderoby, gdzie drobna, jasnowłosa aktorka pomaga mi się umalować i przebrać w bieliznę, czerwoną suknię i perukę Georgii. Później prowadzą mnie za kulisy, skąd widzę, że sztuka już się zaczęła. Kartkuję pośpiesznie scenariusz, próbując ustalić, który to moment. Strona czterdziesta dziewiąta. Trzy razy przełykam ślinę, żeby pohamować mdłości, i obserwuję Marca, który przechadza się po scenie w garniturze w tenisowe prążki.

On naprawdę jest niesamowitym aktorem. W ogóle nie widzę w nim Marca, tylko Harry'ego.

Kwestie padają jedna za drugą. Odkładam scenariusz na ziemię obok kurtyny i widzę inspicjenta biegnącego w moją stronę.

– Myślałem, że jesteś jeszcze w garderobie – szepcze. – Ostatnie wezwanie. Wchodzisz za niecałą minutę.

– Jasne. – Czekam na kwestię, po której wychodzę: „Spróbuję ją znaleźć".

Pot perli mi się na czole, pocą mi się dłonie.

– Spróbuję ją znaleźć – mówi Marc.

Tadam. Wychodzę na scenę i widzę na widowni setki pogrążonych w mroku osób, które obserwują mnie z wyczekiwaniem. Mam na sobie wyłącznie bieliznę, a zaraz będę miała jeszcze mniej.

Boże, ależ się denerwuję. Ale robiłam to już. Wiele razy. Ubrana, to fakt, ale Marc ma rację – to nie powinno mieć znaczenia. Po prostu wciel się w rolę, myślę. Tak długo, jak grasz, jesteś bezpieczna.

Odchrząkuję, ale kwestia ulatuje mi z pamięci. Patrzę na Marca bliska paniki. To byłoby straszne upokorzenie, gdyby sufler wykrzyczał moją kwestię.

Marc czeka na mnie spokojnie, a jego mina mówi mi, że wie, że sobie poradzę. Postanawiam improwizować.

– Co taki grzeczny mężczyzna jak ty robi w takim miejscu? – pytam, wydymając usta i opuszczając ręce na biodra.

– Szukam niegrzecznej dziewczynki – odpowiada Marc.

Ze śmiechem odrzucam głowę w tył.

– Chyba ją znalazłeś. Skarbie, właśnie się ubierałam. Nie masz chyba nic przeciwko? – Zaczynam sobie przypominać swoje kwestie.

– Dlaczego miałbym mieć coś przeciwko?

– Koniec końców pod ubraniem wszyscy jesteśmy nadzy. – Ręce zaczynają mi drżeć na myśl o tym, co zaraz nastąpi.

– To prawda – odpowiada Marc.

– Pomożesz mi? – pytam, odwracając się i przytrzymując pasek stanika. Mój głos jest pewny siebie, co jest dla mnie zaskakujące. Przy takim poziomie stresu bałam się, że z ust wyrwie mi się jakiś bełkot.

Marc rozpina mi stanik, na widowni zapada cisza jak makiem zasiał. Wiedzą, co się zaraz wydarzy. Każdy, kto czyta gazety, wie, co się dzieje w tej scenie. Biorę głęboki oddech, odwracam się, zdejmując stanik, i rzucam go na podłogę.

Setki twarzy wpatrują się we mnie. Nie widzę ich wyrazu. Patrzę nad głowami.

– Podejrzewam, że tak wyglądały kiedyś cycki twojej żony – mówię. – Ładniutkie, co?

– Bardzo ładne – odpowiada Marc, biorąc mnie na ręce. Kładzie mnie na łóżku, którego materac jest tak cienki, że gdybym spędziła na nim noc, wstałabym cała posiniaczona.

Odrzucam ręce za głowę, a Marc staje między moimi nogami. Rozlega się muzyka i czuję, że Marc zaczyna się poruszać. Ale inaczej niż podczas próby, czuję, że ma erekcję. Gdy tylko spada kurtyna, odsuwa się i bierze kilka głębokich oddechów.

– W porządku? – pytam.

– Byłaś wspaniała – mówi, chodząc tam i z powrotem. – Jestem bardzo dumny z tego, co dziś osiągnęłaś. Ale to był zły pomysł. Ja też chciałem się sprawdzić. Udowodnić, że potrafię nad sobą panować przy tobie. Jeśli kiedykolwiek mam przestać się hamować, muszę mieć pewność, że potrafię odzyskać kontrolę. Myślałem, że mi się uda. Ale… – Schodzi ze sceny.

Idę za nim do garderoby gwiazd wysłanej czerwonym dywanem, pomalowanej srebrną farbą i pełnej róż.

– Zaczekaj! – wołam i Marc odwraca się w drzwiach. – Czy to coś złego?

– Nie powinniśmy tu rozmawiać. – Wciąga mnie do garderoby i z hukiem zatrzaskuje za nami drzwi.

– Pytałam, czy to coś złego? – powtarzam. – Wszyscy czasem tracimy kontrolę.

– Nie ja – odpowiada Marc. – Nie na scenie. Nie w prawdziwym życiu. Nigdy. Już nie. – Patrzy na mnie, wzrok ma zagubiony. – Nie wiem, co się dzieje. Jak mogę zaopiekować się tobą, skoro nie potrafię nad sobą panować?

– Możesz – mówię, siadając mu na kolanach. Otacza mnie ramionami. – Bo w ten sposób stajesz mi się jeszcze bliższy.

Ktoś puka do drzwi i odskakujemy od siebie jak oparzeni.

– Panie Blackwell – odzywa się inspicjent. – Wchodzi pan za pięć minut.

– Powinnaś wrócić do domu – mówi Marc, sadzając mnie sobie na kolanach i zanurzając twarz w moich włosach. – Tam się spotkamy.

– Okej.

Z powrotem w szklanym domu Marc wydaje się jakby młodszy i trochę mniej zagubiony. Przywozi z dużej wyspy tajskie żarcie i jemy na szklanym balkonie wychodzącym na morze. Marc trzyma mnie pod stołem za rękę i mówi, mówi, mówi.

Opowiada mi o swojej siostrze, o tym, jak wspiera ją i jej narzeczonego. Mówi mi, że nie przepada za tym facetem, ale dopóki jego siostra sama nie zrozumie, co jest dla niej dobre, nie może nic zrobić. Nie pytam go o handel narkotykami, a on nie wspomina o tym. To nie jest właściwy moment. Opowiada mi o jasnych stronach swojego życia, nie o zranieniach, a ja cieszę się z tego.

Opowiada mi o swojej matce, o tym, co zapamiętał. W jego wspomnieniach była pięknym aniołem o kasztanowych włosach, który mu śpiewał i posypywał magicznym pyłem skaleczenia i zadrapania. Sama grała amatorsko i załatwiła mu dziecięcą rolę w jednej ze swoich sztuk. Dzięki temu wziął udział w reklamie czekoladowego batonika, a potem jego karierę wziął w swoje ręce ojciec, przygotowując go do fortuny i sławy.

Opowiadam mu o swoim braciszku i macosze – o moich obawach, że beze mnie nie dadzą sobie rady. O tym, że Genevieva sobie nie radzi, i o zmaganiach mojego ojca. Słucha uważnie, oparty brodą o pięść. Kiedy opowiadam mu o mojej mamie – jak bardzo ją kocham i jak bardzo mi jej brakuje – mocno ściska moją dłoń.

– Jutro sobota. Będziesz chciała spotkać się z rodziną.

– Tak – potakuję. – Powinnam.

– Więc wrócimy.

Kiedy słońce zachodzi, idziemy na pogrążoną w mroku plażę i patrzymy na srebrne fale oceanu. Marc opowiada mi o tym, jak pierwszy raz zobaczył ocean. Odkrył, że bez względu na to, ile by sterczał na słońcu, nie jest w stanie się opalić. Najwyraźniej opaleniznę w filmach zawdzięcza charakteryzacji.

Rozmawiamy o jutrzejszym dniu i o powrocie do Londynu. Żadne z nas nie zna odpowiedzi na dręczące nas pytania. Wiemy tylko, że nie zostało nam wiele czasu.

Siedzimy na piasku, tuż nad brzegiem ciepłego oceanu, pozwalając falom omywać nam stopy. Nad naszymi głowami świeci srebrny księżyc w pełni.

Odwracam się do Marca i widzę, że oczy mu lśnią, ale jego twarz jest pełna bólu.

– O co chodzi? – pytam. – Co się stało?

– Kocham cię – mówi po prostu Marc, wpatrując się w ocean. – Ale to nie film. Nie wiem, jakie będzie zakończenie.

Kiedy wracamy do domu, Marc zasypia obok mnie w okrągłym łożu.

Rozdział 69

Rankiem słońce świeci jasno jak nigdy. Widzę obok siebie śpiącego Marca i przyglądam się jego pięknej, spokojnej twarzy. Jego nos, długi i prosty, oraz delikatne zagłębienia po obu stronach ust wydają się teraz tak znajome. Jedna duża dłoń spoczywa na muskularnej klatce piersiowej, a druga leży otwarta, długie palce są rozchylone. Nie mruga powiekami. Leży zupełnie nieruchomo, jeśli nie liczyć delikatnego oddechu. Głaszczę go po twarzy i natychmiast otwiera oczy. Kiedy mnie rozpoznaje, jego twarz się rozluźnia.

– Sophio – szepcze.

– Musimy dzisiaj wracać – mówię. – Ale chcę z tobą być. Tak jak należy. Jak prawdziwa para. Nie obchodzi mnie, kto będzie wiedział. Nie dbam o moją reputację. Pod warunkiem że będziesz dalej wykładał. Nie chcę, żeby reszta studentów ucierpiała z mojego powodu.

– Sophio, nie wiesz, co mówisz – protestuje Marc. – Nie wiesz, z czego będziesz musiała zrezygnować, żeby należeć do mojego świata. Utracisz wolność. Będą się grzebać w twojej przeszłości, narzucać twojej rodzinie… Nie pozwolę na to. Nie z mojego powodu.

– A gdyby wybór nie należał do ciebie? – pytam. – Gdybym po powrocie do Londynu sama opowiedziała o wszystkim prasie?

Marc wpatruje się we mnie.

– Zabroniłbym ci.

– Zabroniłbyś? – Śmieję się. – A gdybym nie posłuchała?

– Naprawdę zrobiłabyś coś takiego? Bez mojej zgody?

– Jeśli dzięki temu nie musielibyśmy się ukrywać, to tak.

Marc siada na łóżku.

– To tak wiele dla ciebie znaczy, związek ze mną? Zrezygnowałabyś z prywatności? Wolności…

– Tak.

Marc przeciera oczy i spogląda na wschodzące nad morzem słońce.

– Nikt nigdy nie uznał, że to, co mam do zaoferowania, jest warte wyrzeczeń. Nie podejrzewałem… nie wiem, jak cię w to wplątałem. Chryste. – Przykłada dłoń do czoła. – Zawsze jestem taki ostrożny. Opanowany. Wszystko planuję. Jak mogłem do tego dopuścić?

– Uczuć nie da się zaplanować – mówię.

Spogląda na mnie. Mierzy mnie długim, spokojnym spojrzeniem.

– Jak gdybym nie wiedział. Gdybyś była zdecydowana ujawnić nasz związek, każę moim PR-owcom przygotować kampanię, żeby zminimalizować straty. Dopilnuję, żebyś została przedstawiona jako grzeczna dziewczynka. Całą winą obarczymy mnie.

Wstaje i zaczyna się ubierać.

– Zawrę z tobą umowę.

– Umowę?

Marc kiwa głową, wciągając bokserki.

– Zaczekaj, aż wrócimy do Londynu, a potem wracaj do rodziny. Porozmawiaj z ojcem. Nie podejmuj od razu decyzji. Jeśli po tym wszystkim nadal będziesz chciała

ujawnić nasz związek, będę cię wspierał. Przyjadę spotkać się z twoim ojcem i wytłumaczę się.

– Zrobiłbyś to?

Zapadnięte policzki Marca się napinają.

– Tak – potwierdza w końcu. – Będę cię wspierał. Wspierał nas. Ale jeśli podejmiesz taką decyzję, musisz być przygotowana na złą prasę. Nie będę w stanie cię ochronić.

– Myślę, że sobie poradzę – mówię. – Jeśli dzięki temu będę mogła być z tobą.

Lot powrotny przebiega gładko i spokojnie, ale jestem zbyt zdenerwowana, żeby się rozluźnić. Myśl, że przedstawię Marca ojcu, przytłacza mnie, wzięłam też sobie do serca ostrzeżenia Marca. Zdaję sobie sprawę, że w mediach może się rozpętać kampania nienawiści przeciwko mnie. Że zostanę przedstawiona jako zdzirowata studentka, która uwiodła Marca Blackwella. Albo naiwna uczennica, która zadurzyła się w starszym, podłym mężczyźnie.

Kiedy lądujemy, Marc poleca Keithowi zawieźć mnie prosto do domu mojego taty.

Rozdział 70

Nieśmiało pukam do drzwi, wiedząc, że tata się mnie nie spodziewa.

Otwiera mi drzwi z dżemem truskawkowym na czole i ciastem we włosach.

– Skarbie! – Obejmuje mnie serdecznie. – Co za niespodzianka. – W kuchni siedzi Sam w foteliku, też upaprany dżemem.

– Ja też się cieszę, że cię widzę.

– Wchodź, proszę. – Tata szeroko otwiera drzwi. – Właśnie robimy z Samem ciastka z dżemem.

– A gdzie Genoveva?

– U kosmetyczki. Musi trochę odpocząć. Niełatwo jej się odnaleźć w roli matki w takim wieku.

Dom wygląda koszmarnie, a kulinarne zapędy taty tylko pogarszają sprawę. Sam radośnie wali łapką w poręcz fotelika, cały w dżemie i cieście.

Biorę go na ręce i nastawiam wodę.

– Cieszę się, że Genovevy nie ma – zaczynam. – Jest coś, o czym chciałam porozmawiać z tobą w cztery oczy.

– Och? Ale to nic poważnego, prawda, skarbie? Chyba nie jesteś chora?

– Nie – zapewniam. – Nic z tych rzeczy. – Zaparzam dwie herbaty i stawiam je na stole w jadalni.

– Więc o co chodzi?

To o wiele trudniejsze, niż sobie wyobrażałam, a już wtedy nie przyszło mi to łatwo.

– O mężczyznę, z którym się spotykam.

– Czy ty… masz kłopoty czy coś w tym rodzaju?

– Nie, nie. – Zaprzeczam ruchem głowy, siadam, biorę Sama na kolana. Tata też opada na krzesło.

– Bo wiesz chyba, że zawsze możesz na mnie liczyć, bez względu na to, co zdecydujesz. Twoja mama urodziła cię bardzo młodo, ale nigdy nie żałowaliśmy…

– Tato, posłuchaj mnie. Nie jestem w ciąży, ale… spotykam się z kimś ze szkoły.

– Cóż, masz dwadzieścia dwa lata – zauważa. – Nie ma w tym nic złego. Cieszę się. Czy to porządny chłopak? Chciałbym go poznać.

Porządny chłopak. Cóż, nie są to pierwsze słowa, które przychodzą mi do głowy na myśl o Marcu. A jednak właśnie tak, to porządny chłopak.

– To… wykładowca – wyjaśniam. Sam chwyta mój zegarek. Ostrożnie odginam małe paluszki.

– Och. – Tata upija łyk herbaty. Jest zamyślony. – No tak. To rzeczywiście zmienia postać rzeczy. Po pierwsze, jest od ciebie zapewne sporo starszy.

– Właściwie nie – odpowiadam. – Tylko o pięć lat.

Tata myśli intensywnie.

– To chyba nieetyczne, żeby wykładowca wiązał się ze studentką. Nie mam najlepszego zdania o jego moralności.

– Rozumiem – zgadzam się z nim. – Ale wcale tego nie planowaliśmy. Nie chciał, by między nami do czegoś doszło. To ja podjęłam decyzję. Gdyby to zależało od Marca, odszedłby ze szkoły, żebyśmy mogli być razem, albo nigdy więcej ze mną nie spotkał.

– Marca? – powtarza tata. – Marca Blackwella? To z nim się spotykasz?

Potwierdzam ruchem głowy.

– Za kogo on się uważa? To, że jest sławny, jeszcze nie daje mu prawa, by wykorzystywać…

– To nie tak – tłumaczę. – Nas naprawdę coś łączy.

– Właściwie nie słyszałem o nim niczego dobrego – mówi tata. – Wydaje się zimnym, zarozumiałym typem. Wątpię, by ktoś się ucieszył, słysząc, że jego córka spotyka się z kimś takim.

– Owszem – przyznaję. – Rzeczywiście na pierwszy rzut oka może sprawiać takie wrażenie. Ale tak naprawdę jest wspaniały, uwierz mi.

Tata kiwa głową.

– Cóż, nie wyobrażam sobie, że wybrałabyś kogoś, kto nie jest.

Uśmiecham się.

– A czy twoja mama zaakceptowałaby go?

Zastanawiam się nad tym.

– Tak – odpowiadam w końcu. – Myślę, że tak.

– No cóż. – Tata opiera łokcie na stole. – W takim razie chyba chciałbym go poznać.

– Też bym tego chciała – oświadczam. – I on także. Właściwie, jeśli chcesz, możesz go poznać choćby dzisiaj.

Tata kiwa głową.

– Tak, zjedzmy razem obiad. Ale nie zrobię tego Genovevie tak bez uprzedzenia, zamówimy coś z restauracji.

Uśmiecham się.

– Może ja coś ugotuję, jeśli chcesz.

– Zrobiłabyś to, skarbie? Cudownie.

Rozdział 71

Dzwonię do Marca. Odbiera po pierwszym sygnale.

– Sophia. Jak tam?

– Świetnie – odpowiadam. – Nie było tak ciężko, jak się obawiałam. Tata chciałby cię poznać. Może wpadniesz dzisiaj na obiad?

– Z największą przyjemnością.

Rozłącza się, a ja biorę się do lunchu. W domu jest niewiele zapasów, ale znajduję w kredensie mąkę i ziemniaki, w zamrażarce jest mrożona wołowina i groszek, więc postanawiam, że przygotuję placek z wołowiną, z purée i sosem. Na dworze jest coraz zimniej – idealna pogoda na takie solidne, sycące potrawy.

Wraca Genoveva i zaciska usta w wąską linię, widząc mnie w kuchni.

Tata mówi jej, że Marc przyjdzie na obiad, i Genoveva zaraz biegnie na górę, żeby się wyszykować. Godzinę później wraca na dół, wymalowana, ze staranie ufryzowanymi, lśniącymi włosami. Ma na sobie biały lniany kostium, złotą biżuterię i zapach różanych perfum.

– Dla mnie nigdy się tak nie stara – mruczy tata i znacząco puszcza do mnie oko. – Zdaje się, że ktoś tu stracił głowę.

Kiedy wyjmuję placek z pieca, rozlega się pukanie do drzwi.

Otwieram je i mam przed sobą surrealistyczny widok – Marc Blackwell na moim progu, z bukietem czerwonych róż, butelką winą i małą paczuszką.

Znowu ma na sobie czarny garnitur i koszulę, jest świeżo ogolony, włosy zaczesał do tyłu. Wygląda i pachnie elegancko i drogo. Uwielbiam łatwość, z jaką zmienia się z wyluzowanego przystojniaka w koszulce w mężczyznę wyrafinowanego.

– Cześć. – Staram się ukryć uśmiech.

– Cześć. – Uśmiecha się w odpowiedzi, lekko, zawadiacko. – Cieszę się, że tu jestem.

Jestem ciekawa, co sobie pomyśli o naszym małym domku z przestronną, otwartą częścią dzienną i staroświeckim urokiem.

Przybiega Genoveva. Dyga na jego widok.

– Pan Blackwell. Bardzo dużo o panu słyszałam. Witam w naszych skromnych progach.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiada. – Genoveva, jak się domyślam? To dla pani. – Wręcza jej róże.

– Och! – zachwyca się, wąchając je. – Jakie wspaniałe! Proszę bardzo, przejdźmy do jadalni.

Prowadzi go do stołu, za którym już siedzi tata i sączy kawę. Wstaje, gdy Marc

wchodzi do pokoju.

– Bardzo się cieszę, że mogę pana poznać – zaczyna Marc. – Pan oczywiście jest ojcem Sophii.

– Tak. – Tata mierzy go wzrokiem. Przy Marcu wydaje się niski, ale stoi dumnie wyprostowany.

Marc stawia butelkę wina i prezent na stole i podaje mu rękę.

– Mam nadzieję, że nie mają państwo nic przeciwko temu, że przyniosłem mały drobiazg dla Samuela.

– Śpi teraz – wtrąca się Genoveva i sięga po prezent. – Pozwoli pan?

– Ależ oczywiście – odpowiada Marc.

Genoveva rozrywa papier i wyjmuje z opakowania najprostszy możliwy prezent – kilka mieszczących się w sobie miseczek. Kosztowały najwyżej trzy funty. Widzę, jak przygląda im się zaskoczona. Mężczyzna, który może kupić dosłownie wszystko, czego zapragnie, przynosi jej synkowi tak tani podarunek.

– Dziękuję – mruczy, przyglądając się im podejrzliwie.

– Moja siostra ma synka niewiele starszego do Samuela – tłumaczy Marc. – Uwielbia się nimi bawić, ani na chwilę się z nimi nie rozstaje. Dawałem mu już różne zabawki – od trójkołowego rowerka przez drabinki po miniaturową kolejkę, ale właśnie to lubi najbardziej.

Uśmiecham się.

– Są doskonałe – zapewniam.

– Usiądziemy? – proponuje ojciec.

– Dziękuję. – Marc zajmuje miejsce koło niego. – Chciałem tylko powiedzieć, że to dla mnie wielki zaszczyt, znaleźć się u państwa w domu. Jest pan zapewne bardzo dumny z córki. Jest wyjątkowa.

– Tak – odpowiada tata.

– My… Ja nigdy nie planowałem takiego obrotu spraw – tłumaczy Marc. – Nigdy nie chciałem wiązać się ze studentką. Ba, właściwie miałem odejść ze szkoły, gdy okazało się, że straciłem głowę dla Sophii. To zapewne nie jest dla pana łatwe. Na pana miejscu w ogóle nie szanowałbym kogoś takiego jak ja. Uznałbym, że nie zasługuje na moją córkę. Mam nadzieję, iż zdołam panu udowodnić, że jest inaczej, zarówno ze względu na Sophię, jak i na nas wszystkich. – Uśmiecha się słodko, pokornie. Jeszcze nigdy tego nie widziałam. – Z niewiadomych powodów uważa, że ją uszczęśliwiam.

Tata chrząka z aprobatą.

– No cóż, pierwsze stadium.

– Zjedzmy coś – proponuję.

Rozdział 72

Tak jak można było przypuszczać, mężczyźni pochłaniają wielkie porcje placka, Genoveva grzebie widelcem w talerzu, a ja i tak wzięłam sobie tylko mały kawałeczek. Za bardzo się denerwuję, żeby jeść.

Uwielbiam patrzeć na Marca, gdy je. Coś w wyważonym opanowanym sposobie, w jaki posługuje się sztućcami, bardzo na mnie działa.

– Ty to zrobiłaś? – szepcze, pochłaniając drugi kawałek. – Nie mieści mi się w głowie, że do tej pory nigdy mi niczego nie ugotowałaś. – Uśmiecha się tym swoim lekkim półuśmieszkiem i bierze mnie za rękę.

Sączymy wino, a tata przepytuje Marca na każdy możliwy temat, poczynając od jego kariery aktorskiej aż po powody, dla których założył szkołę.

– Chciałem pomóc innym – odpowiada zwyczajnie. – Chciałem, żeby także inni młodzi aktorzy mieli taką szansę, jak ja. Aktorstwo to moje życie. Dzięki temu nie oszalałem. I wiem, że wielu młodych ludzi odczuwa podobnie, ale i tak nigdy nie zaczną grać, choćby byli nie wiadomo jak zdolni. Moim celem jest pomóc im stawiać pierwsze kroki.

– Bardzo szlachetnie. – Tata upija łyk wina.

– No i musiałem ocalić ten budynek – dodaje Marc, zerka na mnie, uśmiecha się. – Tyle pięknej zieleni w sercu Londynu. Nie mogłem dopuścić, by to zniszczono.

Pod koniec posiłku czuję, że tata, choć jeszcze nie do końca przekonał się do Marca, jest już zdecydowanie mniej uprzedzony.

– Sophio, muszę już wracać – mówi Marc. – Umówiłem się z moimi ludźmi od PR.

Czuję, jak żołądek fika mi koziołka.

– Dobrze.

– Odwieźć cię do kampusu? – pyta. – A może wolałabyś jeszcze trochę zostać z rodziną?

– Powinnam już wracać – decyduję. – Po południu mam zajęcia śpiewu i nie chciałabym ich stracić. – Patrzę na tatę. – Wpadnę w przyszły weekend, dobrze?

Biegnę na górę, żeby pocałować śpiącego Samuela, a kiedy wracam na dół, ojciec i Marc po raz kolejny podają sobie ręce.

– Może jeszcze kiedyś nas pan odwiedzi – zaprasza tata. – Napijemy się wtedy czegoś porządnego, a nie tego głupiego wina.

– Z przyjemnością – odpowiada Marc.

Wychodzimy na zewnątrz, na chłodne jesienne popołudnie. Wszędzie walają się pomarańczowo-brązowe liście.

Marc pierwszy dostrzega fotografa, ja widzę jedynie błysk flesza. Marc przyciąga mnie do siebie, wpycha do samochodu i już zza jego przydymionych szyb obserwuję, jak biegnie wąską uliczką za mężczyzną w dżinsowej kurtce. Marc jest szybki, ale fotograf miał nad nim chwilę przewagi; domyślam się też, że strach dodaje mu sił.

Słyszę ryk silnika motocykla i widzę, jak Marc zawraca do samochodu. Z prawie równym oddechem wsiada do wozu.

– W porządku? – pyta mnie.

– Tak.

– Nie chciałem gonić go samochodem, to zbyt niebezpieczne. – Przesuwa dłonią po

szybie. – Pasożyty. Żeby nękać cię w domu rodzinnym… Pewnie jechał tu za mną. Wydawało mi się, że byliśmy bardzo ostrożni, a tymczasem… Przepraszam.

– Nic nie szkodzi. Prędzej czy później, musiało do tego dojść.

– Nic nie mają – mówi Marc. – Nie mają pojęcia, czemu tu byłem. Ale tym samym niejako przypierają nas do muru. Zaczęło się. Nie odpuszczą nam. Kiedy tylko będą mieli choćby zarys tematu, pójdą na całość. – Patrzy na mnie. – Zadzwonię po spotkaniu z ludźmi od PR, zastanowimy się, co dalej. Jedno jest pewne: tak dalej być nie może. Musimy zdecydować, wóz albo przewóz. I to szybko.

– No tak. – Przełykam ślinę. Jestem przerażona. Niepewna.

– Sophio, naprawdę chcesz to zrobić? – pyta Marc. – Twoje życie zmieni się na zawsze. I wtedy nie będzie już odwrotu. Jeszcze jest czas, jeśli zmieniłaś zdanie.

Kiwam głową.

– Czuję się, jakbym miała skoczyć z urwiska bez liny zabezpieczającej. Ale nie skoczyć… też by było źle.

Marc bierze mnie za rękę.

– Zaopiekuję się tobą – zapewnia. – Zadbam, byś była bezpieczna. Postaram ci się wszystko ułatwić, ale nie obejdzie się bez pewnych trudności, problemów. Jeśli jesteś gotowa, zrobimy to. Musisz sobie to wszystko przemyśleć.

– Dobrze.

– Odprowadzę cię do kampusu. Wracaj na zajęcia, pogadaj z Denise, z przyjaciółmi. Ja poczekam.

Rozdział 73

Na zajęciach ze śpiewu nie mogę się skoncentrować i Denise kilkakrotnie wywołuje mnie po nazwisku, żeby zwrócić moją uwagę.

– Jesteś półprzytomna Rose – zauważa, gdy pozostali wychodzą po lekcji. – Chcesz o czymś porozmawiać?

Wzdycham.

– Tak. Mam tyle spraw na głowie.

– W takim razie może napijmy się herbatki. Zaparzyłam dzisiaj moją własną mieszankę. Napijesz się? – Nastawia wodę.

– Bardzo chętnie.

Wrzuca do kubków garstkę suszonych owoców, jagód i kwiatów, zalewa wrzątkiem i podaje mi. Jasnoróżowy napar pachnie smakowicie – truskawkami i ziołami.

– Kwiat hibiskusa – wyjaśnia. – Dobry na problemy. No dobrze, w jaki sposób mogę ci pomóc? Masz taką minę, jakbyś dźwigała na barkach problemy całego świata.

– Owszem – przyznaję. – Muszę podjąć bardzo ważną decyzję.

– A więc słucham.

– Marc i ja… zbliżyliśmy się. Na poważnie. Wydawało mi się, że zależy mi na prawdziwym związku. Jawnym. Takim, jakie łączą innych ludzi. Wiedziałam oczywiście, że to nigdy nie będzie taki zwykły związek, ale nie chcę się wiecznie skradać i ukrywać.

– Brzmi bardzo rozsądnie – mówi Denise.

– Marc też nie chciał wiecznie się ukrywać – opowiadam. – Ale obawiał się o moją reputację. O to, jaką będę miała opinię, gdy wszystko wyjdzie na jaw.

– Cały on – zauważa Denise z uśmiechem. – Idę o zakład, że swoją reputacją w ogóle się nie przejmuje, prawda?

– Oczywiście, że nie – odpowiadam. – Cieszy się, że wyjdziemy z ukrycia. Dzisiaj po południu będzie rozmawiał ze swoimi ludźmi od PR, jak to najlepiej zrobić, jak zminimalizować szkody, jak zapewnić, by moja kariera na tym nie ucierpiała. Ale skoro to ma się zaraz stać, muszę mieć pewność, że to słuszna decyzja. Marc wielokrotnie mnie uprzedzał, co się może stać, gdy nasz związek wyjdzie na jaw. I chyba… chyba nie jestem tak gotowa na konfrontację z rzeczywistością, jak mi się zdawało.

Denise wzdycha.

– To trudna sytuacja. Bardzo ci współczuję. Nie wiem, co sama zrobiłabym na twoim miejscu. A co ci podpowiada serce?

Upijam łyk herbaty. Smakuje równie cudownie, jak pachnie.

– Że chcę być z Markiem. Że razem uporamy się ze wszystkim. Że jeśli od niego odejdę… nie wiem, czy to przeżyję.

– Przeżyjesz. – Denise nakrywa swoimi ciepłymi, białymi dłońmi moje. – Tego jestem pewna. Niejedna młoda kobieta rozstała się z miłością swego życia… i kilka miesięcy później poznała kolejną.

– Myślisz, że Marc i ja… że mamy szansę? – pytam.

Denise przygląda mi się przez chwilę i powoli kiwa głową.

– Szansę? Tak. Marc aż się prosił o taką dziewczynę jak ty. Kogoś delikatnego, kto wyzwala w nim to, co stara się ukryć. Jeszcze nigdy nie widziałam, by do tego stopnia ktoś zawrócił mu w głowie. Jeśli się zaangażował, nie pozwoli ci odejść, chyba że sama tego zapragniesz. Będzie przy tobie na dobre i na złe.

– Wiem – odpowiadam. – Przy nim czuję się bezpieczna. Chroniona. Mam pewność, że mnie nie zawiedzie. Ale chodzi o to, czy temu podołam. W tym rzecz.

– Na to pytanie tylko ty znasz odpowiedź – mówi Denise.

– Chodzi o coś jeszcze – odpowiadam. – O fotografa. Zrobił nam zdjęcie przed chwilą, jak wychodziliśmy z domu mojego ojca.

– No tak. – Denise upija łyk herbaty. – To rzeczywiście niefortunna sytuacja. Brukowce pewnie skoczą sobie do gardeł, byle opisać romans studentki z wykładowcą. Ale to nie było kompromitujące zdjęcie, co?

– Nie – zapewniam. – Po prostu razem wychodziliśmy z domu.

– Nawet z tego postarają się jak najwięcej wyciągnąć – orzeka Denise. – Jeśli nadal chcecie spotykać się potajemnie, ani się obejrzycie, a takich fotografii będzie o wiele więcej.

Rozmawiamy przez godzinę, ale nawet po tym czasie nadal nie mam odpowiedzi. Idę przez kampus i mam zamiar zadzwonić do Jen, gdy rozlega się mój telefon. To Marc.

– Cześć – mówię i kopię stertę pożółkłych liści. – Jak tam?

– Sophio, mam złe wieści. – To cały Marc, od razu przechodzi do rzeczy. – Gazety już się licytują, kto wydrukuje nasze zdjęcie. Jutro rano będzie wszędzie, zapewne w niejednym brukowcu. Moi ludzie od PR starają się zminimalizować szkody, ale uprzedzają, że brukowce oszaleją z radości i miesiącami, ba, może nawet latami nie dadzą ci spokoju. Jeśli zostaniemy razem, może to odbić się negatywnie na twojej reputacji. Ilekroć dostaniesz rolę, wszyscy uznają, że to ja pociągałem za sznurki. Nie wiem, czy mogę pozwolić, byś przechodziła przez coś takiego. Nie z mojego powodu.

– Tu nie chodzi tylko o ciebie – szepczę. – O mnie też. Ale… rozumiem, o co ci chodzi. Wiem, że będzie ciężko. Muszę sobie to wszystko przemyśleć, dobrze?

– Dobrze. – Słyszę w słuchawce jego oddech. – Chciałbym teraz być z tobą, objąć cię, ale zdaję sobie sprawę, że w tej chwili to niemożliwe.

Czuję łzy pod powiekami.

– Ja też chciałabym, żebyś tu ze mną był.

– Nie mogę wejść na teren kampusu – mówi. – Fotografowie kręcą się wszędzie. Na terenie szkoły jesteś bezpieczna, mamy świetną ochronę, ale nie wychodź poza kampus, póki ci nie powiem, że już można.

– Dobrze.

Rozdział 74

Wieczorem jem kolację w stołówce z Tomem i Tanyą i przedstawiam im najnowszy rozwój sytuacji.

– Już wiemy – mówi Tanya. – Dzisiaj po południu kontaktowali się z Tomem i ze mną dziennikarze na Facebooku. Chcieli, żebyśmy opowiedzieli nasze wersje tej historii.

– O, nie. – Chowam twarz w dłoniach.

– Czy mam rozumieć, że nie masz ochoty na szarlotkę? – domyśla się Tom.

– Proszę bardzo – mruczę.

– Ale chyba dobrze się stało? – Tom z apetytem zajada mój deser. – No bo chyba chcesz, żeby wasz związek był jawny? A teraz sprawa wymknęła się wam spod kontroli, nie uważasz?

– Owszem – przyznaję. – Wymknęła się, i to całkowicie. Wszyscy się o nas dowiedzą, a dziennikarze nie dadzą mi spokoju do końca studiów. Niewykluczone, że ucierpi na tym moja reputacja. Albo związek z Markiem.

– Trudna sprawa – stwierdza Tanya. Patrzy na Cecile i Ryana. – No i na co się tak gapicie, co?

Uśmiechają się złośliwie pod nosem i wracają wzrokiem do talerzyków z deserem.

– Dziennikarze skontaktowali się też pewnie z nimi – domyślam się. – No, świetnie.

– Wszystko i tak wyjdzie w praniu, skarbie – zauważa Tom. – Ale pamiętaj, że

dzisiejsze sensacje jutro posłużą jako opakowanie dla ryby z frytkami, czyż nie tak się mówi?

– W dzisiejszych czasach już nikt nie pakuje ryby z frytkami w gazetę – zauważa Tanya. – To niehigieniczne.

– No tak, ale wiecie, o co mi chodzi – tłumaczy Tom. – Naprawdę chcesz odejść od faceta, którego kochasz, tylko dlatego, że obawiasz się, co ludzie powiedzą? Na miłość boską, przecież to twoje życie. To ty masz je przeżyć. Co cię obchodzi, co inni sobie pomyślą?

– Nie tylko o to chodzi – mówi Tanya. – Jeśli chce zostać aktorką, ważne, co się o niej mówi i pisze. W tej branży reputacja to podstawa. Niewykluczone, że jeśli ludzie zaczną postrzegać ją w określonym świetle, może mieć problemy ze znalezieniem pracy.

– Ale to działa w obie strony. – Tom nie daje za wygraną. – Aktorzy, o których się mówi, mają więcej zleceń niż ci, o których nikt nie słyszał. Zresztą, moim zdaniem to wszystko zaraz ucichnie. A Sophia jest tak świetną aktorką, że gdy ludzie zobaczą ją na scenie, nie będą sobie zawracali głowy tym, co o niej wyczytają.

– Pod warunkiem że ktoś da jej rolę – podkreśla Tanya.

Rozdział 75

Wieczór jest bardzo zimny, włączam wszystkie kaloryfery i rozpalam na kominku – rozniecam ogień pod polanami i gałązkami, które przyniosłam z lasu. W pokoju robi się przytulnie. Wpatruję się w płomienie tańczące w ciemności, leżąc na łóżku.

Boli mnie głowa. Mam tyle spraw do przemyślenia, a prawdę mówiąc, ani ja, ani nikt inny nie zna właściwej odpowiedzi na dręczące mnie pytania.

Najgorsze jest to, że w tej chwili nie mogę zobaczyć się z Markiem. To boli. Rozstanie z nim sprawia mi autentyczny ból.

Przez dłuższy czas wpatruję się w ogień.

Koło północy rozlega się pukanie do drzwi balkonowych. Zaskoczona, zrywam się z łóżka i podchodzę do okna. Widzę, jak na posadzce balkonu turla się biały kamyk. Kolejne uderzenie. Tym razem kamyk trafia do celu.

Otwieram przeszklone drzwi. Zimne powietrze sprawia, że w piżamie dygoczę z zimna. W kampusie panuje cisza, otacza mnie zapach ziemi i drzew.

Na dole pod moim balkonem stoi ciemna postać. W świetle księżyca twarz wydaje się nienaturalnie blada, a usta czerwone, prawie sine.

– Marc? – szepczę.

– Sophio…

Serce bije mi jak oszalałe.

– Co ty robisz? – pytam. – Jak się tu niepostrzeżenie dostałeś?

Uśmiecha się.

– Mam swoje sposoby. Idę do ciebie.

Obejmuję się ramionami, żeby nie dygotać.

– Jak? Jeśli zejdę, żeby cię wpuścić, ktoś mógłby nas usłyszeć.

– Nie ruszaj się z miejsca. – Marc podciąga się na rynnie i wspina po murze, omija wystające cegły i po chwili zaledwie centymetry dzielą go od balkonu. Przeskakuje barierkę jednym zwinnym ruchem.

Ma na sobie czarną koszulkę, czarne płócienne spodnie i ciemnoszare adidasy. Włosy niesfornie opadają mu na czoło. Czuję zapach papierosów i mydła.

– Romeo, Romeo – mówię.

– Co za blask strzelił tam z okna! Ono jest wschodem, a Julia jest słońcem! – Marc uśmiecha się, wyciąga rękę, żeby pogłaskać mnie po policzku. W jego intensywnym spojrzeniu czai się rozbawienie. Kiedy tak na mnie patrzy, wydaje mi się, że na całym świecie istniejemy tylko my dwoje.

W moim pokoju jest ciemno, mrok rozjaśniają jedynie rozżarzone węgle na kominku. Obejmuje mnie mocno.

– Tęskniłem za tobą.

– Ja też.

Układa mnie na łóżku i kładzie się obok, wsparty na łokciu.

Kładę mu dłoń na policzku.

– O! gdybym mógł być tylko rękawiczką, co tę dłoń kryje! – mówi Marc z tym swoim charakterystycznym diabelskim uśmieszkiem.

Odpowiadam uśmiechem.

– Pomyślałem sobie, że jeśli wszystko ma się skończyć, chciałbym zobaczyć się z tobą jeszcze jeden, ostatni raz – mówi.

– A niby dlaczego wszystko ma się skończyć? – pytam.

– Po prostu miałem takie przeczucie – opowiada. – Wrażenie, że uznasz, że gra nie jest warta świeczki.

– Może to ty już masz mnie dosyć.

– Nigdy.

Całuje mnie delikatnie, poznaje ustami, a potem rozbiera powoli, najpierw mnie, potem siebie, cały czas patrząc mi głęboko w oczy. Obejmuję go, czuję pod palcami jego szerokie ramiona.

Wchodzi we mnie bez trudu, głaszcze po włosach, błądzi palcami po mojej szyi i ciele. Tak, to Marc, ale nowy Marc. Jeszcze nigdy nie był tak czuły. Ma szeroko otwarte oczy, błękitne i jasne jak nigdy dotąd.

– Chcę się zatracić – mówi, wchodząc głębiej. – Z tobą.

– Możesz – odpowiadam. – Jeśli tylko chcesz. Bo właśnie tego pragnę najbardziej.

Porusza się znowu, błękitne oczy łagodnieją. Obejmuje mnie mocniej, oddycha coraz szybciej.

– O Boże – wzdycha. – O Boże, Sophia. Tak. Och, tak.

Czuję, jak we mnie kończy.

Cały czas patrzy mi prosto w oczy, nagle trzepocze powiekami, rozchyla usta.

Nie odwracam wzroku. Nie mogę. Mam wrażenie, że zaglądam do jego duszy. Jest

piękna.

Obejmuję go i przyciągam do siebie.

Marc osuwa się na mnie, dysząc mi ciężko w szyję. Po pewnym czasie unosi się i szepcze:

– Słuchaj, ja muszę wiedzieć. Zrobimy to razem? Czy będę musiał poradzić sobie bez ciebie?

Patrzę w jego niebieskie oczy, pełne emocji – siły, mocy i strachu – i zdaję sobie sprawę, że decyzję podjęłam już wiele miesięcy temu.

– Tak – odpowiadam. – Zrobimy to.

– Jesteś pewna? – pyta.

– Tak.

– Kocham cię. – Gładzi mnie po włosach.

– Ja ciebie też.

– A więc rano – decyduje – wyjdziemy z budynku razem. Trzymając się za ręce. Niech nas fotografują.

– Dobrze – mówię i czuję, jak otacza mnie ramionami. – Jutro z samego rana.

Zasypiamy wtuleni w siebie, dotykając się czołami.

ciąg dalszy nastąpi…

W maju 2014

Tom 2

Spleceni Bluszczem